



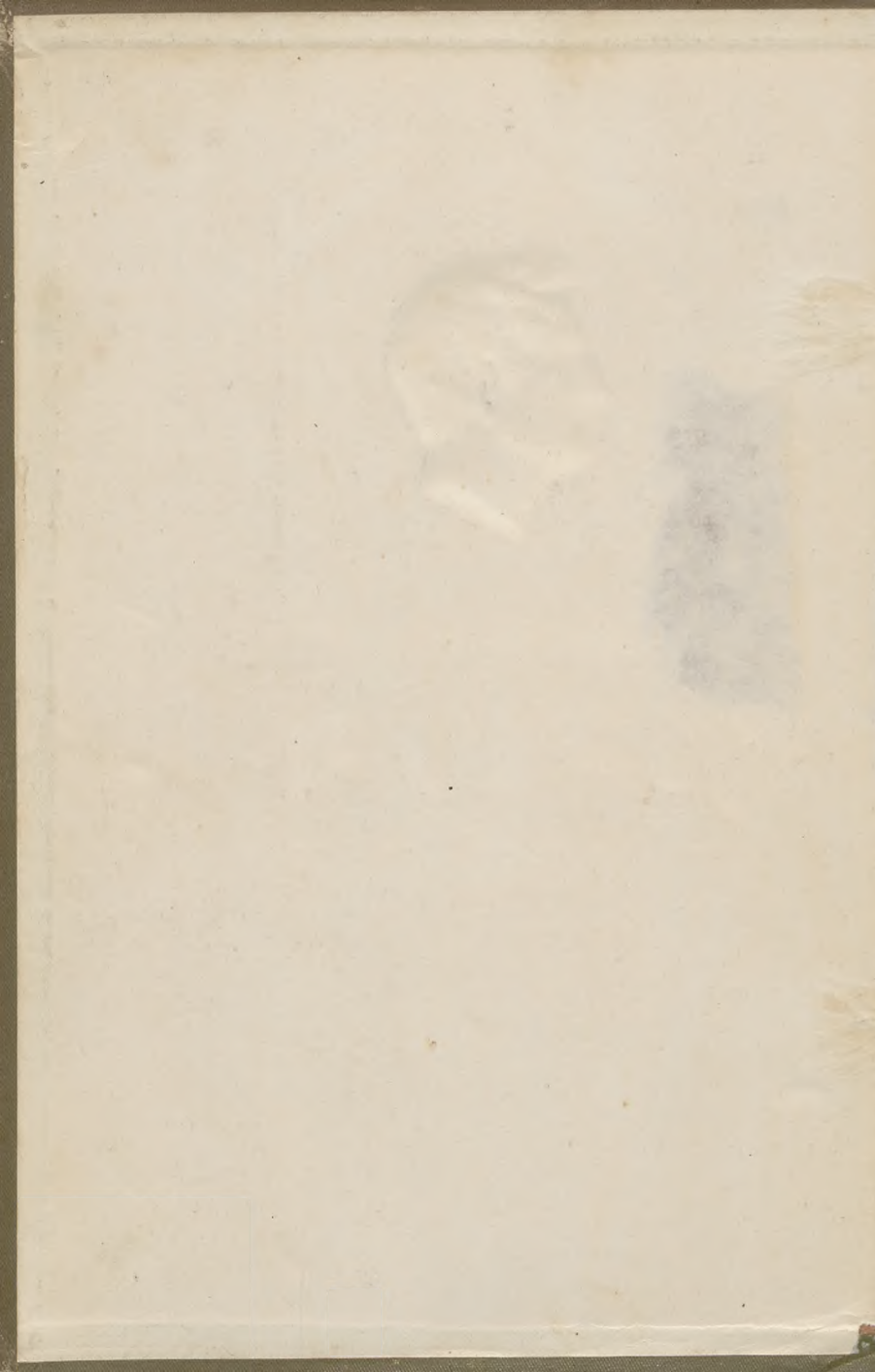
JULIUSZ
SŁOWACKI



POECI
POLSCY

SOWACK
SERIES

VI



JANUSZ SŁOWACKI

WYKŁADY

WYKŁADY

601

JULIUSZ SŁOWACKI

DZIEŁA

(WYDANIE ILLUSTROWANE).

w sześciu tomach

POD REDAKCYĄ

FERDYNANDA HOESICKA i LEOPOLDA MÉYETA

Z PRZEDMOWĄ *Ks. Szezezan Jóref Ryglewicz*

IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO.

TOM SZÓSTY.

1909.



145 1/2 12



POMNIK J. SŁOWACKIEGO_w MIŁOSŁAWIU.

ŻYWOT SŁOWACKIEGO.

Urodzony w dniu 23 sierpnia 1809 roku, umarł w dniu 3 kwietnia 1849 r.

Urodzony w Krzemieńcu, umarł w Paryżu — i tam na cmentarzu Montmartre prochy jego spoczywają.

Lata dziecinne spędza to w Krzemieńcu, to w Wilnie. W Krzemieńcu ojciec jego był nauczycielem w słynnym podówczas liceum aż do r. 1811, kiedy Uniwersytet wileński powołał go na profesora. Stanowisko to zajmuje Euzebiusz Słowacki do śmierci (r. 1814). W r. 1817 matka Juliusza wychodzi za mąż za profesora na wydziale medycznym Uniwersytetu wileńskiego, za dra Bécu — i przenosi się na stały powtórny pobyt do Wilna, wraz z ośmioletnim synem. Słowacki wstępuje do gimnazjum, następnie na Uniwersytet.

Po Wilnie krótki okres, warszawski. Wypadki polityczne lat 1830 i 1831, zniewalają młodego poetę do wyjazdu za granicę.

Do kraju nie powrócił już nigdy.

Rozpoczęły się lata tułaczkę, wędrówek poetycznych po Szwajcaryi, Włoszech, Grecyi, Egipcie, Ziemi świętej—i znów do Włoch, Paryża, w którym spędził na ogół znaczną część swojego życia za granicą.

Do Paryża przybywa Juliusz Słowacki po raz pierwszy w r. 1831, a w roku następnym wychodzą dwa pierwsze tomy jego poezyi, t. j. poematy: „Żmija“, „Jan Bielecki“, „Hugo“, „Arab“, „Mnich“, oraz dramaty: „Mindowe“ i „Marya Stuart“. — Większość z tych utworów Słowacki przywiózł ze sobą z kraju. Pisał je przeważnie w Warszawie, gdzie znużone dni pracy na posadzie aplikanta w komisji skarbu przeplatał godzinami bogosławionej twórczości. A niektóre ułamki z tych poematów powstały jeszcze za czasów uniwersyteckich Słowackiego. Pisał je w osiemnastym, dziewiętnastym roku życia. Twórczość poetyką rozpoczął wczesnie, dzieckiem prawie. Jako szesnastoletni chłopak pisze już pod wpływem Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego wiersze udatne, stojące „na poziomie druku“.

W roku 1821, t. j. wtedy, gdy Słowacki miał 12 lat, — Mickiewicz, podówczas już poeta znany, czytał jego próby dziecinne — i wróżył z nich sławę czarnowłosemu, dziwnie rozwiniętemu nad wiek chłopcu. Od lat dziecinnych rósł Słowacki z myślą, że jedyne jego przeznaczeniem jest — być poetą. Później gdy był już człowiekiem dojrzałym, wspominał w listach do matki o momentach ze swego dzieciństwa,

kiedy *ośmioletni* chłopak, prosił niejednokrotnie Stwórcę: „o Boże daj mi sławę choćby po śmierci, a za to niech będę najniezwyklejszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu“. I nad jego duszą zaciężyła promienna fatalność poetycka. Gdyby na kartach jakiejś księgi można było spisać nie tylko każdy czyn z życia Słowackiego, ale myśl każdą, najwiewniejsze uczucie — to karty te bez wyjątku prawie były jednym żywym poematem. Prawdą niewątpliwą jest, że ogólny poziom uczuciowy ludzi z tej epoki, kiedy wzrastał i żył Słowacki, brzmiał podnioslejszym tonem. Autor „Beniowskiego“ rósł w tym okresie historycznym i na tem terytoryum, gdzie dusze ludzkie były żywszym rytmem. Kultura osobista domów, w których przebywał, łączyła się w szlachetną całość z misją obywatelską. Słowa, które zapadały w duszę dziecka, niosły ze sobą ciężar szlachetnego metalu. Uczucia pokolenia młodego, szybowały w kręgach nieomal podniebnych; myśl starszych, bliższa może ziemi, wznosiła się przecie na tę wysokość, z której widać horyzonty ideowe. Oto jest atmosfera poezji. Dodajcie do tego tajemnicę geniuszu — a otrzymacie ona tęczową całość, której imię: — *Słowacki*. Wyobraźnię jego dziecinną już karmiły postacie Homera, stawały przed oczyma czyny ludzi Plutarchowskich. W świecie olbrzymów przebywał. Na tem miejscu wspomnieć należy bezpośredni wpływ matki, kobiety subtelnej, dla której poeta po ostatnią godzinę życia czuł rodzaj bezkrytycznego kultu i egzaltowanej nieomal miłości.

W drogę życia ruszył zasobny nie tylko w fenomenalny talent ale i trwałą podstawę wykształcenia, w stopień niecodzienny kultury osobistej. W rozwoju duchowym wyprzedzał tak rówieśników, jak w isto-

cie poezji wybiegł o kilka wieków po przed epoką swoją. Gdy w r. 1831 przybywa do Paryża jako młodzieniec dwudziesto-dwu letni, wchodzi w świat emigracyjny ówczesnej jako poeta już znany.

W Paryżu pracuje z wyteżoną potrzebą twórczenia. Tu powstaje „Lambro“, tu ta rzewna „Duma o Wacławie Rzewuskim“, tu wiersz p. t.: „Paryż“ (1832).

Następne swe lata życia, spędza Słowacki w Szwajcaryi. Okres męźnienia talentu przypada więc w jego życiu na harmonijne kojarzenie uczuć z wrażeniami gigantycznej natury. Góry olbrzymy, lśniące na szczytach bielą lodowców, owe siklawy spadające z bezmiernej wysokości w otchłań niezmierną, apokaliptyczne rysunki skał, przepaści i Chrystusowa cisza tych wyżyn, po których jedno orły szybują — oto ta skala bezpośrednich przemówień natury, które w młodzieńczą duszę Słowackiego zapadały na stukrotny plon.

Tu w Szwajcaryi, w Genewie, potem w Veytoux w duszy jego powstawały wielkie wizye, niedoświadczomione stany mgławicowe, z których później wytrysną linie dramatów, niezmiernych na matematykę sceny. Niedoścignione jak orli lot, a wysokie, jak wirchy alpejskie, widziadła Słowackiego, rzucone na tło wspomnień wyniesionych na tułaczkę z pól Ukrainy, z ech słowicznych pieśni z Krzemieńca, z dziecinnych, do snu podobnych wrażeń. Widziadła mieszają się w tym okresie jego życia w wicher twórczy. Z wichru tego wylaniają się utwory, młodzieńcze swoją wiotkością, genialne w wyjątkach. Wyjątki te, fragmenty, nieraz karta cała, to zdanie niepojęcie cudne — pozostaną po wszystkie czasy

blaskiem naszej literatury. Tu w Szwajcaryi pisze brulion „Mazepy“, „Balladyny“, tu się poczęła dusza poematu p. t.: „W Szwajcaryi“.

A po Szwajcaryi następują znowu trzy lata (1836, 37 i 38) w życiu Słowackiego, których dni idą po sobie, jak stronnice barwnego poematu. Florencyja, Rzym, Neapol, Pompea, Sorrento, Grecya, Egipt, Ziemia święta, Syrya — oto droga, którą Słowacki szedł wchłaniać w siebie tysiączne obrazy, gdzie wrażliwa dusza jego padała od ekstatycznych wzruszeń. We Florencyi galerye: Michał Anioł, Paweł z Werony, królewski spadek po królewskim Renesansie, w Rzymie — ta olbrzymia skala wielkości, jaką dzisiejszym światom zostawiła stolica Cezarów, lasy posągów, marmurów, wspomnienia pogańskie owite w pleśń i róże, Neapol z błękitem morza u stóp, z Wezuwiuszem za sobą, tragiczne widmo Pompei, czarowne okolice Neapolu i Sorrento, Deserto, gaje pomarańcz na opalowo srebrnej tkaninie oliwek i sinym gór granicie, a modrej roztoczy wody i nieba — a potem, jak marzenie, podróż morską do Korfu, do Grecyi, melancholijne godziny w grobie Agamemnona, Ateny, myśl biegnąca za Homerem, plastyczny obraz dalekich marzeń, realny dokument kultury najharmonijniejszej w dziejach świata, a tak zawsze żywo działającej na estetyczny zmysł Słowackiego — i to od dzieciństwa. Ruiny myceńskie hojną dłonią swojej tragicznej wyniosłości rzucają w jego duszę siejbę strof „Grobu Agamemnona“, w których cisza splata się z piorunem. Później po powrocie do Włoch, wspominał nie raz te nięziemskie chwile podróży:

„O piękniej było, kiedym sam siedział przy księ-

*życa między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza,
u stóp Akropolis ateńskiej*“.

(„Listy do matki“ – wyd. Méyeta, II, 68).

Znając duszę Słowackiego, można bez omyłki twierdzić, że ten ubijany fantastycznym bogactwem szlak wrażeń utrwał się w jego świadomości palącym ogniem ekstazy. A że właściwością pamięci twórczej jest, iż wszystkie ważniejsze wzruszenia przeobraża na miejscu w dalszą skalę nowych, swojemu talentowi właściwych form widzenia, przeto zrozumieć łatwo czemu dla tak *bezwzględnie twórczej* organizacyi były owe stany uczuciowe zdobywane po ruinach i rozłogach świata antycznego.

Po Grecyi nastąpił Egipt. W drodze morskiej na statku napisał ów „Hymn o zachodzie słońca“, to całopalenie, oddane nostalgii za ziemią, której już nigdy nie-ujrzeć, za powietrzem, które wyobrażnia złości. Wniknijcie dobrze w ten stan i zacznijcie wiersz czytać na nowo...

Smutno mi Boże!...

Wsluchać się należy sercem w ten puls tęsknoty, bo bez tego nie sposób zrozumieć czego w *tabie* marzenia oplotła się „Lilla Weneda“, co sprawiło, że błyszczące ostrzem damascenki oktawy „Benio-wskiego“ mieszają się z tą przedziwną rzewnością duszy płaczącej. W każdym człowieku, jako tako wybranym, leży na dnach uczuciowości to, co się nazywa smutkiem metafizycznym, – w poetach tem-bardziej – ale dodać należy te stany realne, które przeżywali ludzie z pokolenia Słowackiego, a do-

piero się pojmie, jakim zwierciadłem bólu były one harfy, ci ludzie wieszczący.

Po Egipcie — Ziemia święta.

„Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u Grobu Chrystusa... Na wspomnienie tej nocy łzy rzucają mi się do oczu“.

... „Jeździłem do Morza Martwego, do Betleem. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością“.

... „Okropną jest dolina Józefata... Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do Martwej, a świeżo umarłej Tyberjady... Jezioro gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne“...

„Listy do matki“ — wyd. Méyeta, II, 42, 43, 44.

W podróży do Azyi, w górach Libanu pisał Słowacki jeden ze swoich poematów... Cały ten czas pobytu w Libanie, w odludnym ormiańskim klasztorze Betheszban, spędził w jakimś mistycznym roz-tajemniczeniu.

„Przepędzałem dnie całe na dumaniu. Wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę — i rozmawiałem z nimi“.

„Dzień Wielkiej nocy przepędziłem w tym klasztorze — i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita, ofiarując mi się za spowiednika“.

... „Kiedy w szarej godzinie poranku ukląkną-łem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, roz-

plakałem się jak dziecko tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność; wszystko od czego mnie potem długie lata oddzieliły“.

„Listy do matki“ — wyd. Méyeta, II, 47, 49.

Po powrocie ze Wschodu, rozpoczyna się ten okres w życiu Słowackiego, który z jednej strony jest złotem żniwem ducha, najbardziej skończoną formacją władz twórczych, lśniącym zawarciem dotychczasowego stadyum, — a z drugiej strony jakby przygotowaniem gleby pod przyszłą siebę idei, na razie jeszcze nie ukształtowanych, ale bezwątpienia przeżywanych. Mowa tu o jego życiu mistycznym.

Z podróży wraca Słowacki mężczyzną blisko trzydziestoletnim (r. 1838). Fenomenalny talent, niezależny od wieku człowieka, łączy się w nim wtedy z dojrzałością wrażeń. Jako artysta, rozporządza środkami, ściągniętymi w mocną całość elementów: kultury osobistej, fantazyi — i środowiska. Otoczenie, które spotykał od czasu wyjazdu ze Szwajcaryi — to ludzie z pokolenia nie tylko wytwornego towarzysko, ale i umysłowo, owoc długoletniej troski o cywilizację dziecka i człowieka, troski, z taką konsekwencją przeprowadzanej w przodujących warstwach naszych u schyłku XVIII-go i początku XIX-go wieku. Ludzie przyzwyczajeni do bezwzględnego szacunku względem nauki i sztuki. Jego kuzyn Teofil Januszewski, Hołyńscy, Zenon Brzozowski, pani Richthoffen, — i wreszcie — od niego zacząć należało, a wystarczyłoby i na nim zakończyć: — Zygmunt Krasiński. — Oto najbliższa rodzina intelektualna Słowackiego, możnowładztwo umysłowe i estetyczne. Słowacki niczego może od nich *brać* nie po-

trzebował, ale kulturalne potrzeby jego nie odbijały się o trywialną próżnię, gdy w ich towarzystwie żył. Z Krasińskim zwarli się w ścisłą i prawdziwą przyjaźń.

Po powrocie do Europy, osiada na kilka miesięcy we Florencyi, gdzie powstaje „w Szwajcaryi“; a potem przeprowadza się na stały pobyt do Paryża. Poematy: „W Szwajcaryi“, „Ojciec zadzumionych“, przerobiona „Balladyna“, „Mazepa“ — wreszcie „Lilla Weneda“, ukazują się w r. 1840. Równocześnie powstaje i „Beatrix Cenci“, „Jan Kazimierz“, „Dantyszek“, „Preliminarya peregrynacyi J. O. księcia Radziwiła Sierotki do Ziemi świętej“, wiersz „Na sprowadzenie prochów Napoleona“ — oto ten bogaty rezultat pracy Słowackiego. W tej epoce ręka jego pisząca nie może nadażyć za jakimś przebogaceniem wizyj. — W pośpiechu komponowania czuć niepokój człowieka, który kończy życie, albo zakończy znamiennej fazę tego życia. Najdokładniejszym zaś wyrazem tego stanu będzie napisany w roku 1841 „Beniowski“. Ostatni raz przez Słowackiego odzywa się to, co jest ziemskie: nienawiść, sarkazm, pogardliwa ironia, — ale tuż obok psalmodyczne uniesienie dla nieobjętych obszarów rzeczy wieczystych. Ku nim go wiedzie tęsknota, w tych czasach wyrażana jego ustami w pieniach już jakichś seraficznych, nie w wierszach.

I na tle tęsknoty stał się w Słowackim ów przełom — który literatura przywykła nazywać Towianizmem.

W r. 1842 przybywa do Paryża człowiek nazwiskiem Towiański — i poczyną głosić potrzebę „wzmagania w sobie skali ducha“. Któż bardziej od emigrantów paryskich w latach 1832 — 1842, a zwłaszcza poe-

tów, mógł być wdzięczniejszym słuchaczem słów tych prostych, a przecie jak lek działających? Na czyichż oczach bardziej przekonywająco stwierdzała się prawda o znikomości rzeczy doczesnych? Rzeczy najdroższych? Kto od nich silniej pragnął gorącej wiary w to, że kto tutaj poniżon i nieszczęśliw, — ten jest wizerunkiem Chrystusa? I że są takie Chrystusy narodów, a imię ich błogosławione będzie w historii. Komu więcej od nich ta wiara do życia była *niezbędna*?

Słowacki przystępuje do koła Towiańczyków, później nadejdzie czas, że się rozłączy z nimi. Do ostatniej jednak chwili ziemskiej nie zdejmie ze siebie stygmatu wiary w wewnętrzne, lepsze światy życia. Gdy matka w listach nie może pojąć jego stanu, odpisuje jej:

... „i tak będzie ciągle, że nas nie zrozumieją, aż uczują ducha naszego, a wtenczas ukochają nas na wieki“.

Każdy prawy artysta jest i mistykiem. Słowacki zaś w stopniu większym od innych. Słowa Towiańskiego padały na grunt gotowy.

W tomie I-ym tego wydawnictwa znajdzie czytelnik poemat p. t: „Godzina myśli“, — „Romans życia“, z pacholeństwa poety „niesklamany w niczem“. To, co o sobie pisze Słowacki, o dziecku z czarnejmi oczyma, świadczy, jak od najpierwszych lat życia wychodził w po za światy. Wraz ze Szpitznaglem „marzeniem księgi rozumieli ciemne“ lub „budowali gmachy pełne głosów anielskich“. Na tę porę, na lata gimnazjalne przypada pierwsza miłość Słowackiego. Długo, długo jeszcze potem myśli i wspomina o tem uczuciu. W Syrii podczas podróży śni mu

się jeszcze postać tej kobiety. Przeczułone uczucie nie wyrasta z ziemi wrażeń trzeźwych. Do ziemi Słowacki zawsze tylko częstką swej osobistości należał. A teraz wspomnijmy jego noc we łzach spędzoną u grobu Chrystusa, święte i proste chwile w klasztorze na Libanie — a dotrzemy do tych pokładów, które czekały na ziarno mistyczne Towiańskiego.

Rozpoczyna się ten okres jego twórczości, w którym powstają jego dramaty jak „Ksiądz Marek“, „Sen srebrny Salomei“, przekład „Księcia niezłomnego“ Calderona, „Samuel Zborowski“, „Zawisza Czarny“, „Król-Duch“. Tu rzeczywistość, świat fizyczny staje się drobną częstką wszechżycia. Ludzie w dramatach wyzbywają się doczesności, a duchem walczą, duchem tęsknią, duchem zwyciężają. W dziedzinie wiekuistości i w jej zagadnieniach Słowacki obraca się z tą samą łatwością, jak późniejsi naturaliści obracali się w procesach wyłącznie fizycznych.

W r. 1848 poeta widzi się z matką. Marzenie siedemnastu lat życia spełnione. Niema może drugiego przykładu tak rzewnego uczucia, jaki daje stosunek Słowackiego do matki.

„Każdy człowiek — pisze raz do matki — ma jakiś skład, który w testamencie nazywa: moje papiery. Otóż ja, który często palę w kominie mojejmi bazgraninami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga — i te jedne błędzą ze mną po świecie, widziały Kair i były — i były tam, gdzie pisano słowo Boże“.

„Zda mi się — pisze w r. 1842 — że nic nie zdobył na świecie, takeś ty mnie zaopatrzyła we wszyst-“

ko, jeszcze każde moje ujęcie, każdy ruch, każde prawię słowo, wynika z dawnej jakiejś nauki, wziętej od Ciebie“.

Więc, gdy w r. 1848 ujrzał matkę, po siedemnastu latach rozłąki, wtedy spełniła się w nim chwila tak wielkiego szczęścia, jak wysoką była skala jego uczuć wogóle, — szczęścia branego nie na zwykłą miarę.

W kilka miesięcy później, Słowacki już nie żył.

Choroba piersiowa, smutek i pragnienie lepszych światów, trawiąca gorączka ducha, zabrały go z ziemi w dniu 3 kwietnia 1849 r.

Rozpoczęło się jego życie wieczne.

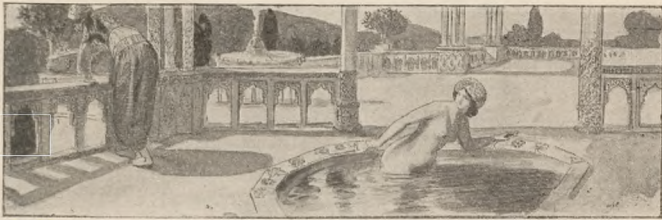
Tem, co po nim zostało, żyjemy już my wszyscy: twórczość jego stała się dobytkiem powszechnym. Wpływ jego — zrazu dziwnie mały — później, na początku siódmego dziesiątka lat (lata 1860, 61, 62) zeszłego stulecia — doniosły, potem znów niklejszy, w czasach naszych zwiększa się, literatura zaczyna przywracać autorowi „Lilli Wenedy“ stanowisko należne. Redakcja „Wędrowca“, wydając możliwie dokładny zbiór prac poety, chce ze swej strony dołączyć się do tych wysiłków. Chce przed czytelnikiem polskim rozłożyć księgę nie tylko literatury, ale i karty ducha.

Niech przed oczyma waszemi z kart tych wstanie powietrzna „Goplana“, krwawa „Balladyna“, niech głosem rozpaczy przemówi Arab-ojciec, co wszystkie dzieci potracił, niech tęczowe blaski owioną was sielanki szwajcarskiej. Oto „tam w Mazepie“ wstają sceny z minionej przeszłości, dzieją się rzeczy krwawe na dworze Wojewody, oto pada lilia w ludzką

duszę wszczepiona: — Amelia, ze wspomnień docho-
dzą was złudy „Snu srebrnego“, giną duchy, płomie-
niami lecą w niebo duchy, oto dalej korowody tra-
gicznych postaci, do jednego łańcucha zakuci Lelum
i Polelum, między węże wchodząca Lilla, w czarne
kwiaty ustrojona jej siostrzyca Roza Weneda, a po-
tem ten ślepy starzec, ten ostatni król bolesny giną-
cego świata — i ten świat cały taki rozplywający się
w pieśń — oto przed wami Słowacki, oto ta Harfa,
na której Bóg wygrał uczuć naszych melodye naj-
lotniejsze.

A. Grz. Siedlecki.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.



DZIEŃ PIERWSZY.

Ogród nad morzem w Maurytanii.

Niewolnicy (pracują).—Wchodzi Zara służebna królowej Fezu).

Zara.

Zaśpiewajcie, niewolnicy.
Moja pani wśród łaźienki
W perłowej igra miednicy
Jak łabędzie bałamutne,
I prosi was o piosenki,
Ale tęskne, ale smutne.

Pierwszy niewolnik.

Czyliż naszych brzęk kajdanów,
Czyliż pieśni niewolników
Rozweselić mogą panów?

Zara.

Ona lubi śpiew słowików,
Kiedy się po laurach gubi,

I piosenki wasze lubi.
Zaśpiewajcie, Fenix słucha.

Niewolnik.

Nasza pierś boleścią głucha.
Ach! najgorsze przeznaczenie!
I najgorsze to cierpienie
Śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu, co w niewoli.
Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

Zara.

Czyż wy sami
Nie śpiewacie bez rozkazu?

Niewolnik.

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.
I my tłumim boleść własną,
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

Zara.

Zaśpiewajcie, Fenix prosi.

Niewolnicy (śpiewając).

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mąk duszy;
Czegoż srogi czas nie skruszy,
Nad grobami gdy przelata!

Zara.

Dosyć pieśni, Fenixana
Już umyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu
Użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknnością go zagasi,
Bo wychodzi jak jutrzeńka.

(Wchodzi Fenixana, córka króla Fezu i niewolnice jej
Estrella, Roza i Selina).

Estrella (do Fenixany).

Wstałaś, piękna?

Zara.

Wdzięk twój krasi,

Cały ogród, oko pali.
Niech się jutrzienka nie chwali,
Że ten ogród nie ciemnieje,
Bo nie ona światło leje;
Bo ogród ten pośród gmachów
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał rubinów,
Białości nie od jaśminów,
Lecz od ciebie.

Fenixana (do Estrelli).

Daj zwierciadło.

Estrella.

Nie dziw, piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Żadnej plamki.

Fenixana.

Głosi sława,
Że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była,
Cóż mi po tem? kiedy źle mi!
Nie wesoło na tej ziemi!

Selina.

Cóż ci jest?

Fenixana.

Co jest, Selino?

Ach! gdybym ja to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano!... ach!... dziewczyno,
Wnet bym sama boleść własną
Nakarmiła do przesyty

I widziała w sercu jasno.
Ale teraz, w mgle przedświtu,
Czuję tylko, że mnie kruszy
Jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy,
Męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może.

Z a r a.

Jeśli cię, pani, nie bawią
Te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiośnie posągi stawią
Róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościolach,
Obróć twe oczy na morze,
Kędy dla twojej tęsknoty
Płynie wóz ze słońca złoty.

R o z a.

Gdy taki zachód zobaczy,
Na morza ognistym łonie,
Ten cały ogród w rozpacz
I melancholiach utonie
I zawoła, idąc w cień:
Ach! jakże krótki był dzień!

F e n i x a n a.

Ani się tem rozweselę,
Ani tem żądań ukorzę,
Że moje smutki podzielę
Pomiędzy ziemię i morze,
Że pójdę z myślami w tan
I sprzęgnę te oba światy,
Z pianami równając kwiaty,
Kwiaty równając do pian.
Bo ogród, kiedy zazdrosny
Spojrzy na fale szalone,
Chciałby tak płynąć jak one:
I zaraz zefir miłosny

Dwa razy miłośniej dysze;
I szalenięj rozkochany,
Z gałęzi, które kołysze,
Czyni kwiatów oceanę.

A morze, gdy się zasmuci,
Spojrzawszy na te ogrody,
Wnet ucisza szklane wody;
Z fal wysokich pianę zrzuci
I drugim prawom poddane,
Równe zdobywa uroki,
Z szmaragdów mając zatoki,
Z błękitów piersi ulane.

I tak, tu kwiatowy łąn
I ogród pełen szkarłatów
Wydaje się morzem kwiatów:
Tam morze—ogrodem pian.—

Ach! cóż to za smutek głęboki,
Ten smutek, co w sercu ma łożę?
Że nie dba na kwiatów uroki,
Na niebo, na ziemię i morze.

Z a r a.

Wielki smutek twój! ach! i głęboki!

(Wchodzi król Fezu, ojciec Fenixany, z miniaturą w ręku).

K r ó l.

Jeśli, moja Fenixano,
Na piękność i smutek chora,
Chcesz być zdrowszą dziś, niż wczora,
I zdrowszą, niż byłaś rano:
Oto jest portret infanta
Maurytanów, Tarudanta,
Który cię uleczy pewnie
Na długo.—Cóż to, tak blada?
Infant u nóg twoich składa
Koronę, jako królewnie,
A ten portret choć nie gada
Za niego, u nas zagości.
Każda niema ambasada
Ambasadą jest miłości.

Za infantem najgoręcej
Wstawiam się... bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy
Przyprowadzonych łuczników,
Z którymi Ceutę zdobędę.
Płoń się, córko... tych płomyków
Miłosnych tobie pozwolę. —
Owszem — serce puść na wolę.
Niech kocha przyszłego pana.

Fenixana.

O Boże!

Król.

Cóż tak zmięszana?

Fenixana (na stronie).

Wyrokiem śmierci!

Król.

Cóż, przecie?

Trwogi te łatwo ukoim.

Fenixana.

Jestem twe posłuszne dziecko,
Ty ojcem... ty królem moim.

(Na stronie).

Cóż mu powiem?... ach, kochanku,
Muleju, straciłeś żonę!
O! nieszczęśliwy poranku!
O! chwile nie w czas stracone!

(Głośno).

Ojczel! pokora mnie łamie
Aż tu.

(Kląka).

Aż do twych obuwi.

(Na stronie).

Dusza, co to myśli — kłamie!
Kłamie głos, który to mówi!

Król.

Weź portret.

Fenixana (biorąc miniaturę).

Ojciec przymusza?

(Na stronie).

Ręce go biorą, nie dusza.

(Wchodzi Selim, dozorca niewolników).

Selim.

Mulej, twój wódz, królu panie,

Prosi cię o posłuchanie.

Z Fezańskiego morza wraca.

Król.

Niech wejdzie.

(Wchodzi Mulej, wódz galer fezańskich).

Mulej.

Gdzie zorza ozłaca

Tak wysokie pańskie progi,

Gdzie człowieka czeka z drogi

Taka zorza, córka słońca,

Któż czoła nie rozpogodzi?

Nie uczyni z siebie gońca,

Za którym pomyślność nie chodzi?

Pozwól mi twej ręki, pani.

Niechaj dar taki otrzymam,

Jak najwierniejsi poddani,

Pełni serca i przymiotów:

Bo dla usług twych miecza się imam,

I dla usług twych zginąć jam gotów.

Fenixana (na stronie).

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!

Cóż mu powiem? — ach, umrę z rozpaczy!

(Głośno).

O Muleju, czy dobre są wieści?

Mulej.

Czy są dobre, sam król to zobaczy
I osądzi... podług mnie, będą dobre.

Król.

Cóż tam przecie?

Mulej.

Lecz serce miej chrobre
I na wszystko, o panie, odważne,
Bo czas ważny i wieści są ważne.

Król.

Gadaj wszystko, co wiesz, gadaj śmiało.
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre – z równą twarzą powita.
Siadaj, córko. –

Mulej.

Czyż mu wszystko otwieszczę?...

Król.

Niech twarz złego nie będzie mi skryta.

Mulej.

Trudno mówić... milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi, panie, polecił,
Wziąwszy tylko dwie galery,
Wypłynąłem z tego portu
Zwiedzić brzegi barbaryjskie.
A jakoś chciał, hym podstąpił
Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane
U Herkulesowych słupów,
Ceutą u ludzi nazwane:
Które słowo u Hebreów
I u Arabów znaczyło:
Piękność... Jakoż miasto owo
I dzisiaj w piękność rozkwita;

A na hańbę naszej wierze
I na wstyd Mahometanom
Na murach dziś portugalskie
Sztandary nosi i krzyże.
I przeciwko flotom naszym
Obrócone trzyma spiże
I wieczny opór stanowi
I wieczną skałę zakłada
Twych zwycięstw wielkiemu Nilowi;
A z Hiszpanią aż przez morze gada. —
Pod to miasto podpłynąłem,
Abym obaczył rynsztunek
I wierny ci zdał rachunek:
Ile wież z krzyżowem czołem
Grozi ci marnemi trwogi,
Ile w nim stoi załogi;
Abym wypatrzył, jakimi
Siłami weźmiesz je, panie,
Czy od morza, czy od ziemi,
Czy przez głód, czy szturmowanie. —
I wiem, że niebo ci chowa
To zwycięstwo i tę chwałę;
Abyś to miasto wspaniałe
Przywrócił do swej korony —
Ale dzisiaj trwoga nowa,
Inna troska, z innej strony,
Czeka cię, panie: i siły
Na Ceutę przygotowane
Będą Tangieru bronily. —
A to wiem... bo fale szklane
Depczą jednego poranku,
O tej godzinie, gdy zorza
Wyziera nad szafir morza,
A na chmur ognistych wianku
Słońce swe rozwiesza włosy
Po różach i po jaśminach,
Śnieg i ogień udając i kłosa
Sypiące się na fale... w bursztynach
Owej zorzy, gościńcem odmętów
Szła girlanda szarawa okrętów,
Niby stado tak nikłe, że z razu

Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
Czy okręty to były, czy skały...
Bo jak na płótnach obrazu
Malarz, udawca natury,
Jedną kreską czyni góry,
Albo miasta, wielkie grody:
Tak i na błękitach wody,
Gdy cień się ze światłem pomiesza
Niebiosa do wód się nachyla;
Myśl różne straszidła wskrzesza
I błąka i oczy się mylą...
Otóż z razu, myśl ciekawa
Obaczyła tylko tłum
I parę i mgłę i szum,
Tak blisko przy nawie nawa,
I tak zdaleka płynęły...
Potem — gdy niebios dotknęły,
Najwyższemi żagłów pióry,
Pomyśleliśmy, że chmury,
Chmury wielkie, czarne, chyże
Co po niebie lotem gonią
I deszcze poczną w szafirze,
A tu kryształy uronią.
I tak długośmy mniemali;
Bo zdawała się tak wielka
Gromada ludzi... że z fali
Mórz nie zostanie kropelka,
Kiedy ją w helmy rozbiorą.
Potem statki z piany runem,
Jak potwora za potwora,
Kiedy idą za Neptunem
I z pod skał ciągle wychodzą,
Nowe i nowe straszidła...
Nagle!... gdy podniosły skrzydła
Całe w słonecznych opalach
I otrząsły je na falach,
Myśleliśmy, że fale je rodzą...
Wtem bliżej... ujrzały wzroki
Wyraźniej, już nie obłoki,
Już nie skrzydła, nie trytony,
Ale jakieś Babilony,



W. PAWLISZAK.

KSIĄŻE NIEZŁOMNY.

Idące po złotej ziemi
 Z chorągwiami ognistemi...
 Wtenczas spostrzegłszy i żebra
 Okrętów, tłukące je srebra,
 Pod niemi, jak góry ze srebra,
 Pod niemi z kryształu—jak skały.
 Wtenczas poznawszy, że flota
 Tak wielka i tak przemożna,
 Kazała rycerska cnota,
 W niebezpieczeństwach ostrożna,
 (Bo i to w rycerzu waży,
 Gdy się dobrze ma na straży),
 Kazała mi, mówię, panie,
 Jako świadomszemu morza,
 Skryć się w tajemne przystanie,
 Między dwa skalne wydroża,
 Gdzieś bezpiecznie mógł stać z galerami.
 Otóż ta flota przed nami
 Przeplłynęła—nie spostrzegła,
 A ja chcąc wiedzieć, gdzie biegła?
 Komu nosła miecz zagłady?
 Wyplłynąłem za nią w ślady
 I tu—Bogu memu chwała—
 Spotkałem jeden z Armady
 Okręt.

Wiadomo, że cała
 Flota, na morzu odkryta,
 Była srogą burzą bita...
 Otóż jedna smętna nawa,
 Co większej doznała szkody,
 Potrzaskana i dziurawa,
 Chwiejąca się, pełna wody,
 Nie mogąca jej wyzionąć,
 Za każdym nowym bałwanem
 Już, już—już zdająca się tonąć,
 Stała na morzu.—O! panie,
 Choć ja jestem Maurytanem,
 Sądzę, że politowanie
 W takim nieszczęściu i stanie
 Od Maurytan się należy?—
 Przybiegłem, jak sokół bieży,



I stanąłem jej przy boku...
A ci rozbici... ach! jaka
Chęć życia w ludziach!... gdy nagłe
Ujrzeni mię jako ptaka,
Ze skrzydłami, ze skrą w oku:
Mimo bojaźń – sznury, żagle
Przemieniali na drabiny
I szli w klatkę jak ptaszyny
I sami łańcuchy brali...
A drudzy im urągali,
Widząc schronionych bezpiecznie
I drabiny tnąc toporem,
Krzyczeli: że umrzeć z honorem
I wolnym – jest to żyć wiecznie...
I w morze rzucali ciała –
Portugalska próżna chwała!!!

Od jednego więc z tych wziętych
Wiem, że owe pawilony
Wypłynęły aż z Lizbony,
I po falach idą wzdętych
Tu na Tangier; klnąc się Bogiem
I rycerstwem, że Dej stary
Tu, nad wieżyc swoich rogiem,
Ujrzy te same sztandary,
Co są w Ceucie, – los batalii
To pokaże, że się mylą!...
Podług nich, król Portugalii,
Przed którym światy się chyłą,
Którego zwycięska sława
Sztandary swoje zatyka
Aż tam, gdzie ziemi nie stawa,
Gdzie rzymski orzeł lot traci,
Wysłał obu swoich braci,
Fernandesa i Henryka,
Aby tu ich wiek ciekawy
Ujrzał obu w słońcach sławy;
I za wielkie nasze kłeski
Przyklasnął, jako wiek klaszcze.
Fernand, to mistrz Awiceński,
Henryk, to mistrz Chrystusowy;
Oba noszą białe płaszcze,

Rządzą wielkie dwa zakony:
Jeden krzyż ma purpurowy,
Drugi wielki krzyż zielony;
Oba wiodą różnej broni
Do czternastu aż tysięcy;
A niepłatnych jeszcze więcej,
Co idą jak na popisy:
A do tysiąca aż koni
Poprzebieranych w tygrysy,
Na jednorożce przekutych...
Taka fantazya jest u tych
Hiszpanów!!!

Te więc szeregi
Depcą może nasze brzegi,
Albo już u ładu stoją.
Spieszmy, o! panie, z obroną.
Weź miecz i okryj się zbroją.
Weź tę chorągiew zieloną,
Podobną do gromów obłoka,
Chorągiew naszego Proroka.
Niech ze mną straż idzie przednia
I niech się sprawdzi nad nimi
Morabitów przepowiednia:
Że tu, w tych piaskach, w tej ziemi,
Co nas nosi na swem łonie,
Jest grób portugalskiej koronie.
I niech widzą nasze oczy,
Jak ta ćma czarnego sokoła
Przefarbuje nasze zioła
I morze krwią na czerwień przebroczy.

Król.

Muleju, dość! nie mów dalej,
Bo mi żyły krwią wybryzną,
Bo dla serca, co się pali,
Każde słowo jest trucizną,
Pomyślę, aby te franty,
Ci dumni, zostali w Afryce;
Pomyślę, by tu ciemnice
I grób znaleźli infanty.
Muleju, weź nieco konnych,

Ruszaj zaraz na m6rzbregi
I broń, aby te szeregi
Brzeg6w naszych nieobronnych
Nie wzięły bez krwi. Krew ci powie,
Jak uczynić w tym razie należy;
I uczynisz, jak czynili ojcowie.
Ja tymczasem zgromadzę rycerzy
A pośpiechu i sił nie poskapię,
I po tobie krok w krok tam nastapię.
I pokażę, że dzień jeden zakończy
Krwawe nasze wiekowe turnieje;
Że mi Ceutę do korony przyłączy
A tu, Tangier krwią hiszpańską obleje.

(Wychodzi).

Mulej.

O! Fenixano! blizki czy daleki,
Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
Że zawsze one gotowe do skargi,
I śmierć je chyba zagłuszy na wieki.
A choć nie umiesz zazdrości ocenić,
Choć mię obwiniasz, że uchybiam tobie,
Napróżno chciałbym wyrazy odmienić,
Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobie.
C6ż to za portret? o! dziewczyno sroga!
C6ż to za portret ręka twoja pięści?
Kt6ż to jest? powiedz, kto to jest na Boga?...
Ach nie powiadaj! dosyć już boleści...
Dosyć, że go twoja biała ręka trzyma,
Że nim jak różę zerwaną kołysze.
Ach, dosyć dla mnie, że widzę oczyma,
Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę.

Fenixana.

Pozwoliłam ci, abys mnie miłował,
Nie pozwoliłam, abys mnie obrażał.

Mulej.

Jam już wyraz6w prędkich pożałował,
Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.

Ja wiem, że mówić potrzeba inaczej.
Ale któż myśli o słowach w rozpaczy?
Milczeć?... ach, miłość potrafi ogłuchnąć,
Milczeć.... Lecz zazdrość... ta musi wybuchnąć,
Musi wybuchnąć.

Fenixana.

Chociaż mi się zdaje,
Żeś nie zasłużył, bym się tłumaczyła,
Ponieważ różnych mam wymówek siła,
A mam ich wiele – najlepszą ci daję.

Mulej.

Więc masz wymówkę?

Fenixana.

Mam.

Mulej.

O! Bogu dzięki.

Fenixana.

Ten portret z ojca mojego mam ręki,
A przysłał mi go...

Mulej.

Kto?

Fenixana.

Fezki królewic.

Mulej.

W jakim zamiarze?

Fenixana.

Bo mój ojciec stary,
Który się nie zna nic na sercach dziewic...

Mulej.

Co?

Fenixana.

Pretenduje, oraz ma zamiary
Te dwa królestwa Fezu i Tangieru...

Mulej.

Dość! Ta wymówka jest podobna zeru...
Taką wymówkę dajesz? o! nie dzięki!
Nie dzięki tobie... Czy masz lepszą inną?

Fenixana.

Ale ten portret ja mam z ojca ręki,
I sądzę, że jest zupełnie niewinny.

Mulej.

Winnaś! – bo trzeba było... trzeba było...
Choćby ci ojciec zagrażał mogiłą,
Portret odrzucić...

Fenixana.

Jakąż dać przyczynę?

Mulej.

Nie wiem... co skłamać.

Fenixana.

Z kłamstwa ja nie słyne...
Cóż miałam czynić?

Mulej.

Co? – umrzeć w potrzebie,
Jabym to łatwo uczynił dla ciebie.

Fenixana.

Przymus był wielki.

Mulej.

Ach! serca zmienienie!...

Fenixana.

Przymus i siła...

Mulej.

Któż się podda sile?

Fenixana.

Cóż więc być mogło?

Mulej.

Moje oddalenie!

Ach, oddalenie podobne mogile,
Które mnie w grobie ciemnym położyło.
A teraz jeszcze drugi raz odjadę,
A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

Fenixana.

Otóż, Muleju, dam ci jedną radę:
Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze
I aż do Fezu ciągnął to stękanie...

Mulej.

Zaprawdę boleść moją tak rozszerzę;
Że aż do Fezu za tobą dostanie.

Fenixana.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano.
Przymus ci każe opuścić te mury.

Mulej.

I odsyłasz mię? o! Fenixano?
I nie oddasz mi tej miniatury?

Fenixana.

Ach, jak smutna to chwila... ach smutna
Miniatura ta na mnie spoziera!
(Wychodzi).

Mulej.

Więc ci z ręki ją wyrwę, okrutna,
To, co serce mi z piersi wydziera.
(Wychodzi).

ZMIANA I-sza.

*Brzeg morski. Słysząc wrzask i zgiełk
wylądowania.*

Wchodzą na scenę Don Fernand i Don Henryk,
infanci portugalscy, Don Żuan Coutinho
i żołnierze.

Don Fernand (skacząc na ląd).

Pierwszy, o! piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi i nadepcę nogą.
A ty czuj, jak cię moją stopą tłoczę,
A ty czuj pana i poddaj się z trwogą.

Don Henryk.

Ja drugi skoczę na ląd.

(Wyskakuje i pada).

O! mój Boże!

Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

Don Fernand.

Nic, Don Henryku; wróżba nic nie może
Przeciw krzyżowi—strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłómaczę,
Że ziemia, pana uczuwszy i księcia,
Sama się jemu chciała dać w objęcia...

Don Henryk.

Ziemia to pusta... Arabcy tułacze
Poszli w pustynie...

Don Żuan.

Tangier zawarł bramy.

Don Fernand.

W mieście my naszych wrogów poszukamy,
Niech z harmat pierwej wystrzelą na salwy.
Ty, Don Żuanie Coutinio z Miralwy,
Idź i pod miasto podbiegnij zamknięte;
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza, bo gdy będzie wzięte,
Domy się zwałą w krew, kościoły spłoną.

Don Żuan.

Wkrótce pod miejską ujrzycie mnie brona;
Choćby to miasto na dymu ciemnicy
Stało, jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

(Odchodzi. — Wehodzi Brytasz, trefniś).

Brytasz.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy maje widzę i apryle;
A już nie te przekłete bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry, gdzie człowiek ma buty,
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,
To wpada w morze, kędy pan ludożer czeka.
Jak to mówią u ludzi, spadł z rynny pod wodę...
Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę.

(Całuję ziemię).

Kochana ziemi moja, noś mię, ja człek ładu
Radbym ostatecznego doczekać się sądu
Na ziemi, nie na morzu.

Don Henryk (do Fernanda).

Co ty nań uważasz?

Don Fernand.

A ty czemu się wróżby marnemi przerażasz?
Dla czego smętny stoisz z rozwianymi włosy?

Don Henryk.

Duch mój pełny przestachu. Przeciwnie nam losy:
Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
Zaledwo barbarzyjskich dotknęliśmy lądów,
Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,
W chmury krwawe zabiegło i w niebiosa wkłęśło.
A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
I teraz, gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
Jak krew. Patrz na niebiosa, zewsząd czarne ptaki.
Patrz nad morzem... jakby z mgły posępne osoby.
Patrz na ziemię – zdaje się, że wszędy są groby,
W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

Don Fernand.

Moja miłość inaczej to wszystko wyklada:
Że nam burza uniosła jeden okręt zbity?
To zwyczajny przypadek. Że niebios błękity
Zaćmiły się i kolor wzięły szczeroloty?
Poważny? to nie groźba, ale cześć dla floty.
Że potwory za nami wyzierały z morza?
Że czarną chmurą ptaków migotała zorza?
To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Araby;
Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby?
Nie ciągnęły za sobą? ale tu znachodzą?
Więc tej arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą,
Jeżeli są wróżbami. Maur niech patrzy na nie.
Ale my, mój Henryku, oba chrześcijanie,
My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
Nie po to, aby nami zaczernione księgi
Po wielu wiekach o nas do ludzi gadały...
My, cośmy tu dla Boga i Jego chwały,
Abyśmy kościół Jego szablami podparli;
Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy;
Czegoż się boim Boga? wierni Jego słudzy!
Czemuż my się na wróżbach oparli, nie na Nim?
My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem.

(Wchodzi Don Żuan).

Ale cóż to od pola?...

Don Żuan.

Książęta,
Kiedym wasze wypełniał rozkazy,
Tam, gdzie góra w łuk zagięta
Łamie się w piętra dwa razy,
Usłyszałem w strasznej wrzawie,
Pod nieba strefą niebieską
Zlatującą konnicę Fezką...
Zdawało się, że żórawie,
Na Pigmeów w wielkim gniewie,
Szary klucz na niebie klecą...
Ziemia nie wie i wiatr nie wie,
Czy oni biegną, czy lecą.

Don Fernand.

Idźmy powitać te wrogi.
Niech strzelce staną na czoło.
Siodłać konie, a wesoło!
Wdziać kolczugi — od głów do nogi
Zbroić się i stawać w szyku! —
O! szczęśliwy dzień, Henryku,
Zwycięstwo nam w ręce dane.

Don Henryk.

a, twój brat, przy tobie stanę,
Piersi także mam niezłomne,
O strasznych wróżbach zapomnę
I pokażę, że śmierć mię nie trwoży.
(Wychodzą i słysząc odgłos walki).

Brytasz (sam).

A ja tam, gdzie śmierć się sroży,
Nie pójdę... w każdym hazardzie
Ja stoję na ariergardzie
I wulkan ze mnie wybucha. —

(Patrząc na walkę).

Ach jaka tam zawierucha!
Jaki blask, jaki bój srogil...
Niech się biją — a ja w nogi! —

(Ucieka. — Wchodzą Don Henryk i Don Żuan).

Don Henryk.

Łatwo brać zwycięskie laury.
Uciekają zbite Maury.

Don Żuan.

Pole całe pełne łupów,
Koni, mieczów, siodeł, trupów.

Don Henryk.

Gdzie Don Fernand?

Don Żuan.

Z całą linią
Arabów znika w obłoku.

Don Henryk.

Chodźmy za nim, don Coutinio.

Don Żuan.

Zawsze obaczysz mię przy twoim boku.
(Wychodzą).

ZMIANA II-ga.

Pustynia.

Wchodzi na scenę Don Fernand ze szpadą Muleja
i Mulej rozbrojony, z tarczą tylko).

Don Fernand.

Tu, na tej ogromnej puszczy,
Co zdaje się grobem ludzi,
Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
Koń leży i pan się nie budzi:
Sam zostałeś, Maurze młody,
Nad pobitymi narody.
I twoje gdzieś orle źrebię
Przez pola pobiegło krwawe,
Tocząc pianę i kurzawę:
Pod sobą kurz, a pianę z siebie,
I oddało cię bez broni
Łupem tej rycerskiej dłoni.
Horyzont, jak okiem objęty,
Podobien do jednej trumny;
A ja twojem wzięciem dumny —
Więcej dumny, żeś ty wzięty,
Niż, że te pola oblانة
Są krwią, aż tam gdzie w błękit gina,
Tak, że oczy, smętne tą ruiną
I czerwienią tą jak oblانة,
Odwracają się, nie wiedząc, gdzie patrzeć
Ostrzem wzroku znużonych promieni;
Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,

Aby ciągle nie widziały czerwieni.—
Ja, gdyś cię silnem ramieniem
Wziął, męznego tak wojaka,
Wybrałem sobie rumaka
Z próżnem siodłem i strzemieniem,
Którego ojciec był burzą,
A matka była płomieniem;
Bo płomienie i wiatry mu służą,
Równe jemu robiąc rodowody.
A ja jeszcze powiem, że był z wody,
Taką szerść miał i rzadkie tak piegi;
I tę wodę przemienię na śniegi,
I znów powiem, że wody był synem
A co do prędkości—był smokiem,
A co do krwawości—był smokiem,
Co do lotu—był, mówię, obłokiem,
Co do nozdrza—był szczerym rubinem,
A był orłem, gdy puścił się lotem,
A gdy piersią uderzył—był grzmotem;
A pod dumnym szedł z dumą szlachecką,
A pod starcem—jak starzec poważnie,
A pod cichym—spokojnie jak dziecko,
A pod silnym—jak rycerz odważnie:
I na jego kark i siodło jego
Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
A on, zda się, jak łódź, co się ślizga,
Pruł się piersią przez krwawe bałwany
I gniółł pole, co krwią naszą bryzga.
Ale czy to jego wewnętrzne rany?
Czy ta myśl? zwyciężonych tak blizka,
Że kark jego zwycięzca uciska,
Czy nad tobą może zlitowany?
Gdy pomyślał, że obu nas wiedzie,
Obu włożył na kark swój niechętny:
„A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
A ten Arab jedzie taki smętny!“
Ach i może ta myśl nie pozbyta,
Że ojczyznę zdradza, mnie unosząc,
Padł, oczyma litości nas prosząc,
I załamał się na cztery kopyta
dech oddał.

I powiedz mi teraz,
Czemuś taki smutny, przyjacielu?
Gdy się zwracam — a obracam się nieraz --
Choć mi taisz, twą boleść, Arabie,
Widzę jasno, żeś pełny trosk wielu.
I podobnyś jest żelaznej sztabie
I tej stali, co zgięta odskoczy...
Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
Ciągłe z ciebie jak ogień wybucha:
Niepodobna! by takiego ducha
Marna boleść poddała swej woli?
Abyś cierpiał tak na tej niewoli,
Ty, co wolność sprzedałeś tak drogo,
Inna jakaś być musi przyczyna?
Jeśli troski podzielić się mogą,
Jeśli sądzisz, że na to zasłużył,
Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
Prawie ulga — a jam serca nie zużył
I obaczę, widząc ranę twoją,
Czy ta rana jest z tych, co się goją.

Mulej.

Widać, żeś równie szlachetny
Jak odważny, mój Hiszpanie.
Równie mieczem jak językiem
Umiesz czynić zwyciężonych.
Miecza twego niewolnikiem
Było ciało, co nie boli...
Teraz wzięłeś do niewoli
Mego ducha. Doskonały
Jesteś rycerz! Na dwie bronie;
Moc masz i w rękę — i w łonie —
Twoim jeńcem jestem cały.
A ponieważ ty wzruszony
Litością pytasz, Hiszpanie,
Czemu ogień i żal słony
Sypią mi z oczu perłami?
Uczynię tobie wyznanie
I sercu ulżę ustami.
Nie dla tego, że mnie boli
Serce i skarżyć się pragnie...

Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie...
Ale, że to z twojej woli,
Ażebym ci się poskarżył...
Wiedz, że jestem urodzony
Synowcem króla Fezkiego,
A zowią mnie Mulej Chekke;
Królewska krew płynie we mnie
I serce mi wielkie grzeje,
Bowiem ród mój uświetnili
Różni basze, belerbeje.
A rodziłem się w tym roku,
Gdyście wy Gelwy tracili,
I ze smutnego wyroku
Matce kosztowałem życie,
Smętne fortuny igrzysko!
Gelwańskie, krwi pełne pole
Było mi pierwszą kołyską.
A odtąd... ciągle niedole,
Nieszczęścia mnie ciągle gonia
I pokoju ciągle bronia.
Albowiem, kiedym do Fezu,
Przybył, dziecko, z moim stryjem,
Przyjechała tam dziewczica
I w blizkim domu, przez ścianę,
Stała, i odtąd serce
Zostało w niej rozkochane
I do śmierci tak zostanie.
Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
W zawiązkach swoich tak drobna,
Zaczęta w dzieciach tak tkliwie,
Taka, zda się, niepodobna,
(Gdy sobie serce tłómaczy)
Ani się skończyć szczęśliwie,
Ani się skończyć inaczej,
Ani się mogąca dźwignąć,
Ani zerwać, ni ostygnąć...
Z tą miłością wychowani
Rośliśmy, panie, oboje
I dziś zarówno nas rani
Ta miłość w serc naszych dwoje,
Ciskając razy nieomyłne

Na serce słabe i silne...
Ach... z mojem tak uczyniła,
Jako woda z marmurami,
W które ciągle bije łzami,
I tak będzie ciągle biła,
Ciągle biła, aż je strawi
I w marmurze ślad zostawi;
Tak lzy me nowe i nowe
Na serce pięknej spadały,
Aż serce twarde, ze skały,
Serce jej dyamentowe,
Na które sto razy spadły,
Przegryzły na wskrós i zjadły...
Ach, i nie moje to cnoty,
Że teraz serc naszych dwoje
Są, jakoby dwa powoje,
Wzajemnymi wite sploty.
W tym stanie przeżyłem lata,
Zapomniawszy prawie świata,
Rozpływając się w jej wdziękach,
W pierwszej miłości jutrenkach,
Pijąc pierwsze tajemnicze
Troski i pierwsze słodycze...
Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
Rozstałem się z nią na czas krótki;
I stąd idą moje smutki,
Stąd płynie mój żal ogromny,
Bo ją z drugim zaręczyli,
Kiedym ja był nieprzytomny.
Teraz powiedz, czym szaleniec,
Że klnę fortunie bogini?
Tamten jest wolny – jam jeniec!
Jam jest daleko – on przy niej!

Don Fernand.

Szlachetny Maurytańczyku,
Dobrze mi smutki wykladasz.
Jeśli tak kochasz – jak gadasz?
Tak cierpisz? – jak w serca krzyku
Słychać gdy boleść malujesz,

Jeśli tak z ognia usychasz?
Ach! i tak tęsknisz? jak wzdychasz,
Ach! i tak wzdychasz? jak czujesz,
Widzę, że wiernie miłuję,
Więc honorowi nie skłamię,
Wodzu maurytańskich galer.
Idź, i powiedz swojej damie,
Że portugalski kawaler
Przysłał cię za niewolnika,
A ją ci daje za pana.
A jeśli obligowana,
(Bo to dziewic serce łechce)
Skarby swoje poodmyka
I płacić za ciebie mi zechce?
Ten okup weź, Maurze młody,
Bo będzie wielki, jak sądzę,
Zmień na miłości pieniądze
I miej z niego wieczyste dochody,
A teraz jedź mi szczęśliwie,
Oto koń twój własny wraca.
Ja wiem, że kto kocha tkliwie,
Temu czas płynie leniwie;
Więc ci czasu, Arabie, ukraca
Moja miłość; a ty się nie zmuszaj,
Siadaj na koń, rycerzu, i ruszaj.

Mulej.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie,
Ale wdzięczność ma inne oznaki.
Wiem, że daru przyjęciem pochlebię,
Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki?

Don Fernand.

Portugalczyk i szlachcic – nic więcej.

Mulej.

Pokazałeś to czynem i słowy,
Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
Twój niewolnik...

Don Fernand.

Ujeżdżaj co prędzej,
Koni twój czeka.

Mulej.

Więc otwierasz mi szranki?
Więc chcesz, aby serce w niewolniku
Uderzyło znów przy sercu kochanki?
(Siada na koni za sceną).

Don Fernand.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

Mulej (z po za sceny z konia),
Hej! szlachetny mój Portugalczyku!

Don Fernand.

Co mi powiesz?

Mulej.

Gdy pozwolą mi nieba,
To ci kiedyś za dar taki odpłacę.

Don Fernand.

Bądź szczęśliwy!

Mulej.

Teraz ja się bogacę...
Ale dar twój, panie, nie padł w wodę,
I na końcu, na ziemi odbierze
Swoje żniwo i swoją nagrodę.
Mój Hiszpanie, niech Allah cię strzeże.
(Odjeżdża).

Don Fernand.

Jeśli Allah Bogiem, niech cię broni.
Lecz cóż to za tętent koni?
Co to za trąby i krzyki,
Którym powietrze przyklasto?

Tam, z drugiej strony kotły słyhać, Marsa hasło.
Ha! mój brat Henryk.

(Wchodzi don Henryk).

Don Henryk.

Gdzie jesteś, Fernandzie?
Dawno cię szukam.

Don Fernand.

Cóż tam za nowiny?

Don Henryk.

Bracie, Fezanie idą i Murzyni,
Budząc te echa; Tarudant z wojskami
Królowi Fezu przybył dla odsiecz.
A król podparty z Maurytańczykami
Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło,
Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.
Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło
W swoje żelazne objęło nas wieńce.
Oblegający my i obleżenie.
Z tej ciemnej chmury, co się na nas toczy
Błyskawicami bici w same oczy,
Zmięszani... Cóż nam, Fernandzie, zostało?
Powiedz, co czynić?

Don Fernand.

Co? umierać z chwałą.

Niech nacierają ci oba alianci,
My na śmierć idźmy jako wojownicy,
Jako dwaj mistrze, jako dwaj infanci,
A choćby tylko jak Portugalczycy.
Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów:
Ave i Chrystus... hasło nasze stare,
I stańmy oba na czele szwadronów,
I umierajmy, mój bracie, za wiarę.

(Wchodzi Don Żuan).

Don Żuan.

Złe lądowanie jest wszystkiemu winą.

Don Fernand.

Nie czas się teraz zatrudniać przyczyną
Złego... gdy zewsząd wróg i krew i jęki...
Do poratunku trzeba użyć ręki
Przeciwko siłom Tangieru i Fezu...
Za mną!... W Twe Imię Przenajświętszy Jezu!
Za mną!

(Wychodzą wszyscy, z drugiej zaś strony na pustą
scenę, wchodzi Brytasz).

Brytasz.

Otóż i śmierć! otóż i sztuka!
Pięknie ten rycerz swoim hasłem puka
W bramy niebieskie; klucze przenajświętsze
Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
Gdzie święty mieszka aż na siódmym piętrze.
Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
Które mi sercem jak dyabły szamocą,
Rozmyślam, na co my tutaj i po co?
A z rozmyślenia to wynika mego,
Że odtąd mam się już za umarłego.

(Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi Don
Henryk w pojedynku z Maurem).

Maur.

Kto się broni tak uparty?
Szabla moja, piorun żywy,
Który spada aż ze sfery czwartej.

Don Henryk (depcąc Brytasza).

Choć co krok ja nieszczęśliwy
Chrześcijańskie depcę ciała,
Ręka moja nie omdlała,
Nie straciłem mocy w duchu.
Jeśli ja piorun? ty trup... Ty piorun? ja skała.

(Wychodzą z Maurem, bijąc się).

Brytasz.

I prawda, że mnie dobrze nadeptał po brzuchu.

(Wchodzi Don Żuan w pojedynku z Mulejem).

Mulej.

O! rycerzu! twoje męstwo
Nie widzi, że słabo walczę;
Że chciałbym ci dać zwycięstwo.

Don Żuan.

Co mi powiadasz, zuchwalcze?
Nie przyjmuję takich danin.
Broń się! —

(Depce Brytasza).

O! straszliwa męka!

Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcijanin!

(Wychodzą, bijąc się).

Brytasz.

Nadeptał mnie, lecz o mnie niechaj się nie lęka.
A gdyby lżej mnie deptał, to byłby rozumny.

(Wchodzi Don Fernand, cofając się przed nacierającym Królem Fezu).

Król.

Portugalczyku dumny,
Oddaj mi twoją szpadę;
Pod strażą cię zostawię,
I rękę na sercu kładę,
Że obejdę się łaskawie,
Choć twojego miecza znaki
Na piersi rozdartej noszę.
Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

Don Fernand.

Nie dam ci mego nazwiska
Ani szpady... o śmierć proszę.

(Wchodzi Don Żuan i ciałem swoim zakrywa Fernanda.

Don Żuan (do króla).

Ten miecz, o! panie, co w twem ręku błyska,
Już okręcon koło głowy;
Przez tę pierś chyba dostanie,



W. PAWLISZAK.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.

Jak przez mur dyamentowy,
Mego księcia. (Do Fernanda) O! mój panie!
O! mój książę! krzep się w sobie.
Teraz, teraz ja przy tobie
Aż do śmierci.

Król.

Stój, co słyszysz?
Księcia Fernanda oglądam?
Więszszego łupu nie żądam,
I ten wielki dzień zapiszę
Pomiędzy najszcześniejszymi. —
Zatrzymać ludu zagładę.
A ty — królowi tej ziemi,
Fernandesie, oddaj szpadę.

(Wchodzi Mulej).

Mulej (na stronie).

Co widzę? o! biada jemu!

Don Fernand (oddając szpadę).

Królowi tylko samemu
Oddaję ten oręż święty,
Nie chcąc jak desperat ginąć.

Brytasz (wstając).

Jak widzę, próżne wykrety!
Z łańcuchem nie można się minąć.

(Wchodzi Don Henryk).

Don Henryk.

Ach! co widzę? brat mój wzięty!...

Don Fernand.

Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem.
Bo to, mój miły bracie, zwycięstwo nad losem,
Jeśli go człek wolny umie
Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

Król.

Tak, Henryku, twój brat się dostał do niewoli...
A choć mogę i słuszność mi, sędzę, pozwoli,
Abym go na śmierć skazał, serce mam ruszone,
Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
A los, który mię panem niespodzianym robi
Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
Więc owszem, z ciągłą myślą o tym niewolniku
Powracaj do ojczyzny i powiedz, Henryku,
Duartowi królowi, że temu poruczę
Więżnia, co mi przywiezie złote Ceuty klucze,
Nie inaczej. A teraz, jako moja własność,
Do Fezu ze mną raczy twa księżca Jasność.

Don Fernand.

Jako u mojej sfery słońcem idę wszędzie.

Mulej.

Ach! serce moje smutek dwojaki posiędzie,
W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

Don Fernand.

Henryku, ja zostaję tu pełen pogody;
Na zło i dobro... wytrwam jak ludzie niezłomni.
Jedź i proś brata, niechaj o mnie się upomni
Jako pan chrześcijański.

Don Henryk.

On się zobowiąże...

Don Fernand (przerywając, mówi z powagą).

Niech się upomni jako chrześcijański książę...
Jak katolik.

Don Henryk.

Takim ja, mój bracie, powrócę.

Don Fernand.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę
I uściskam, bracie mój, Henryku kochany!

Don Henryk.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany?

Don Fernand.

Bywaj zdrów, Don Żuanie.

Don Żuan.

Żywot mój bez celu...

Ja tu, z tobą.

Don Fernand.

Więc zostań ze mną przyjacielu.

Don Henryk.

O! dzień pełny nieszczęścia!

Don Fernand.

Wszyscy bądźcie zdrowi!

Jedź, Henryku... i powiesz odemnie królowi...

Nie, nic nie mów... Słowom to powierzać daremnie,

Ot, tylko te łzy moje zanieś mu odemnie.

(Rozchodzą się, Don Fernand z Maurami, Don
Henryk ku brzegowi morskemu).



DZIEŃ DRUGI.

*Ogród króla. — Na ganku pokazuje się
Fenixana.*

Fenixana.

Zara! Estrella! Roza!... Cóż?
Nikogo nie ma oprócz róż?

(Mulej wychodzi z po za wzgórza).

Mulej.

Piękna! w wołaniach imię zmien,
Ja ci odpowiem, lutni słodka!
I oko twoje mnie napotka,
Boś ty jest słońce, ja twój cień.
Za tobą chodzę nakształt chimur
I słysząc echo twego głosu,
Wołanie twoje, zszedłem z gór. —
Co dumasz?

Fenixana.

Ach! z mojego losu
Girlandy sobie czarne plotę.
W górach, gdzie jedno pochlebne,
Wolne, niewdzięczne i srebrne
I słodkie i szepczące tęsknotę
Źródło ma tajemną grotę,
I stamtąd strumieniem bieży

Kwiaty łąkom malujące;
Pochlebne – bo szepce coś łące
A własnym słowom nie wierzy;
Niestate źródło i zwodne,
Bo chociaż szemrze – pogodne;
Wolne – bo otwarcie gada,
Gdy głos zefirom poruczy;
Szalone – bo ze skał spada,
A słodkie – bo w trawach mruczy;
A głośne – bo słyszane z daleka,
A niewdzięczne – bo ucieka.
Tam, przy tem źródle, zmęczona
Ściganiem za jedną sarną,
Z melancholią moją czarną
Ległam... a góry tej strona
Pokryta nakształt płomyków,
Krzyżącą jaśnią gwoździków,
Jakoby falą karminów
I szmaragdami jaśminów
Błyszczała. – Ledwo z tęsknotą
Smętnym się oddalam dumom
I samotnym źródła szumom
I wielkiej ciszy... gdy oto
Szmer usłyszałam za sobą:
Przeleżała, skoczyłam z trawy,
I twarz w twarz z ciemną osobą,
Z duchem kobiecej postawy,
Z czarną spotkałam się marą:
Z Afrykanką suchą, starą,
W lachmanach, z pochyłym grzbietem;
Z cieniem człowieczej postaci
I z cienia tego szkieletem
Zesłam się. Zda się, pień drzewa,
Co korę spróchniałą traci
I bursztynem się oblewa.
Gdy czarne myśli naraisz,
Czarne wróżby ci przychodzą
I straszą i sercu szkodzą,
Nim się do nich przyzwyczaisz.
Gdy mię wzięła ta szalona
Za rękę, szatańskie plemię!

Myślałam, że wrosłam w ziemię,
Że byłam drzewem jak ona...
W oczach mi czarno i dymno...
Od jej rąk szło we mnie zimno;
I broniłam się daremnie,
Od niej strach przechodził we mnie...
A jej głosy obłąkane,
Pełne urągania bezczelnych
I jądów pełne śmiertelnych,
Ciche, zaledwie szeptane,
W sercu się odbiły głucho,
Tak jak węże lazły w ucho.

„Nieszczęśliwa niewiasto!” wrzasła,
„Nieszczęśliwa! śmierci będziesz lupem!
Proś, by piękność ta twoja zagasła
Wprzód, nim zmarłych zostanie okupem.
Tak... ta piękność twoja będzie ceną,
A kupiony towar będzie trupem“.
To wyrzekła – a ja taką sceną
Zatrwożona i dotąd lękliwa,
Pół umarła a jeszcze pół żywa;
Ach! i lepiej bym cała umarła!
Niżby ta wróżba straszliwa,
Wiedźmie tej wydarta z gardła,
Była prawdą, nim wejść w mogiłę,
Nim te oczy blask niebios utracą. –
Ach! więc ciało ludzkie! ciało zgniłe
Oszacują i mną żywą zapłacą?

(Wychodzi).

Mulej.

Porzuć, piękna, te rozpaczę,
Ja ci sny pełne trwogi
Jedynie przez mój los srogi
Rozwiążę i wytłómaczę.
Tarudanta masz być żoną!
A jeśli go nie pokonam...
(Ach! na samą tę myśl konam!)
To pewnie, że moje łono
Na dwoje mieczem rozkroi,

Nim go twa miłość napoi...
Więc zawsze widzę z daleka,
Jak mi los okrutny grozi;
Za mnie, martwego człowieka,
On cię dostał i uwozi:
I tak... o! moja Syreno!
Przyszłość wróżbę sprawdzoną zobaczy;
Bo ty mego trupa będziesz ceną,
Bo z miłości skonam i z rozpaczny.

(Ustępuje na stronę. — Wchodzi Don Fernand bez bro-
ni, ale w książęcym ubiorze. Niewolnicy, pracujący
w ogrodzie, zbiegają się ku niemu).

Pierwszy niewolnik.

W tym ogrodzie, kopiąc grzędy,
Skorośmy tylko postrzegli,
Panie, że przechodzisz tędy,
Wszyscyśmy oto przybiegli
U nóg twoich się położyć.

Drugi niewolnik.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć!
I tę nam ulgę w nędzy dał jedyną!

Pierwszy niewolnik.

Tyś jest litosny! bo lzy twoje płyną,
Ty niewolników litujesz się męce.

Don Fernand.

Bracia! podajcie mi ręce.
Bóg, co widzi ludzkie duchy,
On wie, że temi rękami
Chciałbym zdjąć wasze łańcuchy;
Ale nie mogę. — Bóg z wami!...
Pracujcie cicho i skromnie,
A częściej o Nim niż o mnie
Pamiętajcie. — Smętna chwila!...
Ale też miejcie nadzieję,
Bo zło, gdy nad miarę przeleje,
To się często na dobre przesila.



W. PAWLISZAK.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.

Pomnąc, że i w ostatecznym
Razie odwaga pomoże,
Idźcie i z losem koniecznym,
Sercami nie bądźcie w sporze.
Uwaga ta niech was czyni
Odważnymi na fortuny upiora;
Bo to dziwna na świecie bogini!
Trup z niej dziś – a kwiat był wczora,
To się może znów jutro zaśmieje.

O! Boże! cóż dawać rady!
Kiedy ten tłum taki błądy
I smętny... takie łyż leje!
Trzeba te nauki schować,
Aż ich serca jęk nie zgłoszy. –

Chciałbym was czem udarować,
Ale nie mam nic przy duszy,
Przebaczcie mi, przyjaciele!
Nadzieją się z wami dziełem,
Bo sądzę, że nam z ojczyzny,
Co pewnie tam o nas pamięta,
Przybędą wkrótce okręta,
Zgoją cierpienia i blizny;
Wtenczas, co ja mam na świecie,
To będzie moje i wasze:
Wszystkich rękami opaszę!
Wszyscy ze mną pojedziecie! –
Teraz idźcie już, biedacy,
Srogo bardzo spracowani;
Idźcie znów do waszej pracy
I bądźcie panom poddani.

Pierwszy niewolnik.

Twoje zdrowie, panie nasz,
Nieszczęsnym nam dodaje sił.

Drugi niewolnik.

Bogdaj ty setne lata żył!
Bóg ciebie weź pod swoją straż!

(Niewolnicy odchodzą).

Don Fernand.

Duch mój został pełny mąk
I w smętnem dumaniu stoi,
Żeście wy od moich rąk,
Biedni, tak odeszli z niczem!
Biedni! biedni, bracia moi! –
Któż nad sercem niewolniczem
Ulituje się prócz Boga?
(Mulej wychodzi z ukrycia, gdzie patrzył na po-
przednią scenę).

Mulej.

Tu byłem. I żalność sroga
Zdjęła mnie... i z uwielbieniem
Patrzałem, z jaką miłością
Traktowałeś niewolniki.

Don Fernand:

Zaprawdę, żem przejęty litością
I przejęty był cierpieniem,
Patrząc na te męczenniki,
Które pan do taczek pędza...
I uczyła mię ich nędza,
Jak znosić więzy haniebne
I los swój dźwigać biednemu...
Kto wie? może mnie samemu
Wkrótce to będzie potrzebne.

Mulej.

Co wasza Jasność powiada?!

Don Fernand.

Co? – kto się infantem rodził,
A dziś pan nim obcy władnie,
Niech wie, że los często spada,
I spadł już i jeszcze spadnie.
W infantwo mię już ugodził:
A kto wie? może niżej pokłoni?...
Dzień za dniem nieszczęsny goni
I płacz z płaczem w łańcuch wiąże.

Mulej.

Nie mniejszy mój ból, o! książę!
Chociaż innego rodzaju.
Bo wasza Jasność do kraju,
Jak sądzę, wkrótce powróci...
Ale to, co mnie tu smuci,
Ratunku znaleźć nie może;
Troska moja bezimienna...
Fortuna jak księżyc zmienna.

Don Fernand.

Gość jestem na waszym dworze
I twój los mię serdecznie obchodzi.
A tyś mi nie dał nowiny,
Jak się tobie powodzi
Z sercem tej cudnej dziewczyny?

Mulej.

Łaski były na mnie złane,
Ale wielką tajemnicą
Usta przypieczętowane
I tą pieczęcią zamknięte...
Lecz przyjaźń ma prawa święte,
Więc z jakąm winien różnicą,
Tym dwóm a równym potęgom,
Obojgu serca przysięgom,
Powiem mową nieudolną,
Ile mi powiedzieć wolno
I com ci winien istotnie. —
Miłość ma cierpi samotnie,
I bogata jest i biedna,
Bo jak Fenix na świecie jest jedna
I nie ma podobnej sobie.
Miłość moja jest na próbie,
Bo dla oka, myśli, duszy,
Fenix jest skrą wyobraźni; —
Feniks powodem katuszy
Dla uczucia, miłości, bojaźni.
Fenix nadzieję mi niszczy,
Gdy wątpię i czuję trwozę...

Lecz gdy się na duchu wzmogę,
Fenix mi nadzieją błyszczą,
Fenix moją wieczną troską!
Fenix moją iskrą boską!
Tak mej przysięgi nie łamiąc,
Przyjaźni fałszu nie zadam,
Bo o Fenixie ci gadam
I nie milcząc i nie kłamiąc.

Don Fernand.

Więc ci powiem bez ogródki,
Otwarcie, żeś nie wart litości;
Bo Fenixem są twe smutki
I Fenixem ty jesteś miłości.—
Lecz mój ból, miły kolego,
Mój smutek—to co innego...
Ludzie go pojną niejedni,
Bo to jest smutek powszedni,
I wielu już tak cierpiało.

(Wchodzi król Fezu).

Król.

Książę, oto za tą skalą
I tam, za tymi parowami,
Kazałem przyrzadzić łowy.
Nim słońce swój wieniec spali
Pośród pereł i koralu,
Strzelce zaskoczą z przeciwka
I tygrysa nam napędzą.
Dla księcia to będzie rozrywka.

Don Fernand.

Panie, twe ręce nie szcędzą
Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
Zawsze wynajdując nowe
Rozrywki rozrywkom bliźnie;—
Jeśli tak zwykłeś, pan dziki,
Traktować twe niewolniki,
To zapomną o ojczyźnie!—

Król.

Więźniom takim jak ty, panie,
Którzy panów swoich szczyć,
Takiem winien traktowanie.

(Wchodzi Don Żuan).

Don Żuan.

Panie, idź i spójrz strzelnicą
Na morze, a mówię szczerze,
Ujrzysz najpiękniejsze zwierzę,
W którym się i dzikość szczerza
I ludzka maluje sztuka.
Jedna chrześcijańska galera
Do drzwi tego portu stuka.
A taka piękna i wolna,
Choć cała czarna i smolna,
Że nam pojąć niepodobna,
Patrząc na tego sokoła,
Jak ona razem wesoła
I w wesołości żałobna?
Wszyscy tam wysoko staćcie,
Portugalski herb ujrzycie.
Żałoba ta po infancie
Prędko nam pociechą zlegnie,
Bo z jej lotu po błękitach
Widać, że po niego biegnie.

Don Fernand.

Przyjacielu, Don Żuanie,
Omyli cię ta rachuba,
Zły to znak, to jej ubranie
I ta żałoba jej gruba,
Oj, byliby oni biali,
Gdyby po mnie przyjechali?

(Wchodzi Don Henryk z pergaminem w ręku, w grubej żałobie ubrany, ze świtą).

Don Henryk.

Ręk mi pozwól, Tangierski mocarzu.

Król.

W szczęśny czas wasza Jasność przybywa...

Don Fernand (do Żuana).

Don Żuanie... już ja na cmentarzu...

Król (na stronie).

Ceuta moja!

Don Henryk.

Niech mi wasza mościwa
Łaska brata uściskać pozwoli.

Don Fernand (ściskając brata).

Mój Henryku – czemu tej niedoli
Znak na tobie? i twarz taka błada?
Dość!... Twa postać mi to sama powiada.
Słów nie trzeba, bo mówią tve oczy. –
Nie płacz, bracie, ja wiem, co cię boli,
Ja wiem, co ci serce tłoczy.
Masz mi donieść, że zostanę w niewoli?...
Ha! to dobrze, ja tego i żądam.
Niepotrzebnie cię w żalobie oglądam;
Mogłeś przyjść tu wesoło i w bieli
I mnie mogłeś uścisnąć weselój
I ucztować na każdym popasie. –
Jak się ma brat mój miły i król mój?
Nic nie słucham, aż powiesz, jak ma się
Brat i pan mój...

Don Henryk.

O! bracie – ach, ból mój
Bez wyrazów... ach! ty nie wiesz, co czuję...
Niech raz tylko poselstwo sprawuję,
A ty, bracie, co mi towarzyszysz
Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,
I dość będzie jednego słuchania!

(Do króla Fezu).

Panie, chociaż na tej górze,
Gdzieś przybył dla polowania,

Nie w stolicy twojej murze;
Podaruj mnie swą uwagą,
A tego jeńca wolnością.
Kiedy wielką nawałnością,
Kiedy wielką fal przewagą
Bici, na morskich rozruchach,
Utraciliśmy armadę;
Gdy infant został w łańcuchach;
Gdy te wieści, jędze blade,
Rozkołysane przez dzwony,
Przyleciały do Lizbony
Z wiatrem, co po morzu dyszał;
Kiedy król o nich usłyszał,
To bez żadnej prawie skargi
Wpadł w melancholie serdeczne,
A z melancholii w letargi,
A z letargów we sny wieczne.
I zwłoki jego dziś leżą,
Płacze go ciżba nabożna;
A ludzie, patrząc, dziś wierzą,
Że z boleści umrzeć można.
Niebieska mu świeci chwała!

Don Fernand.

Tyle brata kosztowała
Moja niewola!

Król.

Wie Alla,
Ile mię ta śmierć zasmuca.

Don Henryk.

Otóż król, co świat porzuca,
W swym testamencie pozwała,
Owszem, każe dać fortecę
Ceuty za infantą osobę...
A ja, przywdziawszy żałobę,
Od króla Alfonsa lecę,
Jako od dziedzica tronu,
Którego jeszcze nie znacie,
Oto z tym aktem...

Don Fernand (wyrwijając pergamin).

Stój, bracie!

Słowa te pełne poklonu,
Nietylko że nie są godne
Krwi królewskiej i wyrodne,
Nie godne są ust infanta,
Nie godne mistrza zakonu,
Od którego wiara czeka
Wsparcia i wiecznego zelanta;
Lecz nie godne są człowieka
I nie godne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał...
Że mój brat (niech mu Bóg świeci)
Włożył ją do testamentu,
Tę klauzę – to tylko na to,
Aby u ludzi widziano,
Że brat dba o swego brata;
Nie na to, aby czytano
I tłumaczono to słownie...
Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę! –
To ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie, albo gwałtownie,
Z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o infanta.
Jakżeby król katolicki
Jak on, wierny, sprawiedliwy,
Taki król jak on? – nieżywy,
Na swój proch oddany laurom
Kładł taką okropną plamę,
By Ceutę oddawać Maurom,
Tę Ceutę – miasto to same,
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W Imię Przenajświętsze Pańskie,
Ze szpadą i ze sztandarem
Przyskoczył i chrześcijańskie
Chorągwie zatknął na wieżach.
A teraz byłoby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach
By miasto, które wyznało,
Że Chrystus jest Boga Synem,

Kościół pozakładało,
Gdzie się Imię Jego święci
Pośród serdecznych płomyków,
I męka się ma na pamięci,
Aby kościoły już stare
Przez ludzi, przez katolików,
Przez ludzi, co mają wiarę
I tego Boga wyznają,
Przez ludzi, co serca mają!
Przez nas! przez Portugalczyków!
Były?!... Aby te kościoły,
Które złoconemi czoły
Podpierają mleczne pasy,
Jak naszej wiary Atlasy;
I na krzyż złoty pobożny,
Wieszają słońca czerwone;
Aby przez księżyc dwurożny
Były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak jak męczennice!

Więc-że teraz te kaplice
Opuścilibyśmy tajnie?
Oddawszy na stodoły i stajnie;
Albo, czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity?—
Gdy to mówię—tchu mi braknie!
Gdy myślę—stoję jak wryty;
Język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje
I drży całe moje ciało!—

Bo choć to nieraz bywało,
Że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga,
I dała mu sen w swoim żłobie—
Lecz meszkity?! Boże Panie!
Ach, toby na naszym grobie
Napisano: tu Chrześcijanie,
Przewrotnym podobni panom,
Wygнали Boga z kościołów,
Boga i Jego aniołów,
I oddali je szatanom!

I byłoby sprawiedliwie,
Ażebyśmy boże gmachy,
Gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat pod nami
W zatrożeniu i podziwie,
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi,
Chrześcijański a gorący
Z miasta wychodził płaczący,
Z dobytkiem, z całą rodziną:
A my na te łzy, co płyną,
Patrzalibyśmy, gnąc szpady?
Aby osadnik nierady
Zmieniał wiarę dla majątku?
Aby tam Arab dzieciątku
Urodzonemu bez winy
Wlewał fałsz trupa z Medyny,
Za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary nagiął,
Do swych zapędział namiotów
Do swego zamykał płota? –
Więc dla jednego żywota
Tyle chrześcijańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek! –
Cóż ja? czym więcej niż człowiek?
Cóż mię równa z ludzi likiem? –
Czy to, że byłem infantem? –
Więc oto nie infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem,
uż nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy nikczemnie
Żyć i tu Pana bogacić.
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? – Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem,
Bo kto swoją wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja – dawno już umarłem.
Któż mię dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?

Daj! – niech drę te pergaminy!
Niech drę na świstki tę kartę,
Niech drę na kawałki gadu –
I jeszcze je zjem już podarte,
Aby nie zostało śladu.

(Drze pergaminy i kawałki polyka).

A teraz, królu i panie,
Rozkazuj mi, panuj srogo,
Jak chcesz... Niewolnik zostanie,
Którego kupić nie mogą.
Każ, niech mię łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny;
Cierpliwością cię nasycę. –
Henryku, wróć do ojczyzny
I mów: żeś mię tu w Afryce
Zostawił pogrzebanego.
Bo ja z żywota mojego
Taką rzecz pokorną zrobię,
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty. –
Chrześcijanie! ksiązę Fernand już skończył!
Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
Lecz co do was, czas służby już wybył. –
Maury! oto niewolnik wam został. –
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył,
I łyzy swoje połączył z waszemi.
Wy niebios! oto człowiek na ziemi
Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpiera na skale.
Morza! morza! do fal waszych pada
Jedna łąza, co powiększy wam fale.
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka.
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka.
A ty ziemio! oto garstkę popiołu
Rzuca tobie i zewłok człowieka,
Co z robaków twoich włoży laury...

A to wszystko, by ten król i te Maury
I ten infant i ziemi gdzieś końce,
Chrześcijanie i księżyc i słońce
I niebios a i ziemia i chmury
I zwierzęta i morza i góry
I kto jeszcze na powietrzu przytomny
A pieczęć żywota nosi,
Tu widzieli: – jak księżę niezłomny
Wiarę swoją przeświątą podnosi,
W obronie praw bożych stawa,
I przed Maurami wyznawa
Jego Przenajświętsze Imię.
A choćbym w działowym dymie,
Śród mieczów i ludzkich grotów,
Bronił od ludzkiej obrazę
Niewymówionych przymiotów
Tej, co poczęła bez zmyzy,
A miał w sobie sto żywotów,
Oddałbym żywot sto razy.

Król.

Twardy, niewdzięczny człowieku!
Także mi za łaski moje
Odplądasz?... Jak śmiesz, robaku,
Tego mi właśnie odmawiać,
Czego najwięcej żądałem?
W państwie cię tak traktowałem
Jako brata, jako syna;
Nie czuleś prawie niewoli.
Lecz teraz przyszła godzina,
Że cię twój łańcuch zaboli
I los cię ukole srogi.
Tu, więźniu! z duszą robaczą!
Tu sam! niech wszyscy zobaczą,
Jak ty mi całujesz nogi...

(Fernand klęka mu do nóg).

Don Henryk.

O! nieszczęście!

Mulej.

O! cierpienie!

Don Żuan.

Boże! co za poniżenie!

Król.

Do mnie twe należy ciało.

Don Fernand (wstając).

Tak, zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda,
Panować nad kościami mojami:
Bo ta ziemia, to gospoda
W ogromnej naszej podróży;
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem klócił;
I na końcu każdej burzy
Znowu do ziemi powrócił.
Więc, żeś mi kazał pochyłą
Twarzą paść tu, gdzie proch leży!
Za to ci wdzięczność należy,
Bo mię oswajasz z mogiłą.

Król.

Ponieważ jesteś w niewoli,
Zatem więc idzie z porządku,
Że nie możesz mieć majątku,
Ni pieniędzy, ani roli.
Więc ponieważ ciebie trwoga
Może zmusić... lub bicz pana,
Czemu mi Ceuta nie zdana?

Don Fernand.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga.

Król.

Nie jest-że to pierwsze prawo,
Że niewolnik pana słucha?

Don Fernand.

Nie przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.

To nie pies nęcony strawą,
Ale uchrystusowana
Natura z woli przymiotem,
Która służy... grzech ję maże.

Krół.

Podły jeńcze, zabić każe.
Dam ci śmierć...

Don Fernand.

Śmierć jest żywotem.

Krół.

Więc życiem ciebie obdarzę,
Ale takim, że się złęknieś
I sam śmierci będziesz chciwy.
Bo jam srogí.

Don Fernand.

Ja cierpliwy.

Krół.

Obaczymy – zaraz zmięknieś.
Hej...

(Wchodzi Selim, dozorca niewolników).

Selim.

Co, panie?

Krół.

W mgnieniu oka
Wziąć go, niech mi stóp nie plami,
I porównać go z jeńcami.
Niech jego postać wysoka
Ugnie się pod równą nędzą;
Niechaj go do łazien pędzą,
Niech moich koni dogłada;
Dać mu w ręce taczki, grabie
A zdjąć te jasne jedwabie

I ubrać w szarak ubogi;
Dać chleba, gdy jeść zażąda,
Splesniałą wodę niech pije;
Łańcuch mu włożyć na szyję,
Łańcuchami okuć nogi;
W mazamorach bez podłogi,
Na wilgoci niechaj lega;
Niech jego orszak służebny
Tym samym prawom podlega,
Co on.

Don Henryk.

O! wyrok haniebny!

Mulej.

O! żałości!

Don Żuan.

O! rozpaczy!

Król.

Zobaczy ten jeniec! zobaczy!
Czy mi jego duma sprzeczna
I cierpliwość na tej próbie
Wytrwa.

Don Fernand.

Wierz mi, wytrwa tobie.
Bo ta cierpliwość jest wieczna.
(Wychodzi za dozorcą niewolników).

Król.

Henryku, a co do ciebie,
To ci powrotu nie bronię.
Wracaj i powiedz w Lizbonie,
Niech się w popiołach zagrzebie,
Bo stracon ratunek wszelki.
Bo jej infant, jej mistrz wielki
Został tu — czyści mi konie.
Niech mu z ratunkiem przychodzą.

Don Henryk.

O! przyjdą! knę się przed światem,
Że przyjdą pod Boga wodzą.
A że ja tu z moim bratem
Nie został, choć serce boli,
To dla tego, krótu fezki,
Że przyjdę jak syn królewski,
Uwolnić brata z niewoli.

(Wychodzi ze światą).

Król.

Czyń, co ci rozum poradzi.

(Wychodzi).

Mulej.

A teraz nic mi nie wadzi,
Ażebym się Fernandowi
Z długu wdzięczności uiścił.

(Wychodzi).

ZMIANA I-sza.

Inna strona ogrodu, zdala pracują niewolnicy i widać Fezu mury.

(Wchodzi Don Fernand w niewolnika sierniędze i Selim).

Selim.

Król każe i to stanowi,
Abyś tutaj ogród czyścił;
Posłuszny więc bądź królowi
I schyl do pracy ramiona.

Don Fernand.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.
(Wychodzi z Selimem).

Pierwszy niewolnik (zbliża się śpiewając).

Oj, na Tangier wysłał król!...
Jaki ból! jaki ból!
Na podbicie wysłał świata
Don Fernanda, swego brata,
Posłał król! posłał król!
Aby zawojował Fez; –
Ile łez! ile łez!
Don Fernanda wysłał król...
Ile łez! jaki ból!

(Don Fernand wchodzi i zdala słucha tej piosenki).

Don Fernand.

Już z historyi mojej jest piosenka.
Już ją słyszę żałośnie śpiewaną,
Smętny jestem i serce mi pęka.
Duszę jakby mam zaturbowaną
I złąknioną...

Pierwszy niewolnik (nie poznając księcia).

Co ci jest, niewolniku?
Czy ty nie wiesz, że wolność mieć mamy?
Infant wraca i wszyscy wracamy,
A tu na tym mogilniku
Nie zostanie z nas żaden! z nas żaden!

Don Fernand (na stronie).

O! jak prędko tę nadzieję straciecie!

Pierwszy niewolnik.

Przynieś, bracie, wody na ten gradyn
Polać kwiaty.

Don Fernand.

O wodę prosicie?..
O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,
Który z wami smętne życie wiodę,
Udajecie się, bracia, po wodę.
Bo zaprawdę—że choć cierpię niezłomnie,
Jakiś robak, tu, serce mi toczy,
Pełne serce i łez pełne mam oczy.

(Bierze wiadra na plecy i wychodzi).

Niewolnik.

Nam do łaźni iść teraz wypada,
Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.
(Wchodzi Don Żuan, szukając oczyma księcia między
niewolnikami).

Don Żuan.

Szukajmy, czy ta gromada
Gdzie mego księcia nie mieści?

Może go ci robotnicy
Widzieli?... szukam go wszędzie.
Przy nim i mniej mi boleści,
I siły w sercu przybędzie.—
Bracia, powiedzcie mi, proszę,
Czyście tu gdzie nie widzieli
Noszącego kwiatów kosze
Księcia Fernanda?

Pierwszy niewolnik.

Nie, bracie.

Don Żuan (na stronie).

Pomóżcie, święci anieli!
Bo leż utrzymać nie mogę.

Pierwszy niewolnik.

W łaźni go pewnie spotkacie.
Pokażemy tobie drogę
Do tej gorącej piekielni.

(Don Fernand wchodzi z wiadrami na plecach).

Don Fernand (patrzac w niebo).

Czy się nie złękniecie, śmiertelni,
Widząc w takim pohańbieniu
I mizeryi infanta korony?
Mistrza Avis? czy w zastanowieniu
Czas nie stanie, jak stają zegary!

Don Żuan.

O mój panie! jaki ty zbiedzony!?
O mój panie! w jakim ty odzieniu
O! mój księżę, do jakiej ty mary
Już podobny? jak żal cię już strawił!!

Don Fernand.

W imię Ojca!... wielkiś smutek mi sprawił
Tem odkryciem, drogi don Żuanie.
Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie

A tu trzeba spokojnej odwagi
Ufającej.

(Wchodzi Zara z koszykiem).

Zara.

Chodźcie tu, niewolniki.
Fenix, moja pani, prosi,
Ażebyście te koszyki
Napełnili kwiatami.

Don Fernand (biorąc koszyk).

Ja pierwszy
Będę kosił je tak, jak śmierć kosi.

Niewolnik.

Idźmy tam gdzie ogród szerszy.

Zara.

Ja z ganku patrzę za wami,
Jak chodzicie za kwiatami
I polewacie je łzami.

Don Fernand (do niewolników).

A wy bez tych już poklonów,
Bracia moi ukochani;
Łosem my już porównani,
A jeszcze królowa zgonów
Jutro we drzwi zakołace,
Szczerzą równość postanowi:
Więc, bracia, na co tę pracę
Zostawiać jutro grobowi?
(Wychodzi z Don Żuanem i niewolnikami. —
Wchodzi Fenixana i Roza).

Fenixana.

Czy posłałaś niewolniki
Po kwiaty?

Zara.

Zaraz powrócę.

Fenixana.

Zasmuciły mnie słowiki
Kwiaty może odesmucą
I kolorami zabawią.

Rozą.

Twe fantazyje takie ładne
I piękne, że ach! nie zgadnę,
Jakie ciębie smutki trawią,
Gdy je kwiatami malujesz?

Zarą.

Cóż ty cierpisz? cóż ty czujesz?

Fenixana.

Nie sen to był—ani widzenie,
Ale mój los i przeznaczenie.
Bo czy nieszczęsnemu śni się,
Że znalazł gdzie skarby duże?
Brylanty jak jaja kurze
W perłowej leżącej misie?
Czy mu się przyśni, że czyta
Napis literami krwawemi,
Że wszystko stracił na ziemi,
Tak że we śnie aż zazgrzyta?
Jeśli go nieszczęście tłoczy,
Zarówno obudzonemu
Spojrzy świat w zbudzone oczy
Nieszczęściem... Biada biednemu!
Ach, i mnie nieszczęsnej biada,
Na którą los taki spada,
Że za umarłego mię dadzą.

Zarą.

Na to płacze nie poradzą.
Jeśli ciębie takie smutki rozdarły,
Jakże cierpieć ma—ach, ten umarły?

Fenixana.

Któż słyszał o takim losie,
Jak ten, co nademną świta!

Nieszczęśliwa ja kobieta!
Wykąpana w kwiatów rosie,
Jako perła czysta, biała,
Biała jak srebrne łabędzie
Przy żółci trupiego ciała...
A ten trup—ach, kto on będzie?
Zda mi się, żem go widziała,
Ciągłe mi się w oczach roi.

Wchodzi Don Fernand z koszem kwiatów i staje
nagle przed Fenixaną).

Don Fernand.

Ten trup—tu—przed tobą stoi.

Fenixana.

Co widzę? Anieli w niebie!

Don Fernand.

Cóż cię trwoży?

Fenixana.

Ty! twoja twarz!

Strach mię zdjął, patrząc na ciebie.

Don Fernand.

I zaprawdę słuszność masz
Dziwić się fortunie światów.
Przyniosłem ci, oto, kwiatów
W koszyku, garstkę pokosu...
Zbierałem, gnąc się ku ziemi.
Są niektóre między nimi
Hieroglify mego losu;
Wyciągnij—znajdziesz niektóre,
Co były rano szczęśliwe
Jak ja...

Fenixana.

Ręce moje chciwe
Lecą na tych róż purpurę
Jak gołębie.—Ach, ten kwiat,
Który mi już w ręku spadł,

Znalazłam wczoraj wśród łąk
I nazwałam: maravilją.

Don Fernand.

Ach! tak nazwij każdą lilją,
Z moich niewolniczych rąk
Podaną... czyż nie jest cudem?

Fenixana.

O prawda! prawda!—Lecz któż cię tak zmienił?
Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

Don Fernand.

Seniora, mój los.

Fenixana.

Twój los tak srogie?

Don Fernand.

Tak twardy, pani!

Fenixana.

Ach, tyś mię skamienił!
Powiedz? za cóż to?

Don Fernand.

Jesteśmy skazani,
Rodząc się tu już, na mękę i ból.

Fenixana.

Czyż ty nie Fernand?

Don Fernand.

Ja Fernand—tak, pani.

Fenixana.

Któż skazał?

Don Fernand.

Prawo.

Fenixana.

Któż miał prawo?

Fernand.

Sam król.

Fenixana.

Za cóż to?

Don Fernand.

Jeniec, do niego należą.

Fenixana.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczora król wysoko cenil!

Don Fernand.

A dzisiaj serce, jak widzisz, odmienił.

Fenixana.

Ach, więc-że gwiazdom, co przy sobie siedzą,
Dosyć jednego dnia, by się rozeszły...

Don Fernand.

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą wesły,
Same ci na to, pani, odpowiedzą. —

Kwiaty, co wschodzą na ranek umyte

I tak się w zorzach rozwinęły jasno,

W objęciach nocy pomarszczone zasną

I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!

Lilije w tęcze kolorów spowite

I umoczone w złoto i karminy

Zejdą, jak duchy aniołów z doliny,

Z jednym dniem życia pięknego pozbyte.

A czy to rosy spadały obfite,

Czy otulone były mgłą i tęczą,

Śmierć je znalazła w godzinę urodzin...

Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręcą,

Że wieki, które się wloką i dręcą,

Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

Fenixana.

Ranisz mię... słyszę zdaleka

W twoim głosie wieków głos.

Kto cierpi na własny los,

Od cierpiącego ucieka.

Don Fernand.

A te kwiaty? takie śliczne?...

Fenixana.

Jeżeli pomiędzy nimi
Są kwiaty hieroglificzne,
Jak losy twoje, żałobne,
To je rozsypię po ziemi
I zdepcę....

Don Fernand.

Cóż cię w nich rani?

Fenixana.

Ach, że są do gwiazd podobne!...

Don Fernand.

Przebacz mi te grzechy, pani.

Penixana.

Co?

Don Fernand.

Niestałość, próżne blaski.

Fenixana.

Nie, wszystkie wypuszczam z laski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

Don Fernand.

Jak to?

Fenixana.

Moje przeznaczenie
Z jedną smętną gwiazdą chodzi:
Dla tego, bo kobieta się rodzi
Gwiazdom podległa i kwiatom,
Co ją prowadzą do truny.

Don Fernand.

Wiem, że w kwiatach są pioluny.
Ale ach! niebieskim światom
Wpływy przysądzam uczynne.

Fenixana.

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne.
Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne,
Niebieskie mają ze słońcem sojusze
I leją w słońce całą światła duszę,
Są także dniowi jednemu podwładne.
Kwiaty błękitu – bo są takie ładne
Jak te, którymi oto ziemię pruszę.
Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
Gwiazda ci mówi: przez noc jedną spadnę.
Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
Jeśli się od nich nasze losy winą,
Nie dziw, że często spadają i błędzą,
I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną...
I naszym losem tak niestale rządzą
One, co przez noc palą się i giną.

(Odchodzi).

(Wchodzi na scenę Mulej, który przy końcu tej
sceny stał za drzewami).

Mulej.

Czekałem, aż się oddali
Fenixana. Pierwszy raz
Od jej oka, od jej kras
Uciekam jak orzeł smętny,
Gdy na słońcu oczy spali. –
Fernandzie, czy jesteś sam?

Don Fernand.

Cóż mi powiesz, Muleju szlachetny?

Mulej.

Oto chciałem, abyś wiedział,
Że czasem i w sercu Maura
Znajdzie się miłość i wiara,

Radząca czyny rozpaczne.
Ach, nie wiem, od czego zacznę?
Nie wiem, czy ci mam powiadać,
Ile ja cierpiałem na to,
Kiedyś ty zaczął fortunie
Ulegać, pod nią upadać,
Jej niesłusznej podległ zmianie
I poszedł na urąganie
I stanął za przykład losów...
Ach, jak one z ludzi szydzą!
Tyle nędzy! tyle ciosów! –
Niech mię tu ludzie nie widzą,
Że z tobą, Fernandzie, gadam.
Bo król wydał rozkaz srogi,
Abyć ustępować z drogi,
Traktować cię bez respektu:
Lecz ja do nóg ci upadam,
Fernandzie, pełny afektu
I wielkiej wiary dla ciebie;
Twój niewolnik, a w potrzebie
Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
Tych chwil, więc krótko ci powiem,
Że przychodzę dług zapłacić,
Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
Wolność wolnością; więc żądam...
(Daruj mi, że się oglądam,
Czy nas gdzie nie widzą z murów)
Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
Weź je o! panie... a skoro
Noc się zaczerni, gotowa
Będzie łódź pod mazamorą,
Łódź dobra, silna i zdrowa,
Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.
A wtenczas ty, panie, duchem
Napełń twoje niewolniki,
Rozkuj więzy; znajdziesz na to
Gotowe piły, pilniki,
Zapas ubioru, bielizny;
Weź ich i na łódź skrzydlatą
Wsiadaj i uchodź szczęśliwy
Do miłej twojej ojczyzny.

Ja zaś tu zostanę żywy
Odpowiadać życiem, zdrowiem
I czem trzeba, tem odpowiem
I przed królem i przed prawem;
Gotów twoim być zastawem
Choćby głową, jestem gotów. —
To wszystko. — Ach, jeszcze sędzę,
Że ci potrzebne pieniądze?
Więc, oto garstka klejnotów
Za mój okup niechaj służy,
Bo człowiek, gdy się zadłuży,
Połowę przyjaźni traci,
Gdy pieniądz serca przegrodzi.
Dopiero gdy dług zapłaci
I usunie tego rocha,
Z przyjacielem równiej chodzi,
Lepiej czuje, wolniej kocha.

Don Fernand.

Mówisz mi o wolnej łodzi...
Chciałbym... Lecz patrz, król nadchodzi...

Mulej.

Czy nas widział?

Don Fernand.

Nie.

Mulej.

O, panie!

Skryj się...

Don Fernand.

Tutaj — w tej altanie.

(Fernand kryje się do altany. — Wchodzi król
i uważa to zdaleka).

Król (na stronie).

Gadali tajemnie oba.
Jeden skrył się do altany,

Drugi stoi pomięszany.
Wcale mi się nie podoba
To zejście obu, ta zмова.
Jeden się przedemną chowa,
Drugi zlekły stoi, czeka,
Więc go podejdę zdaleka,
A słuszny, czy nie, powód trwogi
Usunę.

(Do Muleja).

Bardzo się cieszę...

Mulej (przerywając).

Panie, pozwól uściskać twe nogi...

Król.

Żem cię spotkał tu...

Mulej.

Co mi rozkażesz?...

Król.

Wyznam tobie, żem mocno żaloszny
Z niepoddania się Ceuty.

Mulej.

O, panie!

Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu.
Siłom twoim nie oprze się miasto.

Król.

Nie, Muleju, ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego...

Mulej.

Jak to, panie?

Król.

O tak, przyjacielu...
Myślę nędzą i głodem okropnym

Tak przycisnąć Fernanda infanta,
Że mi sam tej fortecy da klucze.
Rzecz mię jedna tylko trwoży...
Oto infant, ten książę, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół.
Sami jeńce go widząc w niedoli
I w cierpieniu, gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść... a baczę też na to,
Że pieniądze łakomą są rzeczą,
Więc strażniki przejęte zapląta,
Mogą jeńca wypuścić—a nie mam
Pewnych ludzi...

Mulej (na stronie).

W tej go myśli utrzymam.

A tak, widząc moją dobroduszość,

O mnie bać się nie będzie...

(Głośno).

Masz słuszność!

Myśli twoje biorą dobry kierunek.

Krół.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób, a o tym sposobie...

Mulej.

Cóż to, panie?

Krół.

Pod straż go dam tobie,

Bo wiem, że cię nie kupi brylantem

Ani kieszą... Więc ty nad infantem

Postanowion, bądź jemu alka-dem...

Ufam tobie, a jedynym zakładem

Za infanta twój honor mi stoi.

(Odchodzi).

Mulej.

Słyszał wszystko i o mnie się boi,

Albo sam się domyślił wszystkiego.

O! Allachu!

Don Fernand (wychodząc z altany).

Cóż tak smutny, kolego?

Mulej.

Nie słyszałeś, co pan ten okrutny?...

Don Fernand.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

Mulej.

Czemuż pytasz, dla czegom ja smutny?

Dla czego stoję zmięszany?

Dla czego rozmawiam z sobą?

Czemu żal mi pierś rozrywa?

Pomiędzy królem a tobą,

Posłuszeństwem a przyjaźnią

Straszna się walka odbywa.

Sumienie mi będzie kaźnią,

Jeśli króla mego zdradzę;

Węgle na głowę zgromadzę,

Jeżeli ciebie opuszczę...

Ach! zaszedłem w straszną puszcze!

Myśl zbłąkanego odbiega...

Król na mnie tylko polega,

Ty we mnie masz tylko nadzieję...

Radź, co czynić?

Don Fernand.

Miłość grzeje,

I przyjaźń szczęście stanowi;

A choć obiedwie są święte

I zdradzone są ohydą,

Lecz w porównanie nie idą

Z wiarą należną krajowi

I klękają przed nią zgięte

Te anioły naszych dusz.

Więc radzę, królowi służyć

Z tą wiarą niepokalaną.

A ja tu przyrzekłem święcie,

Że choćby mi dziś dawano

Wolność na pierwszym okręcie,
Co do Portugalii płynie,
Odrzuć — bo na mnie leży
Twój honor i przezemnie nie zginie.

Mulej.

Jesteś zwierciadłem rycerzy!
Ale mi nie dawaj rad,
Wszak ty mi wróciłeś życie.
Smętnemu wróciłeś świat!
A ja miałbym... Nie, mój książe!
Tej nocy, jak była zмова,
U brzegu ci łódź przywiążę:
Uchodź — a moja tu głowa
Odpowie.

Don Fernand.

Bracie mój miły,
Byłżebym ja sprawiedliwy?
Dałżebym ja dowód siły
I serca? wolności chciwy,
Z hańbą mego przyjaciela...
Hańbą się jego bogacą,
Honor biorąc, serce tracąc?
Wolność, ten brylant wesela,
Jażbym jego łzami płacił?
Zostawiał tu męczennikiem?
Jeżeli miary nie stracił,
Która czyni ludzkie mierzy,
To bądź mi sam poradnikiem
I mów, czy mi to należy
Uczynić?

Mulej.

Ach! nie wiem, panie,
Co ci sam na to poradzę...
Powiem: nie, to serce pęknie,
Powiem: tak, to ciebie zdradzę,
Jak przyjaciół, co sam zmięknie
I w trwodze źle radzi może.

Don Fernand.

Więc ja tu słowo położę
Niewzruszone, głaz ogromny.
Wiedz, że mię tu sądy boże
Skazały, bym wybrał miarę
Litości i tu za wiarę
Skonał jak księżę niezłomny.

DZIEŃ TRZECI.

W pałacu króla fezkiego.

(Wchodzi Król i Mulej).

Mulej (na stronie).

Ponieważ pomóc nie mogę
Fernandowi niczem prawie,
Do króla się za nim wstawię.
Może on co postanowi
Litośniejszego z tym jeńcem...

(Głośno).

Panie, służyłem ci wiernie
I na lądzie i na morzu;
Wszędzie, gdzieś mię tylko użył...
I jeszcze tę pierś postawię...
A jeslim na łaskę zasłużył,
Dziś wysłuchaj mnie łaskawie.

Król.

Cóż tam?

Mulej.

Fernand...

Król.

Dosyć tego.

Mulej.

Sądziłem, żeś mi laskawszy.

Król.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
Jużes tknął mię i zostawiasz smętnego.

Mulej.

Jak to, panie?

Król.

Bo przysięgam na duszę,
Że dać chcialbym, a odmówić ci muszę.

Mulej.

Wszakże jestem strażnikiem książećcia.
Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

Król.

Mów, lecz nie sądz, że będę laskawy.

Mulej.

Ten Fernand, co z niemowlęcia
Na króla był wychowany,
A dzisiaj tak podeptany
Żałośnie stopą fortuny,
I tak blizki, panie, truny,
Takim straszliwym pośgiem
Do grobu po stopniach złata,
Że fortuny dziwolągiem
Wydaje się w oczach świata,
Który patrzy i drży z trwogi,
Widząc jej depcące nogi.
A myśli świat i o tobie,
O twojej mocy i sile,
Co takiej wielkiej mogile
Rzuca takie wielkie ciało.
Ty go sam trzymasz przy grobie,
Tyś mu jest na piersiach skałą;

Ty, panie, pod twoje nogi
Wzięłaś piersi takie dzielne,
To czoło takie naczelne!
Rzekłeś – a on dziś ubogi,
Nieszczęsny żebrak i nędzarz.
W rdzawym na szyi łańcuchu,
Nie godzien twojego słuchu,
Oczu, które ty oszczędzasz,
Abyś nie stracił płaczących;
Litości u przechodzących
Prosi rękami obiema,
Litości prosi i nie ma
Nawet litości!... Bo jako
Rozkazałaś panie srogi,
Aby wymiatał podłogi
I strawę miał lada jaką,
A potem odmówił strawy
I chleba dawać zabronił,
A do stajen twoich gonił
I w loch zapędził plugawy
Sypiać w mazamorach ciemnych,
Gdzie wilgoć ma gad i plamy:
Z członków się jego nikczemnych
Zrobił trup, a z oczów jamy...
Te oczy, niegdyś pogodne,
Dziś na ludzi patrzą głodne,
We łzach bolesnych czerwone,
Suche, głodem zapalone;
A ręce jałmużny proszą.
Rankiem swój go wynoszą
Z mazamor jako kość bladą
I gdzieś go na słońcu kładą,
Gdzieś na słońcu, pod murami;
Potem uciekają sami,
Bo... (ach, głos mi w piersiach głuchnie),
Bo ten księżę trupem cuchnie,
Gnije żyw, z kości opada;
Nikt z nim nie żyje, nie gada,
Nikt przy jego mazamorze
Od śwędu wytrwać nie może;
Tak kość, ciało, co się cegli,

Trąci i tak się rozpada,
Że go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa
Został przy tym panu biednym
I przyjaciel jeden jednym,
Szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa,
Ani dzuma, córka galer,
Nie odstraszyły od pana.
Ci dwaj, jeden mu kolana
Okrywa łachmanami wielą,
Drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dziela,
Choć dla jednego nie staje
Tej części. Bogi to wiedzą,
Jak oni ją we trzech jedzą?...
Jeszcze często książę musi,
Gdy go chleb żebrany krztusi
A przyjaciele go śledzą,
Musi kawałek podany
Jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obrozę
I gardło (o! jasne nieba!)
Tego żebraczego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.
A zaś owych karmicieli
Służba twoja srogo karze,
Kijem biją twoje straże.
Więc przy panu jeden czuwa
I słowami go weseli,
Drugi żebrze i z nim dzieli
Chleb i łzę, co chleb zatruwa.
O! skończ, panie, już tę mękę!
Ulż więźniowi w imię Boga!
Spuść mu, panie, podaj rękę,
Nie stężaj tego powroza.
Bo to już nie żal, lecz trwoga,
Nie litość bierze – lecz zgroza!

Król.

Przestań na tem.

(Wchodzi Fenixana i rzuca się do nóg królowi).

Fenixana.

Królu, paniel...

Król.

Cóż tam, moja córko miła?

Fenixana.

Jeżelim ja zasłużyła,
Przez miłość i przez pokorę,
Na twoje, ojcze, kochanie,
Przychodzę o łaskę prosić.
Niech ją z twoich rąk odbiorę.

Król.

Choćby królestwo! pół berła!...
Niechaj prosi wschodu perła.

Fenixana.

Ojcze! Fernand...

Król.

Dosyć! dosyć!...
Dalej nie gadaj... bo próżno.

Fenixana.

Ojcze, zgrozą już przenika!
Daruj go jaką jałmużną,
Ulituj się niewolnika!
Nieszczęsny aż do łez wzrusza.

Król.

A któż go do tego zmusza,
Aby cierpiał?—Nędzny, słyszę...
Lecz on sam swój wyrok pisze,
Sam swoją pieczęć przykłada,
A pod nędzą nie upada.
Choć wyszedł z głodu na marę;
Ale chce cierpieć za wiarę,

Co mu niebiosa otwiera...
Chce umrzeć?... niech więc umiera,
Ja zeń mej nie zdejmę nogi,
Bo on sam nad sobą srogi,
Chce żyć w nędzy i plugastwie;
I nie ja się nad nim pastwię,
Ale on sam siebie męczy. —
Niech mi Ceuty klucze wręczy,
Dziś wolno puszczyć infanta.

(Wchodzi Selim).

Selim.

Panie, przysli dwaj posłowie,
Jeden z nich od Tarudanta,
A zaś Portugalczykowie
Drugiego przysłali w łodzi.

Fenixana (na stronie).

Ach! jeden po mnie przychodzi!
Tarudant po mnie przysła!

Mulej (na stronie).

Ach! w dniu jednym taka siła
Nieszczęść na serce mi spada!

Król.

Wpuścić obu... Fenixanie
Tu miejsce, niech przy mnie siada.

(Król siada z Fenixaną na tronie. — Wchodzi Alfons,
król portugalski w posła charakterze i Tarudant,
infant Fezu, również jako poseł).

Tarudand.

Przepotężny Fezu panie!

Alfons (nie dając się wyprzedzić).

Przesławny Maurów tyranie!

Tarudant (mówiąc razem z Alfonsem).

Którego moc...

Alfons.

Którego siła...

Tarudant.

Bogdaj trwała...

Alfons.

Bogdaj żyła...

Tarudant.

O! zorro tego narodu!

Alfons.

O! jutrzeńko jasna wschodu!

Tarudant.

Obyś lata...

Alfons.

Obyś wieki

Wielkie i nieprzeliczone...

Tarudant.

Miał laury...

Alfons.

Nosił koronę.

Tarudant.

W każdej walce.

Alfons.

W każdym czynie...

Tarudant (do Alfonsa z gniewem).

Jak ty, psie, chrześcijanie,
Ważysz mi się głos przewlekać?

Alfons (do Tarudanta).

Jak ty się tu ważysz szczekać,
Gdzie ja gadam?

Tarudant.

Śluszność każe,
Że gdzie Arab tron zasiada,
Tam najpierwszy Arab gada.

Alfons.

A gdzie znają gospodarze
Grzeczność, tam prawo stanowi,
Że głos pierwszy dać gościowi.

Tarudant.

Nie znam ja takiego prawa.
Niech dla gości pierwsza ława...
Ale głos...

Krół.

Siadajcie oba,
I niech poseł chrześcijanów,
Jako nieznańsza osoba,
Ma głos...

Alfons.

Krótko powiem, panie.
Oto Alfons, Luzytanów
Krół, którego panowanie
Sławne teraz po wszej ziemi,
A ustami bronzowemi
Sławy po morzach głoszone,
Pozdrowia twój koronę,
Zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata,
Który się wolności wzdraga
Kupionej Ceutą i duszą,
Aby teraz ta zapłata
(Nim się jędze wojny ruszą)
Dla zobopólnej ugody,

W innych mogła być pieniądzech.
Poszukaj, panie, w twych żądzach,
Oszacuj dwa takie grody
Jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie;
Alfons je pewno wypłaci
I przyjaźń z tobą zachowa,
Lecz gdy tę nadzieję straci,
A z wiatrem pójdą te słowa,
Ten sam wiatr z po nad odmętów
Nagna tu tysiąc okrętów;
Flotę, co już brzegów sięga,
Krzyżami zaczęła błyskać,
I króla, który przysięga
Ogniem i mieczem odzyskać
Księcia i walczyć dopóty,
Aż więzień będzie rozkuty.
A te pola i doliny
Smaragdów pozbędą kłosa
I ubiorą się w rubiny,
Nim słońce zajdzie w niebiosy.

Tarudant.

Choć jako poseł zasiadam,
Lecz krewny tego mocarza,
Jako taki odpowiadam
Na to, co Pana obraża,
I rani. — Powiedz odemnie
Alfonsowi, jego rzeszy,
Niechaj się na pola śpieszy,
Bo nim się w blasku lazurze
Jutrzenki pokażą róże
I ozłocą wschodnie chmury,
Na ziemi będą purpury.

Alfons.

Gdybyś ku nam się podźwignął
Przez jaki wielki uczynek,
Możeby tu pojedynek
Tę całą sprawę rozstrzygnął.

I tak rzecz niech z nami stanie:
Niech Tarudant krwi nie skąpi,
Niech wasz król przyjmie wyzwanie,
A ja w tem, że mój wystąpi.

Tarudant.

Kłamiesz! król się twój przeleknie.
Tarudant placu dotrzyma.

Alfons.

Więc w pole...

Tarudant.

Aż krwią zmięknie...

Alfons.

Aż krew wytryśnie oczyma,
Będę patrzył, czy przybędziesz?

Tarudant.

I nie długo patrzeć będziesz,
Bo ja piorun.

Alfons.

Jam obłokiem!

Tarudant.

A ja piorunowym smokiem!

Alfons.

A ja wulkan z ognia łonem!

Tarudant.

A ja jędzą!

Alfons.

A ja zgonem!

Tarudant.

Słuchasz – i żyjesz? to dziw!

Alfons.

Widzisz mnie i jesteś żywy?!

Król.

Niech wasze Jasności obie
Na czas pofolgują sobie:
Bowiem i słońce już blizkie
Zachodu... A niechaj pomną,
Że bez mego pozwolenia
Na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie.
A teraz niechaj pozwolą,
Abym gościnnością służył.

Alfons.

Kto mię ugascza niedolą
I podał czarę żalości,
Ten inaczej nie ugości
I gościną nie przynęci.
Po Fernanda tu przyszedłem
I miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić,
A zachować króla sławę:
Teraz czekam na odprawę.

Król.

Odprawa, królu Alfonsie,
Będzie krótka. Jasny panie!
Jeśli mi nie oddasz Ceuty,
To infant u mnie zostanie.

Alfons.

Ponieważ przychodzę zbrojny
Poseł srogi, wieszczby kruk,
Ogłaszam żalobę wojny.

(Do Tarudanta).

A ty czy poseł, czy wróg,
Chodź w pole. Za godzin trzy
Cała niech Afryka drzy.

(Odchodzi).

Tarudant (do Fenixany).

Wojny ognista pochodnia,
Która o czasie stanowi,
Twojemu niewolnikowi
Nie daje służyć inaczej:
Niechaj mnie więc perła wschodnia
Zgiętego u nóg obaczy
I ręką swoją obdarzy,
A weźmie duszę w niewolę.

Fenixana.

Nie przystoi dla mocarzy
Takich jak ty w takim dole
Zostawać, i w tej pokorze
Utracać godności miarę.

Mulej (na stronie).

Słyszeć to i żyć! o! Boże!

Król.

Wasza Jasność godzin parę
Niech przyjmie moją gościnę.

Tarudant.

Królu! zaledwo godzinę
Mogę czekać. I to jeszcze
Jak ambasador obwieszcze,
Że jestem umocowany
Wybiwszy memi kolany
Przed tą pięknością dwa groby,
Prosić o dar jej osoby
I z sobą wziąć ten skarb drogi.
Przebacz, że tak krótko proszę,
I tę piękną stąd unoszę
Niby orzeł, pełną trwogi.

Król.

We wszystkim, panie, me żądze
Prześcigasz takim życzeniem.

A ponieważ to być sędzę
Naszych długów skwitowaniem
I naszych wojen skończeniem,
Ugodę potwierdzam daniem
I unieść ją stąd pozwolę.
Ale śpieszny odjazd radzę,
Nim wrogi zastąpią pole.

Tarudant.

Swaty ja liczne prowadzę,
W swaty wiodę wojsko całe,
Tak, że puszczę mi za małe,
A z obozów stoją miasta,
Więc odjedzie ta niewiasta
Bezpieczna.

Król.

Dla wszelkiej pieczy,
Nie będzie i to od rzeczy,
Że, Muleju, weźmiesz Spachy
I odprowadzisz pod dachy
Mażeńskie, tę narzeczoną.

Mulej (na stronie).

Więc i to?... pęka mi łono!
Fortuna się koligaci
Z wrogami, a ze mnie się śmieje.
Ach! i Fernand we mnie traci
Przyjaciela i ostatnią nadzieję!

(Wychodzą).

ZMIANA I-sza.

Ogród przy mazamorach.

(Niewolnicy wnoszą Don Fernanda i kładą go pod murem). Don Żuan i Brytasz.

Don Fernand.

Położcie tu moje ciało
Na słońcu, przy białej ścianie,
Aby mię słońce ogrzało.
Wielki Boże! Boże Panie!
Bądź pozdrowion duszą całą
Za Twoje słońce wiosenne,
Pełne złotego uśmiechu.
Hiob przeklinał światło dzienne,
Bo urodzony był w grzechu,
W nędzy, w upadku, w obawie;
Ale ja ci błogosławię
Za dzień, co mi żyć pozwala,
Miłości gorąc płomykiem.
Każde drzewo się zapala
I Tobie, Panie, goreje;
Każdy promień, co mię grzeje,
Płomienistym Cię językiem
Na wysokości wychwala!

Brytasz.

Czy ci tak dobrze, o! panie?

Don Fernand.

Dobrze, bracie, — dobrze, ciepło,
Wielkie Twoje zlitowanie,
Boże! wielkie łaski Twoje!
Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,
Ptaszkom Twoim każesz śpiewać,
Słońcu Twojemu ogrzewać,
Dobry jesteś i łaskawy!

Pierwszy niewolnik.

Pozostalibyśmy dłużej
Przy tobie, ale z obawy
Nie możemy. Człowiek służy...
Czeka nas łańcuch i plaga.

Don Fernand.

Bracia, niech wam Bóg pomaga
I szczęści.

Pierwszy niewolnik.

Jakie katusze!

Drugi niewolnik.

O! jaka nędza na świecie!
(Niewolnicy odchodzą).

Don Fernand.

Wy dwaj ze mną zostanieiecie?

Don Żuan.

Ach ja, panie, odejść muszę.

Don Fernand.

Ciebie mi zawsze potrzeba
Przy boku, bez ciebie się smucę.

Don Żuan.

Panie, ja zaraz powrócę.
Pójdę tylko szukać chleba,

Abyś miał co jeść; dziś rano
Nie jadłeś. O! biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano,
Ziemia, zdaje się, zapada
Pod nami, okropna puszcza
Szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa błąda nęcza
Ciągłe nam karku dopędza,
Wczoraj jak straszydło krwawe,
Dziś suchsza, bledsza od trupa.
Bo kiedy biegnę po strawę,
To łajdactwa tego kupa,
Co po wioskach, panie, siedzi,
Pomna na zakaz surowy,
A bojąc się, że ją śledzi
Jaki Argus stuokowy,
Od króla stawiony na to,
Chleba ani za opłatą
Nie chce dać... o twarda taka!...
Ani na prośbę żebraka
Nie chce dać, skruszona łzami,
Taki twardy los nad nami!
O! panie... Lecz ktoś nadchodzi.

(Don Żuan wychodzi).

(Brytasz klęka przy leżącym Don Fernandzie.
Wchodzą król Tarudant, Fenixana i Selim).

Don Fernand.

Głos go mój w serce ugodzi.
Może litość wydobędę,
I cierpiąc, dłużej żyć będę.

Selim (do króla).

Panie, przechodząc tą drogą
Musisz tu nadeptać nogą
Infanta.

Krół (do Tarudanta).

Bądź świadkiem, panie,
Jakie moje panowanie.

Tarudant.

Zamiary moje podróżne
Opaźniasz przez tę gościnę.

Don Fernand (żebrząc).

O! dajcie jaką jałmużnę
Żebrakowi, z głodu ginę!...
Niech próżno rąk nie otwieram.



Pomnijcie, żem człowiek przecie!
A z nędzy, z głodu umieram,
W oczach mi głodnemu ciemno.
Ludzie! miejcie litość nademną
I nie odwracajcie oka.

Brytasz.

Książę, nie tak żebrać trzeba...

Don Fernand.

A jakże?

Brytasz (żebrząc).

W imię proroka!
W imię siódmego nieba,
Maury dajcie nam jałmużnę,
A niebo wam będzie dłużne
I sam prorok wam zapłaci.

Król.

Taki nędzny, a nie traci
Żywota, nie skłania czoła.—
Mistrzu infancie!

Brytasz (do Fernanda).

Król woła.

Don Fernand.

Mylisz się, więźniu, kolego.
Mistrzem ja nie jestem zgoła,
Ni infantem... trupem obu,—
Ich trupem, to co innego;—
Bowiem wyglądam z pod grobu;
Na piasku jak nędzarz drzemię
I proszę wody kropelki...
Lecz nie infant, nie mistrz wielki...
Tamtych grobowiec naciska,
Ja jestem człowiek z nazwiska.

Król.

Więc mi odpowiedz na imię
Fernanda.

Don Fernand (wstając).

Teraz, ubogi,
Wstanę całować tve nogi,
Prosić o posiłek skromny.

Król.

Zawszeż-li taki niezłomny?
I wytrwały dziś jak wczora!...
Powiedz mi, to uniżenie,
Duma to jest? czy pokora?

Don Fernand.

Króla godność w tobie cenię,
I każdym to stwierdzam czynem

To prawo, które zamyka
Zakon boży: że nad gminem
Król ma sobie berło dane,
I ma mieć od niewolnika
Posłuszeństwo — więc złamane
Członki przed twoją osobą
Prostując, stanę przed tobą
Nim przed Panem Bogiem stanę.
Wiedz, że król, skąd nie bądź, nosi
Taką powagę, moc bożą,
Tak się w nim siły wielmożą,
Że krew, co mu ciało rosi,
Musí wstać w ciała nicestwie
I zaświadczyć o królestwie,
Do cnót królewskich się dostać,
Więc nietylko króla postać,
Ale i cnót świadczy żywość,
W sercu łaska, sprawiedliwość
I inne cnoty mocarza.
A to prawo, podług wzorów
Boskich, do natury tworów
Przechodzi i tak przeraża
Samą dotkniętą naturę,
Że prawa prosto idące
O te twory królujące
Zbiwszy, nieraz cofa w górę
I cud robi niesłychany,
Jak niegdyś boże Jordany. —
I tak: pomiędzy zwierzęty
Lwu się królestwo należy.
Ten kiedy grzywę najeży
I kudłami stanie wzdęty,
Jak ogromna fala złota,
Co zwierzę przed sobą goni,
To mu królewska istota
Pastwić się nad jeńcem broni.
A patrz na mórz błękit siny;
Tam królami są delfiny.
Bowiem kiedy akwilony
Napędzą fale gromada,
Fale te delfinom kładą

Srebrne i złote korony.
Jednak to królewskie plemię
Co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym sinym grzbiecie
Człeka wynosi na ziemię
I wściekłym falom wyrywa.
Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa
I zawsze na słońce leci;
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie,
Które mu burze rozwichrzył:
A jednak, kiedy się dowie,
Że gdzie podle żądło gadu
Do źródeł nalało jadu
I woda już śmiercią trąci,
By nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dziobem,
I wicherzy, aż ją zamąci,
Aby swój kryształ popsula,
Zbladła i ludu nie trula.
Królestwo roślin, kamieni
Tym samym prawom podpada,
Pani owoców, grenada,
Co z drzewnych niby promieni
Koronę nosi i wieniec,
Gdy ją dotknie jad zarazy,
Traci ognisty rumieniec,
A wewnątrz ziarenek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc wśród kamiennej drużyny
Także król ma swój sakrament.
Oto, panie, ów dyament,
Co jest nad kamienną zgrają,
Twardszy od granitów kości,
Przed którym magnesy stają,
Stają w jego obecności
Pomne na króla potęgę,
I tę mu zdają przysięgę
Poddaństwa, ów król tak twardy
Tyle ma dumy i wzgardy,

Że nie pomny własnej siły,
Kiedy go stal z dziecka krzykiem
Zradzi i dotknie pilnikiem
I o królestwo zalega,
W drobne rozpada się pyły,
W proch się rozpada i pęka,
A biednej stali nie niszczy...

Taka więc szlachetność błyszczy
Wszędy w królewskich sumieniach,
W zwierzętach, w rybach i ptakach,
I w roślinach i w kamieniach;
Więc i w ludziach po tych znakach
Mają być znani królowie.
Nie tylko że z wielmożności,
Nie tylko z koron na głowie;
Ale, panie, i z litości
I ze szlachetnego serca.
Chrześcijanin, czy bluźnierca
Krzyżowy, gdy spojrzy we dno
Duszy, wyczyta to jedno
Prawo przez Boga wryte,
Któreś ty w sercu zagłuszył,
Nie gadam, abym cię skruszył,
Abym do litości skłonił.
Ciało me bolem rozryte,
Nie tyś, ale Bóg pokłonił.
Nie chcę u twojej osoby
Żebrać, życia już mam sytość...
Późna też byłaby litość;
Bo wiem, że żądło choroby
Aż w serce mię już raniło;
Oddech mi powietrzem szkodzi,
Jak nóż przez serce przechodzi
I rźnie zapalone płuca.
Ja wiem, żeś już nad mogiłą,
Że mię już żywot porzuca,
I żar wypala piekielny...
I to wiem, żeś jest śmiertelny,
Jak ty panie, robak, drobny,
Nie żadna anielskość dumna.

I dla tego to podobny
Kształt ma kołyska i trumna;
Aby to ludzie wiedzieli,
Że na podobnej pościeli,
Gdy przyjdą na rozkaz boży,
Matka ich i śmierć położy.
Tak więc podobne do pary
Przy kołysce stoją mary!
Tak podobne u podwoi
Dwojga – dwoje łóż człowieka.
Kto to wie – czegoś się boi?
Kto słyszał to – czegoś czeka?
Kto strzaskał los na ćwierci,
Naraził na nieszczęść krocie –
W czymże ufa! czy w żywocie?
O nie, zaprawdę, że w śmierci,
W śmierci ufa! – Tę ofiarę
Zrób ze mnie, panie, o! proszę...
Daj śmierć – niech umrę za wiarę!
Oto ręce me podnoszę
I o śmierć, panie, cię błagam.
Nie dla tego, że się wzdragam,
Żyć i cierpieć jestem nierad;
Że chcę umrzeć jak desperat;
Nie dla tego u nóg szlocham. –
Ale ja się, panie, kocham
W takiej śmierci męczennika,
Co krwawe ciało odmyka
I Bogu uwalnia duszę
I na wielki ją ożywia.
Więc choć grzechu prosić muszę,
Miłość mię usprawiedliwia,
Że o śmierć nieszczęsną proszę...
Oto me ręce podnoszę,
A ty daj! – Lwem będziesz wtedy,
Co widząc myśliwce śmiałki,
Napastniki ojców schedy,
Napada i rwie w kawałki.
Orłem będziesz, co się ciska
Na gniazd swoich rozbójnika,
W szpony mu czaszkę zamyka,

I dziób maluje rubinem
Tej krwi, co z oczu wytryska.
O! panie, będziesz delfinem,
Który na nieba lazurze
Zapowiada śmierć i burze
Ludziom grożące zalewem.
Królewskim ty będziesz drzewem,
Co piorunami czerwone,
Ramiona ogołocone
W burzach rwie i tak się zżyma,
Że zda się piorun otrzyma
I nad światowym zamętem
Będzie spełniało gniew boży.
Panie! będziesz dyamentem,
Co się na stal biedną sroży,
Gardząc kamieni motłochem.
Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
Bo ja nie ulegnę prędeży;
Bo im więcej cierpię nędzy,
Im więcej mnie gną rozpacze,
Im boleśniej w nędzy płaczę,
Im przed tobą jestem mniejszy,
Im we wnętrzościach głodniejszy,
Im bardziej odarty z ciała
I z nadziei i z łachmanów,
Choćby ta ziemia gnać miała
Za mną szczękami kajdanów
Nawet – nawet w żywot dalszy;
Im więcej cierpię, tem stalszy
Muszę trwać przy mojej wierze,
Bo ona mnie jedna strzeże!
Serce nadzieją roznieca!
Słońcem w męczeństwie oświeca!
Palmy zawiesza nad czołem!
Nie przeważysz nad kościołem,
Ile go jest w mej osobie.
Z kości tych tryumfuj sobie...
Gardło masz i moje łono.
Bóg ucieczką moją i obroną!

Król.

To już przechodzi pojęcie!
Aby człowiek tak grobowy
Bawił się takimi mowy,
Wpadał na takie sentencye
I sam się cieszył w niedoli.
Jakże ty chcesz, abym bolał,
Gdy ciebie serce nie boli
Jeśliś ty sam umrzeć wolał
Niż żyć? — Nie, nie, nadaremnie, —
Litości nie znajdziesz we mnie,
Pierwej miej ją sam nad sobą.

(Wychodzi).

Don Fernand (do Tarudanta).

Przed twoją, panie, osobą
Uniżam się, wspomóż jeńca...

Tarudant (odpychając go).

Nędzarzu!

(Wychodzi za królem .

Don Fernand (do Fenixany).

Więc potępieńca
Ty się ulituj, o! pani,
Jeśli twa piękność jest z Boga,
A nie jest wzięta z otchłani.

Fenixana.

Ach! jaki widok!

Don Fernand.

Ty sroga,
Odwracasz oczy?...

Fenixana.

We łzach mi
Toną... człowieku! ach! strach mi!
Duch mi cały z ust wyskoczy!

Don Fernand.

I dobrze, bo są też oczy
Ach, nie do nędzy stworzone.
Dobrze! że twój wzrok roztropny.

Fenixana.

Puść mię. — Jaki ty okropny!

Don Fernand.

Okropny? — Choć odwrócone,
Oczy masz pełne popłochu.
Dobrze jest, abyś wiedziała,
Że piękność twojego ciała
Tyle, co mój szkielet waży,
Tyle co ja — garstkę prochu.

Fenixana.

Puść mię — oddech mię twój parzy,
Głos zabija, szaty cuchną.
Puść mię ty, człowiecze próchno!
Szaty mi rękami skazisz,
Oddechem twoim zarazisz.
Puść, człowieku — bo omdleję!

(Ucieka z Selimem).

(Wchodzi Don Żuan pokrwawiony i w lachmanach,
z chlebem).

Don Żuan.

Oto mię Maury, złodzieje,
Za kawałek tego chleba
Zbili — krew się ze mnie leje.
Panie, jedz.

Don Fernand.

Już mi nie trzeba
Jadła, drogi przyjacielu,
Oto już jestem u celu...
Już idę...

Don Żuan (padając mu do nóg).

Panie mój drogi!
Czy ty już... o! ratuj, Boże!

Don Fernand.

Placz tu już nic nie pomoże—
Nie martw się—ziębną mi nogi
Zaprawdę, jużem przy śmierci.
To serce, za godzin mało,
Robak śmiertelny przewierci
I znajdzie, że cię kochało,
Ciepło w niem jeszcze zostanie.
Nie martw się, mój Don Żuanie.
Ja się w długą podróż wybieram...
A dla Boga tu umieram,
Chóry anielskie bogacę
I dług Panu memu płacę.
Nie martw się i oczu rosą
Nie lej na ciało książęce.
Kaź, niech mię wezmą na ręce
I do mej jamy odniosą.
Już konam...

Don Żuan.

Z tą ziemią nędzy
Ostatni mój węzeł pęka!

Don Fernand.

Don Żuanie... czy później, czy prędzej
O tu.

(Pokazując na ziemię).

Daj rękę. Ta ręka
Karmiła mię—o! szlachetna!—
Chociaż moja śmierć nie świetna,
Po śmierci może Bóg zdarzyć
Odmianę... więc w mazamorze,
Gdzie się sam jak trup położę,
Nie rusz mię... lecz po skonaniu,
W mistrzowem zawiń ubraniu

I zostaw tak okrytego
Cichym i spokojnym trupem,
Jeśli król pozwoli na to...
A kiedy przyjdą z okupem,
To znajdą mistrza martwego
Pod zwykłą krzyżową szatą.
I powiozą, gdzieś przez morza,
Do kraju garstkę popiołów..
Już też, za tyle kościołów,
Da mi tam grób łaska boża!

(Don Żuan i Brytasz wynoszą go)

ZMIANA II-ga.

(Ładują na brzeg morski Alfons i Don Henryk
z rycerstwem).

Alfons.

Zostawić falom zhukanym okręta,
Co podpierały żaglami obluki,
I niechaj biją dział ogniste smoki,
I niechaj rzeka ludzi wyrzygnięta
Z okrętów płynie i ten kraj zalewa...

Don Henryk.

Zły do ładunku brzeg wybrałeś, panie,
Radziłbym lepiej te masztowe drzewa
Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie
I z nich samemu Fezowi dać szturmy.
A tu, jak widzisz, maurytańskie hurmy
Rażą nas straszną szabel błyskawicą.
Tu sam Tarudant, z swą oblubienicą
Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

Alfons.

Jasných aniołów była to dorada,
Abym uczynił to, co teraz czynię;
W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
A tutaj jeden — o pół nie tak srogi,
Stoi na polu. Więc, nim się rozwinie,
Każ huknąć w trąby.

Don Henryk.

Racz zważyć, że wojna
Zawczesna, panie, ludzie nie gotowi.

Alfons.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna,
A duch w mej piersi równy piorunowi!
A duchy święte pilną mych skroni,
A dla Afryki noszę śmierć w tej dłoni!

Don Henryk.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry
Na ogień słońca, na niebios szafiry;
Ona zwycięstwo tobie wydrze z ręku...

Alfons.

Ha! więc zwyciężać będziemy po ciemku.
Niechaj noc idzie z czarnymi sztandary
Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
Że się o sprawę biję sprawiedliwą.
A jeśli Fernand mękę swą cierpliwą,
Za nas, o bracie, Bogu ofiarował,
To Bóg pioruny te jasne ukował,
Którymi szyki będzie walił krwawe,
A my zbierzemy zwycięstwo i sławę.

Don Henryk.

Lepiej by w polu porobić przerażby...

(Ściemnia się—słychać w powietrzu anielskie trąby
i różne głosy duchów).

Alfons.

Cyt... słyszysz, bracie?...

Don Henryk.

Głosy jakby śnią się...

Alfons.

Głuchną... i znowu.

Głos Fernanda.

Alfonsie! Alfonsie!...

Don Henryk.

Głos mego brata... i znów jakieś trąby
Smętne, powietrzne, rozplakane głosy...

Alfons.

A więc to Pan Bóg z całemi niebiosy
Schyla się ku nam, owinięty nocą.

(Wchodzi duch Fernanda z pochodnią).

Duch.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
Dla twojej, Alfonsie, wiary
Pan Bóg zesłał tę noc ciemną,
I zlitowany nademną,
Pozwolił opuścić mary,
Gdzie płakali... odejść od nich...
A tu z duchów ciżbą liczną
I z tą pochodnią gromniczną
U gwiazd zapaloną wschodnich
Iść przed wami.— Za mną... za mną!...

(Wychodzi).

Don Henryk.

Bracie, opuszcza mię męstwo,
Zda się, że czaszkę dwujamną
Miał ten...

Głos Fernanda (za sceną).

Za mną...

Alfons.

Słyszysz?...

Głos Fernanda (ginący w odległości).

Za mną...

Alfons.

Na koń, bracie, Bóg nam daje zwycięstwo!...

(Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda).

ZMIANA III-cia.

Galerya w pałacu króla fezkiego.

(Z jednej strony wchodzi Król i Selim, z drugiej niewolnicy chrześcijanie niosą w trumnie ciało Don Fernanda. Don Żuan idzie za trumną).

Don Żuan (do króla).

Napaś oczy tym widokiem,
Oto w czterech deskach leży
Bohater, perła rycerzy,
Twoim okrutnym wyrokiem
Zabity...

Król.

Ktoś ty jest taki?...

Don Żuan.

Rycerz bez żadnej poszlaki...
Z nim oto dźwigałem biędę
I leż się wspólnych napilem,
Do śmierci wierny mu byłem
I za ciałem jego idę.

Król.

Patrzajcie się, ludzie krzyża,
Bo oto trumna się zbliża,
Trumna, co do mnie należy,
A w niej oto przykład leży
Zgiętego aż do mogiły,

Pod nogą króla, oporu.
Niech teraz Alfonsa siły
Wyrwą go i ów sen moru
Odwalą... Niech kto wyzwoli
Z tej ostatecznej niewoli,
W której mu łańcuchy śnią się?
Chodź! chodź po brata, Alfonsie!
Chodź mu teraz z uwolnieniem! —
Co do mnie... choć Ceutę tracę,
To się tem książąt zgnieceniem
I starciem więcej bogacę
W sławie, niż tysiącem grodów...
Otom upór ich zwyciężył.
A jakom żywemu ciężył
Na piersiach — obaczą tłuszczę,
Że nawet tej garstce lodów
I po śmierci nie odpuszczę,
Ale kość zgnilizny blizką
I to nieszczęśliwe ciało,
Z tą trumną napół spróchniałą,
Oddam na wiatrów igrzysko,
Na słońca wystawię skwary
I wiatry. —

Don Żuan.

Blizkiś jest kary!
Bo oto widzę z wysoka
Chorągwie twego proroka
Niżej... a krzyże u góry...

Król.

Selimie... wyjdźmy na mury
Zobaczyć... co za nowiny?
(Wychodzą).

ZMIANA IV-ta.

Pole pod murami Fezu.

(Wchodzi Duch Don Fernanda z pochodnią, za nim zaś Alfons z wojskiem, Don Henryk. — Fenixana i Tarudant wzięci w niewolę).

Duch Fernanda.

Przez ciemność i mrok siny!
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpiecznych.
Oto różana jutrzienka!
Oto Fez w ogniach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli...
Wykupcie mię u pogan z niewoli.

(Znika).

Alfons.

Zniknął w jutrzienki lazurze...
Hej... kto tam z ludzi na murze?...
Niech król do układów stanie.

(Pokazuje się na murze Król i Selim).

Król (z muru).

Czego chcesz, śmiały młodzianie?

Alfons.

Wypuść infanta z niewoli,
A ja ci oddam w zamianę

Twoje dziecko ukochane,
Które oto w mojej mocy...
Inaczej – choć serce zaboli,
Uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty...

Król.

Selimie... ach, temi usty
Wydam wyrok sprawiedliwy...
Co zrobię? Fernand nieżywy,
A moja córka u wroga.
Fortuno! fortune sroga!
Jak ty się nagle odmieniasz!

Fenixana.

Ojcie! czy ty zakamieniasz
Serce na twojej córki głosy?
Że widzisz mię w tej niedoli,
Widzisz z rozwianemi włosy,
Pod toporami, pod strażą
I spokojną patrzysz twarzą
Na córki twojej więzienie?
W twoim ręku los mój cały,
W twoim głosie me zbawienie
A ty stoisz oniemiały?
Kiedy w jednym twojem słowie
Ratunek dla córki leży?
Widzisz miecz na mojej głowie
I czekasz, aż we mnie uderzy?
I milczysz? aż mię zabiją,
Aż mi nóż utopią w łonie
I szyję zetną bułatem...
Ach, lwem ty byłeś na tronie!
Będąc ojcem, jesteś żmiją!
Będąc sędzią, byłeś katem!
Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec.

Król.

O! Fenixano – ta zwłoka,
Choć z twarzy mej trudno dociec

Boleści... ach, na proroka!
Straszną mię rani katuszą.
Bo wiedz, Alfonsie, że wczora
Książę się wasz rozstał z duszą
O samym zachodzie słońca,
Po wyjeździe Fenixany,
I leży nieopgrzebany...
A ja... wskrzesić go bezsilny
Wam... (o fortune zdradziecka!)
Oddaję krew mego dziecka
Na zemstę...

Fenixana.

O nieomylny
Wyrok był!... jestem zgubiona!

Król.

Niech płynie ta krew czerwona,
Za jej duszą moja śpieszy.

Don Henryk.

Co slysze! mój brat niezwywy!
O! więc już go nie pocieszysz
Ta wolność... i pomoc próżna.

Alfons.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy,
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita.
Co do mnie, treść jego woli
Nie jest mi wcale zakryta.
Prosząc byśmy go z niewoli
Uwolnili, gdy w ciemnościach
Z pochodnią przed nami błdził,
Mówił o sercu i kościach. —
Więc, królu, abyś nie sądził,
Że ten trup, po którym lament
Morskie podniosą Syreny,
Podlejszej jest u nas ceny,
Niż jaki wschodni dyament

I cudnej piękności lice,
Za Fernanda zewłok święty
Oddam ci twoją dziewicę;
Róże dam—za dyamenty,
Śniegi dam—za te popioły;
Oddam tobie maj wesoly
A posępne wezmę grudnie;
Tę postać świecącą cudnie,
Co mi z rąk jak anioł ucieka,
Zdając się młodością i chwałą,
Oddam ci za biedne ciało
Nieszczęśliwego człowieka.

Król.

Co mówisz?...

Alfons.

Każ spuścić trumnę...

Król.

Ach! i czoło moje dumne
Pójdę... przed tobą unżyć...
Spuścić tu ciało księżące...

(Odchodzi).

(Spuszczają trumnę z murów).

Alfons (przyjmując spuszczoną trumnę).

Przyjmuję ciebie na ręce,
Święty! drogi męczenniku!...
Całuję twe rany i krzyże...
Proszę... pomóż mi Henryku,
Tę trumnę...

Don Henryk.

Witaj! mój bracie!...

(Stawiają trumnę... Wchodzi Król i unia się do
nóg Alfonsa, który go podnosi z ziemi. — Wcho-
dzą Don Żuan, Brytasz i Niewolnicy).

Don Żuan.

A mnież to nie powitacie?

Alfons.

Witaj, don Żuanie stary!
Dobry nam zdajesz rachunek
Z opieki...

Don Żuan.

Prowadzę mary...

Póki żył, każdy frasunek
Podzieliłem z nim i nędzę...
A teraz (od łez mi ciemno!)
Oto on poszedł przedemną,
Ale ja go tam dopędzę,
Dopędzę...

Alfons (obracając się ku trumnie).

Wuju mój drogi!

Fernandzie, pochodnio świata!
Na twoje ręce i nogi,
Jako na święte stygmata,
Kładę usta... i tę mroźną
Dłoń ściskam w królewskiej dłoni...
A choć przyszedłem zapóźno,
Miłość moja się wyłoni
W pośmiertnej dla ciebie cześci!
I z mojej wielkiej boleści
Wielkie, ze złotemi czoły
Wstaną dla ciebie kościoły,
Bowień po śmierci się jasno
I przyjaźń ludzka pokaże. —
Królu, a tobie zaś w darze
Oddając twą córkę własną,
Oddając też Tarudanta.
Ale przez pamięć infantą,
Któremu Mulej był miły,
Proszę — abyś ten kwiat złoty,
Który był ceną mogiły,
Uczył nagrodą cnoty,
Wiary — i dał Mulejowi.

Król.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

Alfons (do niewolników).

Teraz wy, coście w niewoli
Nosili z księciem łańcuchy,
Z niańczynami teraz ruchy
Nieście to ciało, powoli,
Niech spocznie... a my za trumną,
Co jest jako Arka święta,
Rycerską idźmy kolumną
Żałobni, aż na okręta;
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy...
I z prochem flota wyruszy
I do ojczyzny popłynie.

Okolo 1841.



JAN KAŻMIERZ.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

.....
.....
Marya Ludwika.

Mademoiselle Kalinowski, donnez moi la leçon du polonais –
chce uczyć po polski.

Kalinowska.

Ne prolongez pas ainsi le ski!

Marya.

Po poolski...

Kalinowska.

Tak, Najjaśniejsza Pani.

Marya.

Tak, nannniejsza pani...

Kalinowska.

Dobrze!

Marya.

Dobrze.

SCENA II-ga.

Kwatera pana Harmidera – w Warszawie.

Pan Harmider, Luzak Skórka, Szewczycha.

Harmider.

Skórka!

Skórka.

Co, Wielmożny Panie?

Harmider.

Idź, wykup moją szablę Batorówkę od żyda Jankiela; masz dwa tynfy. Do kroćset furdamentów! wykup szablę i obetnij żydowi uszy—w procencie!

Skórka.

Dobrze, Panie. (Wychodzi).

Harmider.

Do kroćset furdamentów! świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne... brr! brr!... wojna.—Pani Szewczycha! (Wchodzi Szewczycha). Pani Szewczycha, cóż Waćpani jak kometa nie umyta? Do kroćset furdamentów! wyjeżdżam na wojnę, Pani Szewczycha; zróbmy rachunek, Pani Szewczycha!

Szewczycha.

Niechaj się Jegomość policzy, co winien.

Harmider.

Do kroćset furdamentów! policzywszy się z sumieniem, to ja nic nie winien, Pani Szewczycha.

Szewczycha.

Nic Jegomość nie winien? Mocny Boże!

Harmider.

Acani mi winna felicitas... bfi! do kroćset furdamentów! jakem Litwin! Policz się Waćpani z sumieniem, czy Waćpani mi nic nie winna?

Szewczycha.

Mocny Boże!

Harmider.

Waćpani jesteś wdową, a ja mam serce:—sunt consequentiae.—A wiele ja winien Waćpani?

Szewczycha.

Dwa tynfy i pół na Zielone Świątki; a potem trzy tynfy dałam Jegomości w Kwietnią Niedzielę; a przez luzaka Skórkę po-

słałam, kiedy Jegomość siedział in fundo za obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku.

Harmider.

Do krośset furdamentów! Waćpani rachujesz się jak żydówka; gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask—timeo Danaos—od Waćpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to, Pani Szewczycho, zakwitowanie in aeternum... do krośset! nie obaczysz mnie więcej.—Nieboszczyk Acani mąż miał czerwone oczy jak królik, a ciało jak szczypec—i był szewcem:—ja mam w Litwie dobra i wotuję na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kolibajło ze Żmudzi. Ale że się Waćpani upominasz, to oddam jej co do szeląga. Dzięki Bogu, mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale jak się będę rozbierał, to oddam Waćpani do krośset furdamentów! spleśniałe tynfy, a kwitem Waćpani utnę sobie nosa—i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniczki daruję Najświętszej Pannie Częstochowskiej, a uszy przyślę Waćpani na bigos... Do krośset furdamentów! nie spodziewaj się więcej o mnie usłyszeć—aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczule serce twoje, Pani Szewczycho!...

Szewczycha.

Dlaczego mnie Waćpan smucisz, panie Harmider? dlaczego mnie Waćpan smucisz?—Ja się o moją należność nie upominała.

Harmider.

Ale sumienie moje, mościja Szewczycho, upomina się, a Waćpani temu winna jesteś. Cóż? dlatego, że Waćpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić!

Szewczycha.

I dobrze Jegomość robił.

Harmider.

Addio, Pani Szewczycho, chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przyśle swego plenipotentą z pieniędzmi i zapłaci Waćpani z mego majątku—bom człowiek honorowy: duszę przedam, a zapłacę, com winien, albo pojnę Acanią za małżonkę

przed świętym ołtarzem. Do kroćset fundamentów! honor – to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

Ja? Szewczycha.

Harmider.

Znasz mię czy nie? – znasz mię.

Szewczycha.

Znam, jak złego szeląga.

Harmider.

I ja Waćpanią znam, żeś kobieta stateczna; ufaj Acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

(Wchodzi Skórka).

Skórka.

Oto jest szabla, Wielmożny Panie.

Harmider.

A tyńfy?

Skórka.

Oddałem żydowi.

Harmider.

Bogdajbyś dyabła zjadł! – trzeba było znów od niego pożyczyć, zyskawszy kredyt. Goły jestem jak święty turecki – poratuj mnie pani Szewczycho, bo jestem goły.

Szewczycha.

A mówiłeś Jegomość, że masz w pasie dukaty.

Harmider.

Musiałem szablę wykupić, Pani Szewczycho; niech powie Skórka – dałem pięćdziesiąt czątych, żeby szablę wykupić... (słychać strzały działowe. Co to? strzelają z dział?)

(Wpada otyła Rzeźniczka).

Rzeźniczka.

Gwałtu! harmider na ulicach! pali się! uf! uf! koniec świata!...



H. PIĄTKOWSKI.

JAN KAŻMIERZ.

Harmider.

Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie widzę.
Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

Rzeźniczka.

Biją się, Wielmożny Panie na ulicach.—Pani Podkanclerzy-
na z bratem swoim, panem Służką, napada na dom Pana Pod-
kanclerzego, swojego małżonka!

Harmider.

Widzisz, Pani Szewczycho, co to jest żenić się z kobietą?
Napada dom swojego małżonka! Do krośset furdamentów! gdybym
miał z sobą sto takich, jak ja, w kawalerskim stanie żyjących!
Trzeba dopomóc panu Podkanclerzemu: Skórka, weź berdysz i za
mną!

Szewczycha.

Nie laźlbyś Jegomość w ogień niepotrzebnie.

Harmider.

Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho! ogień, to mój ży-
wioł serdeczny!—Skórka, za mną!

Szewczycha.

A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się dzieje...

(Wychodzą).

SCENA III-cia.

Przed domem Radziejowskich.

Radziejowski Podkanclerzy wewnątrz domu, Służka
przed bramą.

Służka.

Hej! hej! wysadzić petardą tę bramę!..
Czekajcie! w oknie stoi Podkanclerzy.

Podkanclerzy.

Stój, panie Służka, stój!—kapituluję.

Służka.

Ustępuj z domu mojej siostry! fora!

Podkanclerzy.

Jeżeli wyjdę, czy zapewniasz życie?

Służka.

Żyj sobie, panie Radziejowski, ale
Oddaj mi pałac—bo cię każe spalić!
Usmażę jako naleśnika, szwagrze,
Zamiast po rozwód posyłać do Rzymu.

Podkanclerzy.

Siostra Waćpana splamiła mi łożę.

Służka.

Boś Waćpan w niem spać nie umiał po ludzku.

Podkanclerzy.

Oszkalowała mnie przed konsystorzem.

Służka.

Boś ją przymusił Waćpan do rozwodu
Srogim obejściem się, podejrzeniami
I nie z pełnieniem marytalnych ślubów.

Podkanclerzy.

Miałem pokrywać hańbę mego domu
I być mojego wstydu parawanem?

Służka.

Czynisz to, nie chcąc przyzwolić na rozwód,
Abyś z rozwódką nie stracił posagu.

Podkanclerzy.

Na świadka biorę Ciebie, wielki Boże,
Żem dotąd na te gwałty nie zasłużył!
Ale ponieważ wstyd mój odstoniono

Przed całym światem i użyto siły,
Aby mię wyzuć ze czci i z majątku:
Ustąpię teraz przemocy – bom słabszy,
Ale użyję odwetu w swej porze.
Bierz, panie Służka, dom – ale niedługo
Utrzymasz się w nim: taki znajdę i ja
Przyjaciół, którzy mścić się dopomogą
Nad żoną i nad szwagrem i nad moim
Cudzołożnikiem!

Służka.

Bierzmy to, co nasze:
Mości Panowie! proszę na wieczerzę
W tymto pałacu naszym i zdobytym.

SCENA IV-ta.

W zamku królewskim.

Król Jan Kazimierz – Paż.

Król.

Co to za zgiełki i burdy w Warszawie?

Paż.

Podkanclerzyna, Miłościwy Panie,
Radziejowskiego żona, ze swym bratem
Służką napadła dom własnego męża
I zajechała gwałtem i bezprawnie.

Król.

Nie w porę, o! nie w porę się wybrała
Z takimi gwałty pani Radziejowska!
Lecz otóż ona sama tu przybywa.

(Wchodzi Podkanclerzyna).

Podkanclerzyna.

Mąż mię tu ściga, Miłościwy Panie,
Mąż mój, furjotus, za napaść pałacu.
Panie, opiekę mi daj i obronę!

Król.

Waćpani sama zebrałaś tę chmurę,
Która ci teraz w oczy sypie gradem.

Podkanclerzyna.

Król-że to mówi? do swojej Elżbiety?

Król.

Król rozgniewany mówi, Mościa Pani,
Ale masz w sercu mojem adwokatem
Jana Kaźmierza, który zawsze sprzyja
I broni ciebie przeciwko królowi.

Podkanclerzyna.

Więc ten adwokat jest szlachetnym królem,
Z którym ty, Królu, wiąż się aliansem
I słuchaj rady jego bez oporu...
Lecz otóż i mój mąż furyozus wpada.

(Wchodzi Radziejowski).

Radziejowski.

Skarżę się tobie, Miłościwy Panie;
Wyrugowano mię z mojego domu –
Okryto hańbą, – wszystkimi obelgi,
Jakie ród ludzki wymyślił na siebie
Okryła mię ta nierządna kobieta,
Którą tu widzę z takim obrzydzeniem,
Jakbym przy stopach króla widział węża
Już się pnącego aż na berło złote!
Królu! jam niegdyś szczycił się i chlubił
Życzliwem twojem opiekuństwem – łaską;
Byłem ci miłym od młodości: teraz
Widzę, że oczy odwracasz odemnie. –
Czyliż obelgi żeńskie okryły mię
Przerażającym obrzydliwym trądem,
Na który ty sam nie chcesz patrzeć, Paniel?

(kłęka).

Jeżeli to trąd – a więc w rękach króla
Oczyszczające jest lekarstwo dla mnie: –
A więc się dotknij mnie i podnieś z kolan

I niechaj widzą ludzie, że nie jestem
Czołgaczem próżnym u stóp mego Pana;—
A ona, gdy ja klęczę, niech nie stoi!

Podkanclerzyna.

Kto stać nie może, ten niechaj ukłęką.

Radziejowski.

Waćpani prośby swe zanosisz leżąc.

Podkanclerzyna.

A Waćpan moich prośb słuchiwasz chrapiąc.

Radziejowski.

Szalbierko!

Król.

Ciszej, Mości Podkanclerzy!

Hamuj się nieco w mojej przytomności.

Radziejowski.

Powróć mi Panie dom, i tę kobietę
Oddaj pod moją marytalną władzę.

Król.

Jakiż ci, proszę, przybędzie pożytek
Z niechętniej żony, Panie Podkanclerzy?

Podkanclerzyna.

Jaki pożytek z żony—niechaj powie.

Radziejowski.

Kobietę pełną żółci, ty masz w sobie
Gniazdo octowe, które wszystko kwasi,
I czyni octem. Odwróć te szyszczące
Oczy, bo stracę rozum i cierpliwość!

Podkanclerzyna.

Cokolwiek stracisz—wiedz mój adonisie,
Że mnie straciłeś już na wieki wieków;

Chowaj więc rozum, Mości Radziejowski,
Aby ci żoną był i nie szedł, jak ja,
O rozwód. Co zaś do mnie, Mości Królu,
Na konsystencyi zostaję u ciebie
I w zamku będę mieszkała – aż póki
Ten człowiek sobie nie wybiję z głowy,
Że Orfeuszem jest i Eurydyki
Dostanie z piekła, grywając na drumli.
U Prozerpiny jestem dla Waćpana –
Ani myśl o mnie, Panie Podkanclerzy.

(Wychodzi).

Radziejowski.

Będziesz-li, Panie, cierpieł nierządnicę
W pałacu własnym?

Król.

Mości Podkanclerzy,
Muszę Waćpanu powiedzieć otwarcie,
Że tak zaszedłeś daleko w rozterkach
Z swoją małżonką i takeś rozszerzył
Przepaść pomiędzy sobą a tą panią:
Że teraz nawet ja sam, król, nie mogę
Sperandy żadnej dać Waćpanu; chyba
Czas ułgodzi to wszystko – atoli
Co do mnie, chciałbym między wami zgody.
Sam Radziejowską nieraz namawiałem,
Sam za Waćpana mówiłem osobą,
Królowa także się wdawała sama –
Lecz w tej kobiecie upór trwa zacięcie. –
Pocoś ją Waćpan wziął za żonę? – nie wiem,
Ani pojmuję, pocoś brał za żonę.
A wzięwszy, trzeba było trzymać krótko.
Stało się – teraz już nie widzę rady;
Lecz Waćpan żony tej odstąpić musisz.

Radziejowski.

Komu?

Król.

Kochany Podkanclerzy, śmiech mię
Bierze: – za dobry jesteś dla niej. Co zaś, –

Że tobie pałac wzięto: to nagrodzić
Łatwo; myślałem o tem nieraz. — Sluchaj:
Gdyby Waćpanu starostwo lubelskie
I kasztelania — naprzykład krakowska
Obiedwie teraz wakujące — mogły
Zalatać dziurę i poprawić losu...
Co myślisz?

Radziejowski.

Z tego nic nie będzie, Królu!
Za wielkie dary rodzą podejrzenia!
Nie zasypiesz mię tak po głowę złotem,
Aby nie widział świat, że noszę rogi!
Z jelenia chcesz mię zmienić w kasztelana!
Ja kasztelana nie chcę, a rogalem
Nie będę — a mój dom odbiorę gwałtem!

(Wychodzi).

Król.

O! trudne, trudne panowanie, kiedy
Żądze się własne płaczą między sprawy
I sprawiedliwość w samym pączku trują,
Jak złe robaki, pierwiej urodzone,
Nim się zawiązał kwiat. — Szczęście, że wojna
Da myślom inny kierunek — i od tej
Sprawy odwróci ludzkie słuszne sądy.

(Wychodzi).

SCENA V-ta.

Ulica.

Pan Harmider — Skórka.

Harmider.

Skórka!

Skórka.

Slucham, Panie!

Harmider.

Skórka! dowiedz się u przekupki, którą się to bramą wyjeżdża na Ukrainę—bo ja nie wiem.

Skórka.

Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać, wyjeżdża na wojnę, jak my: ten powie Panu, gdzie Ukraina.

(Nadchodzi pan Bulski).

Harmider.

Mości wojaku! jak honor?

Bulski.

Pan Bulski, do usług.

Harmider.

Pan Harmider, wzajemnie.

Bulski.

Uniżam się do nóg.

Harmider.

Caluję stopy Pana Dobrodzieja... do stu furdamentów, jaki brzuch!

Bulski.

Czy szkodzi?

Harmider.

Raduje, Mości Dobrodzieju; dobra tusza to grunt.

Bulski.

A jednak jabym się opasał Acana wąsami, widzi mi się.

Harmider.

Utnij, Panie Bulski!

Bulski.

Waćpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

Harmider.

Jak się podoba, Panie Bulski!

Bulski.

Nie od tego... (biją się).

Harmider.

Zasapałeś się, Panie Bulski; pocałujmy się!

Bulski.

Proszę o przyjaźń, Panie Harmider. (Ściskają się).

Harmider.

Do kroćset furdamentów! aż do ciemnego grobu, Panie Bulski. — Kto Waćpana rodzi?

Bulski.

Stolnikówna rawska, widzi mi się.

Harmider.

Bardzom rad. — Skórka!

Skórka.

Słucham, Panie!

Harmider.

Pobież do kwatery: niech pani Szewczycha przygotuje wieczerę — zyskałem przyjaciela. Wróćmy się, Panie Bulski, po pojedyнку trzeba odpocząć.

Bulski.

Regiment w marszu, Panie Harmider!

Harmider.

Dopędzimy go, Panie Bulski! — poczeka!

(Wychodzą).

SCENA VI-ta.

W Zbarażu.

Firlej — Koniecpolski.

Firlej.

Cóż dumasz, Panie Koniecpolski? — pono zegar, co bije w zbaraskim kościółku,

Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę
Dla nas, przez króla tutaj zapomnianych.

Konieczpolski.

Czegoż czekamy, Mości Kasztelanie
Bełski, Firleju, za tymi okopy –
Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory,
Które tu straszny smędem zalatują,
Wyniszczą wojsko, poddać się przymuszają? –
Już dwa miesiące trzymamy się tego,
Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie!
Nie jest to obóz – ale zarażona
Mogiła, która zastępuje drogę
Krwawym kozakom: konie ich nie śmieją
Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę
Lecieć galopem.

.....
(Wchodzi Księżę Wiśniowiecki).

Ks. Wiśniowiecki.

Cóż, jak wam zdrowie służy, moje Pany?
Cóż, czy podoba się wam Ukraina?
Firlej – to człowiek; lecz ty, Mości Panie
Regimentarzu, w bakaliach chowany,
Musisz za matką tęsknić? – coś mi smutny!
Czy zachorował wam kucharz francuski?

.....
Frykasowane, czy łopatkę końską
Niedopieczoną? – Zamknąłem się z wami,
Chociaż nie hetman, ani regimentarz –
Zrobiono ze mnie ciurę; – lecz myślałem,
Że się na waszym stole odjem suto,
Dlatego się tu zamknąłem w Zbarażu.
Pfu! ani jadła – ni konsyderacyi.

Konieczpolski.

Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz księżę,
Który nas ręką żelazną obrania,
A potem szydzi – i tak sobie płaci

Za pomoc swoją, jakby nigdy nie znał,
Na czem zależy rycerza szlachetność?

Ks. Wiśniowiecki.

Ja nie szlachetny jestem, ale głupi,
Żem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;
Mogliście sobie wszyscy i bezemnie
Odwiedzić Sambuł. — Hej, który z Kozaków!

Kozak.

Co Książę każe? szczo batiuszka każe?

Ks. Wiśniowiecki.

Zapalić ten dom żyda, bo mi ciemno!

Firlej.

Żartujesz, Książę — w tym domu są prochy.

Ks. Wiśniowiecki.

Staruszk, słuchaj! powąchaj się tylko:
Już pachniesz trupem — i ja — i ten młokos...
Jak ci nazwisko? — bo pamiętam tylko,
Żeś regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.
A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,
Pierzynę i Łacinę? — Co się tyczy
Prochów: wysadźmy się w drogę, Panowie,
Aż do Najświętszej gdzieś Maryi Panny
W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro
Kozacy z nas nie zrobią jajecznicy!

Kozak.

Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

Ks. Wiśniowiecki.

Do nich się udaj, do Regimentarzy;
Ja tu się liczę między proste ciury.

Firlej.

Wprowadzić tutaj kozackiego posła!
(Wchodzi poseł).

Poseł.

Zdrowie, Panowie szlachta!

Firlej.

Z czym przybywasz?

Poseł.

Pany Hetmany! Chmielnicki przysła,
Ażebyście się wnet poddali wszyscy
Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka.
Cało wypuści was z obozem waszym;
Jednego tylko księcia Jeremiasza
Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,
Aby za naszą krew kozacką – gwałty –
Tortury – pastwy – odpowiadał głową.

Firlej.

Na taką mowę nie ma odpowiedzi...

Konieczpolski.

Owszem, odpowiedź jest: weźcie kozaka
I głową jego nabijcie harmatę!

Poseł.

Za moją głowę Chmielnicki odeśle
Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,
Tak, że was nasza artylerya skropi
Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

Firlej.

Powiedz tam panu Chmielnickiemu od nas,
Że propozycja jego Firlejowi
Włos poczerzyła siwy – krew zażęgła
Ogniem młodości! – Niech przysła więcej
Odmładniających takich kosmetyków.

A nawet trupy nasze wstaną z grobów
I oburzone za broń chwycą rdzawą!
Jeremiasza chcecie? – co? – Dlaczegoż
Nie zażądaliście z każdego serca
Po funcie mięsa? – z każdej naszej żyły
Po kwarcie żywej krwi? – z każdego oka.

.
.
.

ZŁOTA CZASZKA.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

O S O B Y.

Pan Konicpolski, alias Gwint.
Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki.
Pani Strażnikowa, jego żona.
Panna Agnieszka, jego córka.
Pan Gąska, regent.
Pan Milowicz, szlachcic.
Ksiądz Prowincyał franciszkański.
Inny Ksiądz.
Zakrystyan.
Jankiel, żyd arendarz.
Stanisław, skrybent.
Jan
Kleofas } studenci od Jezuitów.
Szaweł }
Magda, dziewczka.
Snopek, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemiercu – za panowania
Jana Kaźmierza.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Stanczka Stanisława.

(Stanisław, — Jan, — później Gąska).

Stanisław.

Cóż tam, Panie Janie? źle słyhać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoją, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Waćpanem?

Jan.

Będzie, co Bóg zechce.

Stanisław.

Zdaje mi się, że trzeba by złemu zapobiec.

Jan.

A jakim sposobem?

Stanisław.

Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj—ja ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód—patrz: wykleiłem sobie wertep z papieru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy—i będzie czem Boże Narodzenie pokropić. A Waćpana podobno z domu Strażnika

wypędzono? – Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kołody – a ja Waćpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie – a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

Jan.

Cóż ja jej powiem? – ja jestem ubogi...
Pan Regent jasnych atlasów naniesie,
Przyjedzie końmi karymi w kolesie –
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze – że jak aniołowie
Będzie świeciła między siostry swemi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotemi
A ja – co powiem? ja, student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcys biały? – Tu cały fundament
Urząd – podkówki srebrne – axamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety
Przynęcić i mieć wszystkie po za sobą;
A wiesz, że moja biedna matka wdowa –
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mleka! a ozdobą
Domu naszego jest – bocian na dacliu
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki!
U matki mojej przędą biedne dziewczki –
Ona sprzedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

Stanisław.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan Strażnik także nie majestat.
Waćpan się tylko strój – niech panna kocha...
Lecz ot – ktoś wchodzi. – (Wchodzi Gąska).
Co widzę? Pan Gąska?

Gąska.

Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

Stanisław.

Ja jestem; do usług W Pana.

Gąska.

Hum... czy Waćpan komponujesz wiersze?

Stanisław.

Komponuję; co Waćpan rozkaże?

Gąska.

Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę... amoroso... w sobie miłosnym... dla jednej panny, dla której mam affekt i postanowienie.

Jan.

Dla Agnieszki?

Gąska.

Skomponuj mi Waćpan i napisz na najpiękniejszym papierze; rozumiesz?—Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowi! strzała srebrna. Mocium panie, przesywająca na wylot;—pod spodem miejsce na podpis... i jakie lacińskie symptoma.

Stanisław.

Rozumiem, W Panie.

Gąska.

Co za to będzie należało—zapłacę. A proszę, aby dobrze było rezonowane i asumpt z wysoka; masz zadatek!

(Wychodzi).

Stanisław.

Dukata rzucił!—Niech go dyabli—dukata rzucił!—Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!... Idź na żołnierza... idź na żołnierza!—Tu nie ma co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak bizunus. Niech go dyabli, jak płaci!

(Śpiewa).

Póki nie obrońsz pierzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! – Chodź na wino do Jankiela!

(Śpiewa).

Póki nić ustrzyże Parka,
Żydóweczka nam szynkarka
Lej, lej, lej!
Adonisie, z miłości się
Śmieć, śmieć, śmieć!
Chodź do Jankiela na wino!

Jan.

Lecz co będzie z moją miłością?

Stanisław.

Co? – Czy ja wiem, co będzie z twoją miłością? – Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie – i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniądze...

(Wychodzą).

SCENA II.

Szynk w zajezdnym domu.

(Pan Konięcpolski – Jankiel, szynkarz).

Jankiel.

Nu – a co tam słyhać w Krakowie?

Konięcpolski.

Żle, Żydzie, słyhać: Szwedy w Krakowie – a Kozaki na Podolu – a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kaźmierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

Jankiel.

Nu – tak cóż on zrobi? a gdzie on?

Konięcpolski.

W górach karpaccich siedzi.

Jankiel.

A co będzie, jak go z gór wypędzą?

Konieczpolski.

To pójdzie za góry.

Jankiel.

A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

Konieczpolski.

Gałganie Żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Hamana?
Zrobimy tu konfederacją i wypędzimy Szwedów!

Jankiel.

Ja nie przeczę.

Konieczpolski.

Kto tu ma największe między szlachtą znaczenie?

Jankiel.

Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan, to pan
Strażnik, co dostał złotej czaszki.

Konieczpolski.

Wytlómacz się, Żydzie!

Jankiel. *

Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i między swymi i między nas żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb—i dobry łeb!—i stary łeb!—Pani Strażnikowa, to dobra kobieta; jest i panienka w domu, cy-mes panienka!—a idzie za mąż za bogatego szlachcica...

Konieczpolski.

Gdzie mieszkają ci państwo?

Jankiel.

Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają.

Konieczpolski.

Trzeba mi do nich zapukać.

(Wychodzi).

Jankiel.

To jakiś Haraburda!—Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić zabij—wytnij—morduj! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie.

(Wychodzi).

SCENA III.

Piekarnia w domu Strażnikowstwa.

(Pan Strażnik i pani Strażnikowa).

Strażnik.

A cóż? każ serce, niech się dziewczki zejną na kolędę. Czy rozdałaś im wstążki?

Strażnikowa.

Dałam każdej po wstążce i po tynfie—kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

Strażnik.

A Gnusi coś dała?

Strażnikowa.

Kornecik z czarnej koronki z różami.

Strażnik.

A ja tobie co dam?

Strażnikowa.

Nie szalej, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?... Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiki na korkach.

Strażnik.

A weź, serce, na to z biórka pieniędzy i daj odemnie.

(Schodzą się Dziewki).

No! dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Spiewają):

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z anioleczkiem
Ridentes.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes;
Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

Agnieszka (wchodzi).

Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

Strażnik.

Proś go tu, do piekarni.

(Agnieszka wychodzi).

Konieczpolski (wchodzi).

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Strażnik.

Na wieki wieków! – Kto Waćpan jesteś?

Konieczpolski.

Jestem wojak Mości Dobrodzieju!

Strażnik.

A z jakich stron?

Konieczpolski.

Z Ukrainy.

Strażnik.

A jak godność?

Konieczpolski.

Nazywam się Gwint.

Strażnik.

Familia Acana Dobrodzieja mi nieznajoma.

Konieczpolski.

Wierzę; jestem z małej szlachty.

Strażnik.

Ja także z małej...

Konieczpolski.

Ale, jak słyssałem, z tęgiej?

Strażnik.

Tak sobie! – Czemże mogę służyć Acanowi Dobrodziejowi? –
Dziś dzień święty; zastałeś mię, że z ludźmi śpiewałem kolędę.
Siadaj Waćpan! – Magdo, przynieś sztofik z szawki i pierniczki...
Proszę, siadaj Wać...

Konieczpolski.

Prosto Waćpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem
robić tu konfederacyę.

Strażnik.

U nas?

Konieczpolski.

Czy to Waćpana dziwi?

Strażnik.

Miasteczko żydowskie, Mościdzieju!

Konieczpolski.

Ale przecież tu mieszka i szlachta?

Strażnik.

Są – są – ale nie tędzy!

Konieczpolski.

Uważasz Waćpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces — jak o danie pierwsze hasła narodowi. Wszak Waćpan służyłeś w wojsku?

Strażnik.

Dotknij Wać palcem; czy czujesz?... twardy mam łeb — z kruszcu, Mości Dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

Konieczpolski.

Słyszałem.

Strażnik.

Więc Waćpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi. — A kto przysła?... Czy wolno spytać, kto przysła?

Konieczpolski.

Oto jest list.

Strażnik.

Gnusi!

(Wchodzi panna Agnieszka).

Agnieszka.

Co, Tatku?

Strażnik.

Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewczkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpętne; co?

Konieczpolski.

Przystojna panna!

Strażnik.

I dobra... (bierze okulary) Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia (czyta). Więc Waćpana sam król upoważnił? Ha! (wstaje). Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Waćpan mieszkasz?

Konieczpolski.

U żyda Jankiela.

Strażnik.

Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

Konieczpolski.

Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Waćpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

Strażnik.

Jak wola; szczerem sercem proszę.

(Konieczpolski wychodzi).

Gnusiu, zawołaj mi matki.

(Wchodzi Strażnikowa).

Strażnikowa.

A co, serce?

Strażnik.

Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serduniu.

Strażnikowa.

Z jakim że to deszczem spadną ci goście?

Strażnik.

Spadną, bo zaproszę—więcej babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni—a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyła?

Strażnikowa.

Nie męcz dziecka!

Strażnik.

Waćpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

Strażnikowa.

Ale daj czas!

Strażnik.

Bhu! bhu!

Strażnikowa.

Cóż tak parszaskasz, dziadu?

Strażnik.

Przygotuj Waćpani córkę, bo się lękam, że pierwiej mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

Strażnikowa.

Idź spać—idź spać, zrzędo, proroku czarny.

Strażnik.

Dobrej nocy, moja babo!

(Wychodzi).

Strażnikowa.

Biedna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w axamiecie!... Gnusiu, a chodź tu!

Agnieszka.

Co, Mamo?

Strażnikowa.

Staremu się coś ubrdalo, chce koniecznie przyspieszyć twoje wesele.

Agnieszka.

O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

Strażnikowa.

Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?... Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gaska przysłał podarunki.—Magdo! doładźno tam z komody zawinięcie w jedwabnej płachcie i przynieś... (Magda przynosi). Widzisz? więcej tu jest złota, niż ty warta, błaznico; łokieć tej koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty. Jankielowa mi dawała czternaście tyńfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu fiu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jej do głowy go narcysa

Agnieszka.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(Wyrzywa kwiat i depce go nogami).

Strażnikowa.

Ale, Gnusiu, cóż będzie?—Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

Agnieszka.

Niech czeka.

Strażnikowa.

Więc mu nie rekużujesz?

Agnieszka.

Rekużuję.

Strażnikowa.

Ale, Gnusiu, ojciec chce...

Agnieszka.

Mało czego ojciec chce! Powiedz mu Mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

Strażnikowa.

A skąd ty się nauczyła takich ekuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda!—W twoim wieku już byłam matką Michała—niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiera: niech będzie Jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojej na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazała raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrażaną wargą, kiedym szła za niego—a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo—to nie pierwsza para w draganta, co jak skrzyplik przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo—to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwieszisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moją zakonnice we Lwowie?—Piernikami cię nakarmiła—fioków papierowych nasypała do fartucha—i płakała! Wiesz ty, czego płakała? bo się jej chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopca a nie zakonnice! Pamiętaj, pamiętaj!

Agnieszka.

Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

Strażnikowa.

Błaźnico jedna, przyganiaasz matce?!—Mylam to, czesałam to, póki było młode—a teraz mam na starość autorament w tej mendeweszce. A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcynełę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłucesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłucesz...

Agnieszka.

Co Mama gada?

(Wychodzi).

Strażnikowa.

Zaczerwieniła się.—Magdusiu!

Magda.

Co Imość?

Strażnikowa.

Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości.

(Wychodza).

SCENA IV.

Dom zajezdny. — Noc.

(Pan Kleofas i Szaweł, studenci.—Jankiel).

Szaweł.

Jankiel, wina!

Jankiel.

A kto płaci?

Szaweł.

Wina, żydzie!

Jankiel.

A kto funduje? Waćpanowie studenty, nie ojce familiom.

Szaweł.

Wina, żydzie! masz dukata!

Jankiel.

Nu—kiedy dukata, to dukata... (kłania się). A jakiego wina?

Szawel.

Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

Jankiel.

Zaraz przyjdzie.

(Ochodzi).

Szawel.

I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazissime?

Kleofas.

Co dnia o godzinie piątej chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwierała okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą, et incertitudine...

(Żyd przynosi wino).

Szawel.

Podlej gardła.

Jankiel.

Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie szabasówkę, idąc precz.

Szawel.

I podpalimy karczmę.

Jankiel.

A za co karczmę?

Szawel.

Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa; rozumiesz, Żydzie?

Jankiel.

Nu—karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

Szawel.

Cóż dalej?

Kleofas.

Co dnia więc o rannej zorzy
Stawała mi w okienicy,
Czekałem aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepiem białością olśnięty.

Szawel.

Rozumiem.

Kleofas.

Oczy jej to dyjamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przezczyste—
Jak błyskawice ogniste;
Leją się strumieniem—palą,
Odwrócić się od nich nie można...

Szawel.

Oczy zielone...

Kleofas.

Pobożna!

Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
„Moja wina! moja wina!“
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u mej białej dziewczynki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają—i śmieją się z win...

Szawel.

Potem dzwonek franciszkański
Zadzwoi na Anioł Pański:

Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

Kleofas.

Potem w swoje ręce bierze
Jak Irys tęczy szlak,
I mówiąc ranne pacierze –
Jasna cała jak lilija,
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potem ją całuje w czoło,
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

Sza weł.

Tatko Dobrodziej!...
Słuchaj – i tak zawsze z daleka patrzysz?

Kleofas.

Tak zawsze patrzę z daleka,
Jak z jej rąk tęcza ucieka,
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami jak pacholek jej służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

Sza weł.

Her Jezus! ten młokos zwaryował.

Kleofas.

Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł - budowniczy!...

Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy zdaleka czyli z blizka,
Czy ryknie na światło księżycy
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzica...

Szaweł.

Her Jezus! zwaryował! Gada jak pozytywek. Podlej gardła!
Lecz ciebie z domu wypędzono?

Kleofas.

Nie wspominaj mi!

Szaweł.

Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte
lokie.

Kleofas.

Kto ci to mówił?

Szaweł.

Nie zrymaj się!...

Kleofas.

Kto śmiał—powtórzyć?!

Szaweł.

Widzisz? Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem,
a ty cierpisz?...

Kleofas.

Ja...

Szaweł.

I plamisz w osobie swojej honor szkół! szkolną famę w obel-
dze umoczoną gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jej nie uwie-
rzysz, będziesz kpem.

Kleofas.

Zgubić ją?

Szaweł.

Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Al-
boż to on senator?—Idź Wać pod okno: już zaczyna szarzyć po-
wietrze—a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzke; o to się tylko
staraj!

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Sień w domu Strażnika.

(Pani Strażnikowa. – Magda).

Strażnikowa.

Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi nie ma wody. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść... Ave Maria... Magdo! Magdo!

(Wchodzi Magda).

Magda.

Jestem Pani.

Strażnikowa.

Śpiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykаты wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty... (wraca Magda). A cóż panienka?

Magda.

Zaraz przyjdzie – nie śpi już.

Strażnikowa.

Nie śpi już?

Magda.

Podlewała na oknie narcysy, jak weszłam do pokoju.

Strażnikowa.

Podlewała narcyzy?... Gnusiu! Gnusiu!

Agnieszka (z pokoju).

Zaraz, zaraz idę!

Strażnikowa.

Czy ubrana była panienska?

Magda.

Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i nie zdjęła kornetu.

Strażnikowa.

Zasznurowana!... Gnusiu! Gnusiu!

(Wchodzi panna Agnieszka).

Agnieszka.

Jestem, Mamo.

Strażnikowa.

A dla czego ty tak rano wstała?

Agnieszka.

Przez serduszko mojej okienicy włązi słońce i zawsze bije w same oczy. A potem ten Skopek, co to wiesz, Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Cocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał.—Ot i on włązi do sieni—biedne stworzenie sparaliżowane!...

Skopek.

Tiotia, daj jeść!

Strażnikowa.

Magdo, przynieś mu obwarzanka.

Skopek.

Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kijem—tak, tak, tak!—jak mamę kocham... Czego łązi?

Agnieszka.

Jak się on ślini!—Daj mu co, Magdo, i wypraw.

Magda (daje obwarzanek).

No, idź precz!

Skopek.

Hi, hi, hi! Magda krowa!...

(Posyła buziaka ręką P. Agnusi i wychodzi. Wchodzi P. Strażnik z drzwi drugich).

Strażnik.

No, kobiety, zwijajcie się! A potem do kościoła XX. Franciszkanów: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu?—Coś mi go Josiel ciasno skroił—co?

Strażnikowa.

Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

Strażnik.

Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada.

(Wychodzi).

Strażnikowa.

Do piekarni! do piekarni! miesić ciasto! Gnusiu, weź z po za zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś.

(Wychodzą).

SCENA II.

Zakrystyan Franciszkanów.

(Zakrystyan, później P. Strażnik).

Zakrystyan.

Nuż, chłopcy, zamiatać—a żwawo! (wchodzi P. Strażnik). Cóż tak rano sprowadza Waćpana Dobrodzieja?

Strażnik.

Przewielebny ksiądz Gwardyan jeszcze nie wstał?

Zakrystyan.

Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

Strażnik.

Zaczekam. —

(Zakrystyan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotej lasce dumając; Zakrystyan tymczasem falduje obrusy, nalewa ampulki i obciera z pyłu krucyfiksy. — Wchodzi Ksiądz, klania się Strażnikowi — potem idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka. — Wchodzi Gwardyan. Pan Strażnik wstaje).

Strażnik.

Witam Ojca Gwardyana.

(Całuje go w rękę).

Gwardyan.

A! Pan Strażnik!

Strażnik.

Proszę o posłuchanie.

Gwardyan.

Czy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

Strażnik.

W świeckiej sprawie.

Gwardyan.

Siadaj Wacan Dobrodziej.

Strażnik.

Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż, Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż tej nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszem zrobił konfederacyę...

Gwardyan.

Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konfederacyą?!

Strażnik.

Wysap się Acan Dobrodziej i umityguj się.

Gwardyan (siada i składa ręce na brzuchu).

Słucham Acana Dobrodzieja.

Strażnik.

Gdybyśmy na konsystencyi mieli u siebie Chorągiew Pancerną, albo komputowe wojsko:—ręcz byłaby łatwa.—W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane; wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja;—i odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujęmy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do JW Pana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisją żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznej na rzecz prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Waćpan Dobrodziej?

Gwardyan.

Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

Strażnik.

Lecz my nie mamy Chorągwi—

Gwardyan.

Otóż to, że nie mamy Chorągwi?...

Strażnik.

Że trzeba bicz z piasku ukłęcić—

Gwardyan.

Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukłęcić!...

Strażnik.

A jakże go ukłęcić, Mości Dobrodzieju?

Gwardyan.

Ha!

Strażnik.

Nie poddawaj się naglej rozpaczy Acan Dobrodziej! Ręcz się da zrobić.

Gwardyan.

Trudno!

Strażnik.

Ja wiem, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podo-

bieństwem!—Nim co będzie, każ Waćpan bić we dzwony i poślij cztery trąby na wieżę.

Gwardyan.

Więc sądzisz Waćpan Dobrodziej, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

Strażnik.

To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

Gwardyan.

Masz rację.

Strażnik.

I Waćpan, Wielebny Ojczy, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony.

Gwardyan.

I sądzisz Waćpan, że moja słaba wymowa—

Strażnik.

Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

Gwardyan.

Ale... e... e!...

Strażnik.

Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

Gwardyan.

Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję.—Kiedy Waćpan Dobrodzieju tego żadasz, to ja spróbuję.

Strażnik.

Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Waćpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym excessie nie odbiegła.

Gwardyan.

Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

Strażnik.

Trzeba kazać w dzwony bić, ojczy Gwardyanie.



J. MĘCINA KRZESZ.

ZŁOTA CZASZKA.

Gwardyan.

A jak Szwedy zrujną klasztor?

Strażnik.

To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach – lecz pod mogiłkami? Co mi Wacan mówisz o Szwedach? – Czy to ja przyszedł jak dureń do Waćpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowej Bony, do ceglanej ruiny – niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych – i nad nim siły szatańskie nie przemogą! – Postępujmy, Mości Gwardyanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my starzejemy!

Gwardyan.

Bogdajby to wszystko na dobre wyszło – bogdajby!

(Wychodzą).

SCENA III.

Rymek.

(Obywatele – Lud).

Pierwszy Obywatel.

Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardyan zwaryował?

Drugi Obywatel.

Ksiądz Gwardyan lubi muzykę.

Pierwszy.

Wracam z kościoła – pełny jarzącego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku. –

Drugi.

Krzyżem leży?

Pierwszy.

I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

Drugi.
Tu przebaknął ktoś o konfederacyi.

Pierwszy.
Co?

Drugi.
Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek.
(Pan Gwint wjeżdża zbrojny i staje śród tłumu).



Lud.

Jeżu drogi! Jeżu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany –
Szwed! Szwed! Szwed!

Gwint.

Jeżeli dbacie o domy wasze i trumny wasze: ruszajcie się –
bo wytnę do szczętu!

L u d (śró d placzu i szlochania).

Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

G w i n t.

Podajcie mi tokaju!

(Podają wino; on wylewa w helm i pije).

Jeremiasz Książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika
Złota Czaszka, Marszałka konfederacyi na Krzemieniu!

(Rzuca konia w galop; lud za nim).

L u d.

Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

Mogilki.

(Ciągłe biją w dzwony. — Pan Strażnik wstępuje na najwyższą mogilkę. Na prawo stoi X. Gwardyan z monstrancją pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty. Pan Gąska w jaskrawym ubiorze — i wiele Szlachty i Studentów w głębi i na przedzie.)

S t r a ż n i k.

Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrani! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis. A nie wołałem dla żadnej światowej mamony i dla chwały osobistej mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wiercie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętej, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczerę ku sprawie publicznej zamiary. — Wiercie Złotej Czaszce, bratu i sludze WCPanów Dobrodziejów, a zwiążcie się w konfederacją i obierzcie na tem miejscu Regimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską, abyśmy nie zginęli z duszami! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę, Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Miłowicza z Dymitrowki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą; ani też innych sądził niegodnymi tego zaszczytu: — lecz Matkę Boską sędzę godniejszą od innych i bez-

pieczniejszą w tej sprawie obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredo-
we tarcze—i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na tej mogi-
ce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję—tu podemną, złożone są
śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jak-
bym chciał wam kłamać i na złe was prowadzić, mając pod no-
gami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność bo-
ską już dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy
boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku służyłem, a którzy
już w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogą. Ale czyż
przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów da-
wnych, Kalinowskiego, że ja jestem tegi wojak, czy nie uwierzycie
mi, że jestem tegi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chry-
stusa, przyrzekam w pierwszym zdarzeniu pokazać i udowodnić!
Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których
jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmięcenia. A jakaż
chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod wa-
szemi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc
wola, niech się zapisuje na rejestrze złożonym na ten cel w re-
fektarzu, a później zechce zaszczycić dworek mój, albo tego—kto-
regu obierzemy Marszałkiem—z zawarowaniem zawsze regimen-
tarstwa dla Najświętszej Panny!—Skończyłem i proszę WPanów
z procesyą do refektarza na gałkowanie.

(Okrzyk powszechny i procesya wychodzi).

SCENA V.

Dziedziniec Strażnika.

(Wbiega Jankiel).

Jankiel.

Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami!
a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi—a ja wysłał do
panów Szwedów mego Jankielka na koniu; lepiej zapobiedz wczas,
niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani
Strażnikowa...

Strażnikowa.

Co tam, Jankielu?

Jankiel.

Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy, i panowie z nim po uszy w konfederacyi, i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać—niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu—niech leżą u JWPani w bezpieczeńcu.

Strażnikowa.

Co mówisz, konfederacya?

Jankiel.

Nu, pan Strażnik wlaźł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościół franciszkański—a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nie nie wiem, ale to fakt.

Strażnikowa.

Jaki fakt?

Jankiel.

Nu, fakt, fakcyja—ja nie wiem, ja trzymam się domu JWPani, a ja nic nie wiem... (słychać strzały). A, ot! ona już strzela—a konfederacya!

Strażnikowa.

W samej rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marya co to jest?!

Jankiel.

Wielmożnej Pani męża niosą na rękach, a za nim, całe miasto—a ja jeden tu!

(Krzyki).

Vivat Marszałek Złota Czaszka!

(Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potem wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach;—za nim pana Gąskę niosą—za nim p. Miłowicza).

Jankiel.

To pierwszy Marszałek, a drugi: Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty; on umrze, czego jemu było szkoda konfederacyi?

Pierwszy Obywatel.

Panie Kasperowicz! Waćpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

Drugi.

Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu nawciska!

Trzeci.

A ot! i panienka wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

(Wchodzą Kleofas i Szawel).

Szawel.

Jesteśmy deputacją od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka... (do Kleofasa). Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, Fiu! wy się z sobą znacie!—Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż węża—o tak!—Czy ci wszy chodzą po sercu?

Strażnik (za sceną).

A czego chcą te błazny?

(Pokazując się we drzwiach—za nim panna Agnieszka).

Czego Wacanowie?

Szawel.

W deputacyi od szkół, JW. Marszałku.

Strażnik.

Czy pan Prefekt przysyła?

Szawel.

Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wylamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszej i z uhamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają i pójdą tryumfalnie pod chorągwie rycerstwa polskiego. Dixi.

Strażnik.

A błazny jedne! a błazny!

Panna Agnieszka.

Tatku...

Strażnik.

A smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

Szawel.

Panie Złota Czaszka...

Strażnik.

Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potem wyrzucali, zem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na kłęczkach mi go przeprosić, błazny – precz stąd!

(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

Szawel.

Panie Złota Czaszka, taka afrontacya!...

Strażnik.

Afrontacya? (do cechów). Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

(Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzica i gonią ulicą).

Strażnikowa.

Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

Strażnik.

Precz, baby! – Co innego mi teraz w głowie, nie panna Agnieszka.

Strażnikowa.

To idźże do gości.

SCENA VI.

Cela księdza Prowincyała.

(Zakrystyan krząta się. — Prowincyał siedzi na krześle).

Prowincyał.

Cóż myślisz, Barabaszu, o tem wszystkim?

Zakrystyan.

Myślę, że ci panowie powaryowali.

Prowincyał.

Masz racją.

Zakrystyan.

A kiedy chcieli byli robić konfederacją, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazyljanów. Nie — przyszli Księdza Prowincyała wciągnąć! A wie Ksiądz Prowincyał dlaczego? — bo Ksiądz Prowincyał ma dobre wino węgierskie w lochu.

Prowincyał.

Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jej dziś.

Zakrystyan.

Sroka Księdza Prowincyała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: — „Oj Ojcie Prowincyale! oj Ojcie Prowincyale!“ Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym powiedział, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą czaszkę i włożyła Księdzu Prowincyałowi do kieszeni... ale sroka nie żyje...

Prowincyał.

Co?

Zakrystyan.

Zadeptano w tłumie.

Prowincyał.

Nie prawda!

Zakrystyan.

Ojcie, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

Prowincyał.

Nie prawda!

Zakrystyan.

Zadeptano.

Prowincyał.

Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jej; ty może myślisz, że to mnie mało martwi – ale ja z tej sroki miał pociechę.

Zakrystyan.

Mało z czego Książd Prowincyał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie Książdu Prowincyałowi grał na trąbach po nieszpórach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A Książd Prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na rejestrze w refektarzu, choć Niemiec...

Prowincyał.

Moich ludzi będę reklamował.

Zakrystyan.

Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamował, kiedy Książd Prowincyał jesteś sam Regimentarzem?

Prowincyał.

Ja? – jako żywo!...

Zakrystyan.

Książd Prowincyał drwi ze mnie.

Prowincyał.

Ja?!

Zakrystyan.

Książd Prowincyał stoisz podpisany na rejestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

Prowincyał.

Ale to za Matkę Boską.

Zakrystyan.

Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w rege-

strze! ale „Ja, Prowincyał księży Franciszkanów, regimentarz“ stoi w rejestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincyała!

Prowincyał.

Jeżu drogi! to ja zabrąłem, mówisz?

Zakrystyan.

Bez rekursu.

Prowincyał.

A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

Zakrystyan.

Ksiądz Prowincyał wie lepiej, co klasztorowi czynić przystoi.

Prowincyał.

Prawda, że wiem, ale tobie trzeba było mnie ostrzec—a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie.—Ktoś puka.

Zakrystyan (otwierając drzwi).

Jakiś dragan.

Prowincyał.

A czego on? (wchodzi Dragant).

Dragant.

JW. Złota Czaszka Marszałek przysłała z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincyał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

Prowincyał.

Odpowiedz panu Złotej Czaszce, że dobrze. (Do Zakrystyana).
Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

(P. Strażnik, p. Gąska, p. Miłowicz i kilku innych wchodzi).

Strażnik.

Witam Księdza Prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincyała, jako do naszego regimentarza.

Zakrystyan.

A widzi Ksiądz?

Prowincyał.

Milcz, durniu! – Bardzo rad! jestem całym sercem na usługi.

Milowicz (grobowym głosem).

Zafundujesz nam przecie wina, Księżu Prowincyale.

Zakrystan.

A widzi Ksiądz?

Prowincyał.

Milcz, błźnie! – (głośno) Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

(Zakrystyan wychodzi i po jakimś czasie wraca z winem).

Strażnik.

Coś mi, Księżu Prowincyale, dumasz?

Prowincyał.

Czy my się nie pośpieszyli zanadto?

Strażnik.

Wacpan Dobrodziej słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom: – a wtedy co będzie?

Prowincyał.

Panie Strażniku!

Strażnik.

Udałem się do Księdza Prowincyala, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremoniale nikt mu nie wyrówna...

Prowincyał.

Co, czy byliście kontenci z procesyi?

Strażnik.

Niech pan Gaska powie; mówiłem mu otwarcie, że się nie spodziewał takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincyał posuwa się –

a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmia,
aż trzęsła się góra królowej Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

Gąska.

Góra, czy Ksiądz Prowincyał?

Wszyscy.

Cha! cha! cha!

Milowicz.

Góra z Księdzem Prowincyałem!

Wszyscy.

Cha! cha! cha!

Prowincyał (do Zakrystyana).

Postaw tu, durniu, antałek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym, zdeptano mi sroczkę moją.

Strażnik.

Przyślę Księdzu Prowincyałowi pierwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem niech się Ksiądz Prowincyał uzbraja.

SCENA VII.

Pokoik Panny Agnieszki.

(P. Agnieszka i Magda).

Agnieszka (płacząc).

Magdo, daj mi chustkę.

Magda.

Tak, tak! Jak panienka z żalości umrze, a Jegomość będzie płakał: powiem — dobrze Jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacz! dobrze Jegomości tak!

Agnieszka.

A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

Magda.

Z miłości płacze Panienska; ja wiem, że z miłości.

Agnieszka.

Otóż ja nie z miłości płaczę—ja tak płaczę.

Magda.

Ha, ha! jaby w to uwierzyła? Jaka mi Panienska mądra! jaby w to uwierzyła?

(Wchodzi Pani Strażnikowa).

Strażnikowa.

Co mi to za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie: pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

Agnieszka.

Powiedz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zołobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję. Weź sobie mama ten korne-cik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić! zostawcie mnie!

(Wchodzi p. Strażnik i p. Gąska).

Strażnik.

A kto tu szlocha?... a dlaczego to Waćpanna szlocha?

Strażnikowa.

Daj pokój — przy obcych ludziach!...

(Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczone mi oczyma).

Strażnik.

Widzisz mi płaksę? — Obetrzyj Waćpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gąska przyszedł z komplementem.

Agnieszka.

Dziękuję.

Gąska.

Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnej Acanny Dobrodziejki wiołentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcja...

Strażnik.

Patrz—płaksa roześmiała się!

Gąska.

Rozjaśnienie jej czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co stoją na oknie?

Agnieszka.

Nie.

Strażnik.

Grzeczna mi bądź, błaznico!

Gąska.

Pozwól mi Acan Dobrodziej, pozwól mi:—tu ja sam jestem wystawiony na szwank, niech mam wszelką wolność. (Do panny Agnieszki). Czy moja osoba jest przedmiotem jakiegokolwiek odrazy? proszę szczerze...

Agnieszka.

Żadnej odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja, ale ja szczęścia Pańskiego nie zrobię: ja nic nie umiem, jestem w domu jak obrazek malowany...

Strażnik (do żony).

Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gąsce apparatus, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka,—a bierz, bo to skarb.

Gąska.

Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

Strażnik.

Cóż to, czy mi Waćpan rekuzyjesz?

Gąska.

Prędzejbym żywota mego odstąpił i duszę moją opuścił, niż wyrzekł się złotej dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazyja, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru. Dlatego więc proszę, abyś WPań Dobrodziej, ponieważ otwartej nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i expektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna nie rekuzyjesz?

Agnieszka (spojrzawszy na ojca groźną twarzą).

Nie.

Strażnik.

Jest to konsensum.

Gąska.

Wróćmy do kielicha.

(Wychodzą).

Strażnikowa.

Bardzoś była mądra; aż rosłam słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiu! I on mi się podobał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałś ty, jaką miał karmazynową sajetę na żupanie? Takiej sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiej materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

Agnieszka.

O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe
Ubrany dworek starego szlachcica;
Kto myślą sięgnął w niebo lazuruwe,
Widział, jak duchy i Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę,
A stopy dzierżąc na srebrze księżycy
Na dom jasnością piorunową biła
I z po nad starych lip błogosławiła.



Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały – a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza.
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza;
I piękność chował dawnych, szczerych rysów
Napelniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowej korzą się burzy i wicherze,
Jasna kołęda w przyćmionej piekarni
Płakała – w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od sere naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiej pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie –
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękanie,
Lud, co nazywał się ludem Polaków. –
Teraz, przy dalszej zorzy zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiosenną ubrany –
I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni

.
.

WALLENROD.

DRAMAT.

(FRAGMENT).

O S O B Y.

Wallenrod.

Kiejstut.

Jagiello.

Kirgieł.

Narymunt } bracia Jagielly.

Witołd, syn Kiejstuta.

Halban.

Alf, giermek.

Dwóch Wajdelotów.

I-szy i II-gi Krzyżak.

Biruta, żona Kiejstuta.

Anna, żona Witołda.

Axena, siostra Jagielly.

Ksieni, matka Wallenroda.

AKT PIERWSZY.



SCENA...

(Początku tej sceny, jako i początku tego całego aktu braknie w własnoręcznym rękopiśmie poety. Jestto już scena trzecia od końca).

Pierwszy krzyżak.

poszedł na roraty.

Drugi.

Z pałaszem i w szlafmycy.

Pierwszy.

Dobra piosenka, Panie Knyper, bo zawsze człowiek czego się innego domyśla, a tu rzecz niewinna. No, jeszcze strofę!

(Wchodzi Wallenrod).

Wallenrod.

Cóżto za śpiewy w moim domu, knechty?
Czyścić mi zbroję, opatrzyć oręż!
Jutro na Litwę wyjeżdżamy — precz stąd!

(Krzyżacy odchodzą).

Ha! więc godzina przyszła! Żegnaj teraz
Rycerska sławo, dumo i ty jędzo,
Miłości własna, żegnaj! Los zaczyna
Podgryzać twardą podstawę posągu,
Aż runę z góry i w proch się położę.

(Halban wchodzi).

Jesteś, nieszczęścia kuku! Weź tę harfę
I wyjdź na ganek, graj, aż moja matka

Usłyszy i tu zejdzie korytarzem...

(Halban wychodzi).

O smutna pieśni, którą tyle razy
W dzieciństwie mojem słyszałem na Litwie!
Jak ty rozdierać musisz matki serce,
Podobna skardze szczęścia minionego
I zawiedzionych nadziei płaczowi...

(Wraca Halban).

Halban.

Słyszała i tu idzie przeorycha.

Wallenrod.

Dobrze... Nic nie mów do mnie, jestem wściekły.

(Wchodzi Ksieni).

Matko, na Litwę idę...

Ksieni.

Już na Litwę?

Wallenrod.

Jagielle pomóc przeciw Kiejstutowi.

Ksieni.

Przeciwko ojcu ty idziesz własnemu?

Wallenrod.

Czy ja mam ojca? wszak jestem bękartem!
Natura nie ma żadnych praw nademną.
Jestem – jako struś, wywiedziony z jaja
Słońca promieniem – słońce mam za ojca.

Ksieni.

A Litwę masz za matkę – jestem Litwą...

Wallenrod.

Nieszczęście zaś za siostrę, śmierć za żonę,
A krew za napój. Wszak tak, stary mnichu?

Halban.

Naklnij losowi – a potem się poddaj!

Wallenrod.

Czy wy jesteście pewni, że mię w Litwie
Nie pozna żaden człowiek – nawet oczy
Własnego ojca – nawet jego serce?...
Trzęsiecie głową... takżem ja zmieniony?

Halban.

Choroba twoja w Hiszpanii, Walterze...

Wallenrod.

Tak, zwaryowałem był kiedyś z tęsknoty,
Lecz teraz jestem zdrow. Cóż rozkażecie?

Ksieni.

Przysiąż, że nigdy się nie zdradzisz!

Wallenrod.

Siebie?!

Byłbym człowiekiem pełnym nierozumu,
Gdybym się zdradzał...

Ksieni.

Przysiąż mi, Walterze!

Wallenrod.

Dobrze – przysięgę tę weź, moja matko,
I zrób z niej worek.

Ksieni.

Jakże to rozumiesz?

Wallenrod.

Worek na ludzkie przysięgi – kradzione.

Ksieni.

Gorzko ty mówisz do mnie na odjeźdźnym.

Wallenrod.

Matko, ja ciebie kocham...

Halban.

Dziwne serce!

Jako wosk miękkie – jak wichur szalone!

Wallenrod.

Niech ten filozof stary, co prowadzi
Za nos narody, i mnie jako frygę
Kręci – niech będzie Homerem! Inaczej
Wszystkie me czyny rycerskie nie warte
Życia jaskółki...

Halban.

Nie bój się, żyć będą!

Wallenrod.

Gdzie? na księżycu?

Halban.

Wyjeżdżasz komturem,

Wrócisz zakonu mistrzem...

Wallenrod.

Wróżba krwawa!...

Lecz wróżby trzeba jako sny tłómaczyć
Na wspak... Czy Winrych chory?

Halban.

Walter Stadion

Powróci mistrzem!

Wallenrod.

O! męska Hekate!

Widać w nim zawsze starego guślarza,
Choć został mnichem świętego Franciszka...
Słuchaj, a Winryd Juningen czem będzie?

Halban.

Umarłych dusze idą zawsze w stadach

Jako bociany, z żalonymi wrzaski,
Aż zejda z nieba i polecą w ciemność –
Nieprawdaż, matko?

Ksieni.

Zostaw nas, Walterze!

My uprzątniemy tobie drogę z ludzi,
Schowamy trupy; znajdziesz miejsce czyste,
Posłane łoże, wymyte podłogi...
Wszystko się stanie wprzód, nim ty pomyślisz,
A gdy pomyślisz, już będzie zrobione.
A teraz ci dam ostatnią przestroge:
Oszczędzaj Litwy krew i głowę ojca,
Lecz bądź zwycięzcą!

Wallenrod.

Kobieca przestroga!

Ksieni.

Guślarzu, idźiny teraz zbierać ziola.

(Ochodzą).

Wallenrod.

A ja do stajen pogadać z rumakiem,
Czy się nie złamie pod zbrojnym krzyżakiem...

SCENA PRZEDOSTATNIA.

W zamku Kiejstuta.

(Kiejstut, Biruta, Dwóch Wajdelotów, Giermek Alf,
Witold, Anna, żona jego).

Kiejstut (do Anny).

Cóż ty, Rusinko, w złotym kokoszniku?
Czy ci wesoło w Trokach? Cóż Witoldzie?
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki.
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,
A pierwej miała włosy takie złote,

Jako miodowy księżyc – niechaj powie,
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

Biruta.

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,
Bilam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

Kiejstut.

Sklamalaś, stara moja... o! sklamalaś.
Bom ja uciekał – tyś gonila za mną!
Schowałaś mi hełm, abym nie wychodził,
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,
Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem;
Potrułaś mi psy, abym nie polował.
Tak, na Peruna tak! Widzisz Witoldzie,
Jak matka kłamie. Bij swoją Rusinkę,
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

Anna.

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi
Takie, jak twoje, teściu mój, Kiejstucie.

Kiejstut.

Takie, jak moje?

Anna.

Wszak masz hełm z rogami.

Kiejstut.

Ha widzisz! sarna je była przypięła
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego
Że nie bił żony – to są rogi sarnie.

Anna.

Ja Witoldowi przyprawię miesięczne.

Witold.

Co mi tam! posag już po tobie wzięłem,
Nie dbam o mięso sobole – mam skóry...

Anna.

Nie dbasz o kunę swoją? nie dbasz o nią?
Jak ci dam szcziutkę w hełm, obalę z koniem,
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,
Nie dba o żonę!

Witołd.

Cyt, moja kraszanko!

Anna.

Nosek o noskę—uderz! twój się stłucze...

Witołd.

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziąłem.

Anna.

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!
Każ wleźć pod ławę! Odszczekaj mi zaraz,
Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,
Bo wajdelotom powiem, że na ciele
Jesteś kosmaty—będą w pieśniach śmiać się.

Witołd.

Koteczko moja!

Anna.

Aj! jak ty mię ciśniesz!

Witołd.

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!
Wczoraj potłukła wajdelotom liry
Dlatego, że jej zaśpiewali o mnie.
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.
Dwa dni—sokoła mego najstarszego,
Który już siedział na łaskawym chlebie,
Kazała upiec i dać na wieczkę!
Pytam: co taki twardy ptak?—a ona:
Mężu, to kura!—patrzę—a ta kura

Na szyi pierścień ma żelazny—ścierwo!
A jużem udo zjadł...

Kiejstut.

Udo sokole?!

Witołd.

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

Kiejstut.

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:
A mówią, że to bohater za domem.

Anna.

Mnie, żony, spytać—powiem, czy bohater!

Witołd.

Cyt, słyszę jakieś trąbienie—od Wilna...

Anna.

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

Kiejstut.

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońce!
Bo mi tak dobrze, jak jest—a odmiana
Już być nie może na lepsze.

(Wchodzi Goniec).

Co słyszać?

Goniec.

Jagiello uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!
Narymunt, jego brat, i Korygiello
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,
Zajęli miasto, oraz zamki oba.
Załoga, napół zbrojna, tu się cofa...

Kiejstut.

Ranek spokojny—nad wieczorem burza.
Widzisz, Witołdzie—ja tobie mówiłem,

Że nigdy ufać nie można Jagielle!
Ciebie ta lisia skóra będzie łudzić
Do dnia sądnego. Widzisz, co się stało!
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,
A myśmy miodem lipcowym karmili.
Masz teraz skutek! Znów wojna – pożary –
Znów wewnętrzne rzezie: – a takiego ranku,
Jak dziś, by cała książęca rodzina
Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia
Zakosztowała – może już na długo,
A może nigdy już się nie spodziewać! –
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,
Zły mój synowcze, co tak Litwę klóćsisz!

Witold.

Jagielly wszakże potępiać nie można!
Wolności szukał, jak z nas każdy – i ty
Ojczy Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy
Więźniem i zbiegiem – wie o tem Biruta.
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich
Takiego ducha i takiej odwagi...
Wszak się nie dziwisz, że latają orły;
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian
Znajduje zamek trocki i powraca.
Tak człowiek wolność swoją zna – i do niej
Wie dobrze drogę. Jagielly nie bronie;
Winien był, ojczy, nam zaufać dłużej,
A tybyś mu był sam dał w podarunku
Skarb, który dzisiaj sam Jagiello bierze.
Do nas należy drugi raz odebrać
I drugi raz mu dać, by z łaski naszej,
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;
A tak wyższymi zawsze my będziemy,
Lecz jako ludzie – w dobroci i duszy
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.
Ziemią i skarby dzielimy się na równo,
A nawet – kto mniej weźmie – szlachetniejszy,
Jeśli mógł więcej, a wziął tylko mało...

Kiejstut.

Patrzaj, Biruto, jaki to filozof

Nasz syn! Wyprawiłby nas starych z torbą...
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!
Sam na koń wsięde.—Alf! pociągnij miecza.
A wy do komnat, baby!—Wajdeloci,
Gotujcie liry wasze, bo podobno
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie—

Wajdelota.

Żałobną.

(Wychodzą).

SCENA OSTATNIA.

W Klasztorze Krzyżaków.

(Ksieni, Halban).

Ksieni.

Sluchaj—te świece ze krwią gotowane!
Do łoju strasznych przymieszalam jądów.
Zapał je—gdzie chcesz, aby człowiek skonał:
A człowiek skona...

Halban.

Daj tę czarną świecę!
Choćby odkryto, żadne podejrzenie
Na Wallenroda nie padnie...

Ksieni.

Idź i truj!

(Rozchodzą się).

AKT DRUGI

SCENA I.

Obóz Jagiełły.

(Jagiello, Kirgiel, Narymunt).

Jagiello.

Byliśmy prawie do szczętu pobici.
Kiejstut jak stary lew chodził w okolo,
I wszędzie oczy straszne mego stryja,
Jako dwie gwiazdy krwawe, spotykałem
W mojem utkwione sercu. Dziesięć razy
Byliśmy tylko o miecza dłużynię,
I zawsze starzec nie podnosząc miecza
Stał, srogo patrząc na mnie; a ja byłem
Gotowy klęknąć, gdyby się uśmiechnął:
Ma uśmiech mego ojca – i coś w twarzy,
Co nakazuje miłość...

Narymunt.

O Jagiełło!

Gdyby nie Krzyżak, bylibyśmy zbici.

Jagiello.

Dziwna krzyżacka pomoc! Stał na górze,
Ani się ruszył...

Narymunt.

Ale straszna postać
Gdy się na górze nagle ukazała:
Obiedwie strony przejął strach – i obie
Spuściły miecze.

Jagiello.

Tak, w porę się zjawil!
Mieczem przeżegnał z góry i rozbroił.
Lecz słyszę trąby – to ów Krzyżak idzie...
(Wchodzi Wallenrod).

Wallenrod.

Gdzie tu jest książę Jagiello?

Jagiello.

Ja jestem.

Wallenrod.

Przychodzę tobie pomóc. – A ten rudy?

Jagiello.

Mój brat Narymunt

Wallenrod.

A ten z płaskim nosem?

Jagiello.

Drugi brat, Kirgieł.

Wallenrod.

Każ mi podać krzesło!
Wiele Krzyżakom dasz, jeślić pomogą?

Jagiello.

Konturze, teraz nie jestem bogaty;
Mogę obiecać, ale dać nie mogę.
Wieleżbyś żądał za twą pomoc szczerą?

Wallenrod.

Nic prawie! Knechtów, których mi zabiją,
Każesz przeważyc z koźmi i rynsztunkiem
A potem srebra dasz na wagę trupa...

Jagiello.

Srebra? – czy myślisz, że się w Litwie rodzi?

Wallenrod.

Co knechty, wiem, że z Prus je sprowadzacie.

Jagiello.

Łatwiej o knechtów, niż srebro.

Wallenrod.

Nie, wcale!

Jagiello.

Już nie wytrzymam tej krzyżackiej dumy...

Wallenrod.

Jeśli nie dajesz tyle, ile żądam,
Wraz wojnę w Litwie rozpocznę dla siebie.

Jagiello.

Czyń, jak chcesz! nadto jesteś w ustach twardy.

Wallenrod.

Więc do widzenia!

(Odchodzi).

Jagiello.

Widziałże kto w Niemcu

Podobną dumę? – Bracie Narymuncie,
Jedź do Kiejstuta, ofiaruj układy,
Witołda serce skrusz – Witołd mię kocha. –
Powiedz, że z Niemców mamy nieprzyjaciół.
Namiot wystawić każę przed wojskami

I tam na stryja mego będę czekał
Z uszanowaniem i z podległą skruchą.

SCENA II.

Obóz Kiejstuta.

(Kiejstut, Witold, Alf).

Kiejstut.

Witoldzie, teraz Jagiełło z Niemcami!
O! widzisz, jaki to wąż – widzisz synu!
Mój, Witoldzie, już mi nie mów więcej o tym człowieku.
Grób nam wykopał, grób ciemny!

Witold.

O! jeśli takim, jakim dziś się czuję,
I jutro będę: jutro będę królem!...
Dziśbym wystrzelał wszystkie gwiazdy z łuku!
Dziśbym wziął w ręce słońce płomieniste
I rzucił z procy na Jagiełły głowę;
Dziśbym go z koniem zarzucił na księżyc
A potem skoczył za nim i tam deptał,
Jak krwawą żmiję; dziśbym robił cudy,
A gdybym umarł, bogi by mi dały
Zapalać piorun lub odpierać tarczą
Zhukane morze, albo dźwigać góry
I ziemią całą trząść pod nimi z gniewu!...

Kiejstut.

Ja także jestem jakby odmłodniały;
Nie czuję trwogi – ani też rozpaczy.
Spokojny jestem, jak jezioro trockie,
Jak stare puszcze głębokie i ciemne.
O siebie jestem spokojny – lecz moja
Biedna Biruta!... Litwa się zepsuła!
Czy myślisz, żeby się znalazł jeszcze w Litwie jaki czło-
wiek, któryby chciał skonać na moim stosie, gdybym ja umarł?

Witold.

Ojcie Kiejstucie, co za czarne myśli?

Kiejstut.

Alf, chodź tu!

Alf.

Panie...

Kiejstut.

Czy tybyś się spalił ze mną?

Alf.

Ja?... spaliłbym się!

Kiejstut.

Tak ci się zdaje, dziecko. Psy skowycząc uciekają od człowieka, gdy je chce złowić; psy przeczuwają śmierć i wyjąc idą w lasy; trzeba je w workach wiązać i nieść do trupa pańskiego.

Alf.

To psy...

Kiejstut.

Patrz, Witoldzie, jaka duma w tem dziecku! Któżby powiedział, że to bękart tego zdrajcy haniebnego Waltera Stadiona?!

Alf.

Spalę się na stosie twoim, ale ojca mego nie nazywaj zdrajcą.

Kiejstut.

Niestety! Moje dziecko, ja go niegdyś kochałem. Ojciec twój uciekł do Krzyżaków, a potem gdzieś oszalał w hiszpańskim szpitalu i umarł wściekły... Zdrada jego przypadła właśnie w czas bardzo srogi dla Litwy: byliśmy zupełnie pobici – pamiętasz, Witoldzie? – lecz ty miałeś wtenczas lat siedem... Matka jego z rozpaczny powiesiła się była przed memi oknami na starej sośnie, lecz pastuch, przechodząc rano, odciął powróż i ocucił ją... Po tem zniknęła... Także jeden guślarz z pod Trok – zniknęli razem... Chodź tu, Alf, sierotą jesteś...

Alf.

Więc mię umarli widzą.

Kiejstut.

Ciebie—i myśli twoje.

Alf.

Jeśli się spalę, czy będą o mnie śpiewać wajdeloci?

Kiejstut.

Będą.

Alf.

I za sto lat?

Kiejstut.

Pieśń żyje wieki.

Alf.

A ty wiele jeszcze możesz pożyć, Kiejstucie?

Kiejstut.

Dziwne to psiątko!—zalewa mi oczy
Przezroczytymi łzami... Chodź! daj mi ust...
Różane twoje usta tchną mi życiem,
A twarz mi dawne czasy przypomina.
Dziś mi innego znajdź, Witoldzie, giermka!
Niechaj to dziecię żyje lata długie!

Alf.

Dlaczegoż ty mię chcesz odprawić książę?
Czym ci źle służył?

Kiejstut.

Cicho, małe szczenię!

Alf.

Jeśli odprawisz, pójdę do Krzyżaków.

Kiejstut.

Każę cię wtenczas złowić i powiesić.
Patrzno mi kruka!

Witold.

Idzie brat Jagielly
Zapewne zgodę ojcu proponować.
(Wehodzi Narymunt).

Kiejstut.

- Nie, nie, nie! nie ma zgody między nami!
• Nie! póki Kiejstut ma broń, nie ma zgody!

Witołd.

Mów, Narymuncie, z czem jesteś przyslany?

Narymunt.

Przychodzę stryja mego serce skruszyć;
Przychodzę – tę krew, co między Jagiellą
A między starym Kiejstutem się toczy,
Jako Wilenka między dwiema góry –
Przychodzę na tej krwi z mojej pokory
Most zrobić pewny, aby się Jagiełło
Z Kiejstutem mogli zejść, połączyć dłonie
I wiecznie zjednać. Przyszedłem, Kiejstucie,
Abyś na mojej pokornej osobie
Wzrok przyzwyczał do Jagielly twarzy
I pierwsze gniewy na mnie tak wyrzucił,
Jak chmura pierwsze piorunowe strzały
Wypuszcza w lasach na żubry i łosie,
A potem idzie spokojna i cicha
Po nad głowami królów. O! Kiejstucie,
Mnie karz – a przebacz Jagielle urazy!
Jam go namówił uciec, jam go wspierał –
Na moim garbie stanąwszy, dosięgnął
Krewskiego okna i z więzienia wyszedł –
A teraz widzi, że napróżno walczyć
Z Kiejstutem starym i z Witołdem młodym.
Kiejstut jest wichrem, a Witołd piorunem!
Królewska godność patrzy z waszych liców,
Pokora płynie z ust Olgierdowiców.

Kiejstut.

Zawsze masz słodkie usta, mój kochany,
A źle ci patrzy z oczu, stary kocie!
Nie jestem księżę na Trokach blaszany
I to pokażę wam. Jadasz na złocie
I złotem jesteś jak indyk nadziany,
A jeszcze szukasz kraść, gdzie się nadarzy.

A wieleś ty wziął od Jagielly w łapę
Za to, byś przyszedł, bym na twojej twarzy
Splunął gniew pierwszy? A czemu Jagiełło
Sam tu nie przyszedł? Straszne z was kręciele!
Nie ufam więcej – nie ufam... Zdradziecie!

Narymunt.

Witołda pošlij – niech z Jagiełłą mówi!

Kiejstut.

Pošlę niedźwiedzia, niechaj go rozedrze!

Narymunt.

Serce Jagielly już rozdarte żalem...

Kiejstut.

Cóż z niego płynie – czy krew, czy trucizna?

Narymunt.

Łzy bardzo gorzkie!

Kiejstut.

O! o! jeleń płacze!
Muszą go więc psy już trzymać za uszy.

Narymunt.

Żal mu, że wezwał Krzyżaków na Litwę.

Kiejstut.

Żal mu, że trzeba groszem płacić mnichy.

Narymunt.

Żal mu, że stryja dobrego obraził.

Kiejstut.

Płacze jak dziecko więc, kiedy je biją,
A z tyłu kulał pokazuje, grożąc.

Narymunt.

O! że nie grozi, patrzaj – oto dowód:
Sam tu przychodzi.

(Jagiello wchodzi).

O! Jagiello bracie,
Te wykopałem doły kolanami
Jako dwa groby: – Stryj przebaczyć nie chce.

Jagiello.

Stryju Kiejstucie! przysłałem do ciebie
Z przeprosinami brata Narymunta,
Lecz gdy się późnił długo, sam przychodzę.
Zapomnijcie mi, stryju, moje winy;
Lecz nie tak, jako pierwaj, zapomnijcie –
Karząc więzieniem, jak podłego zdrajcę!
Witoldzie, witaj!... patrzysz na mnie srogo,
Albo odwracasz oczy gdzieś na ściany,
Jakbyś się za mnie wstydził... Mój bratanku,
Miałem w ciemnicy zgnieć – nie użyć zdrady?
Wszak wyście Wilno mi zajęli zdradą,
Zamordowali męża mojej siostry,
A mnie samego wsadzili do lochu,
Karmili chlebem, kwasem ukwasili...
A teraz, widząc księciem – cóż traciecie?
Jagiello – księżę, przeprasza Kiejstuta!
A to jest lepiej, niż gdyby go więzień
Prosił o łaskę... Olgierd by się zaparł
Takiego syna – ty takiego brata!
Czyli wam smutno, że nie jestem podły?

Kiejstut.

Tak, do Witolda ty obracasz mowę.
Ty wiesz, że Witold ma z bursztynu serce,
Gdzie przyjaźń twoja, jako utopiona
Żaba, tysiąc lat bez powietrza żyje
I rusza brzuchem, choć ty jej nie karmisz
Ani dobrocią, ani zaufaniem...
Witold – to hardy młokos, z miękkim sercem!
Witoldem żyjesz ty na stryja stole!
Witolda dobroć jest twoją spiżarnią!

Witołda chowasz sobie od potrzeby
Na wszystkie zdrady – jak myśliwiec jaki,
Który, nim stanie na dzika z oszczepem,
Pierwej upatrzy do ucieczki drzewo...
Lecz się ten wreszcie most pod tobą złamie!
Wybrałeś wszystko, coś miał u Witołda: –
Witołd już wyznał, żeś ty jest przewrotny,
Dumny, ambitny i samolub chciwy.
Znamy cię teraz dobrze, mój synowcze!
Będziemy kochać, ileś wart – nie więcej: –
Dawać, ile sam zasłużysz – i mierzyć
Podług twojego głodu twoje ścierwo,
Wilku żelazny! – Czegoż chcesz odemnie?

Jagiello.

Twardość mi, stryju, odpowiedział, twardo!
Za broń-by trzeba chwycić i za żagiew,
Przez ciebie skoczyć i pójść aż na Troki;
Silniejszy bowiem jestem w broń i ludzi.
Krzyżacy stoją na górach, a Wilno
W moim jest ręku. Jednak nie odejdę,
Dopóki mogę bez ostatniej hańby
Uniać czoła.

Witołd.

Przebacz mu, Kiejstucie...

Kiejstut.

Ó! zgubisz ty mię, synu, zgubisz synu!

Witołd.

Ja wiem Jagielly zamiar, ojczy drogi!
On chce uderzyć zgodnie na Krzyżaków.
Jeżeli jakie oszukaństwo kryje,
To nie przeciw nam, lecz przeciwko mnichom...
On wie, że Witołd potrzebny na Niemce,
A więcej jeszcze zwycięstwu pomaga
Imię Kiejstuta. Dajże mu twe imię,
Daj mu Witołda – niechaj ma zwycięstwo!

Kiejstut.

Prawdę on mówi? – chceszże ty na Niemca?



J. RYSZKIEWICZ.

WALLENROD.

Jagiello.

Tej samej nocy.

Kiejstut.

No, to weź Witolda!

Jagiello.

Lecz wy mi, stryju, pomożecie?

(Całuje go w rękę).

Kiejstut.

Jagło!

Jeszcze raz tobie przebaczam; — pamiętaj,
To raz ostatni.

Narymunt (na stronie).

Tak, to raz ostatni!

Jagiello.

Witoldzie, namów ojca — niech do Wilna
Na tę noc zjedzie i dla bezpieczeństwa
Sprowadzi z Wielkich Trok żonę i dzieci.

Kiejstut.

O! zdaje mi się, że bezpieczniej w Trokach,
Niż w twojem Wilnie.

Witold.

Ojczy, znów go ranisz...

Kiejstut.

echać? — Witoldzie, powiedz —

Witold.

Ojczy, jechać!

A ja do tego czarnego kontura: —
Wyspowiadam go i wojnę mu rzucę.

Jagiello.

Kirgieł niech jedzie prosto do Biruty

I z całym dworcem kniahynią sprowadzi
W zamek wileński!—A ty, Narymuncie,
Spiesz i przygotuj ucztę na zamczysku,
Oraz wysokie dla Kiejstuta krzesło!
My, stryju, zwolna pojedziemy błoniem,
Aby widzieli ludzie, żeśmy w zgodzie.

SCENA III.

Zamek w Wilnie.

(Axena, później Narymunt).

A x e n a.

Dziś całą ciemną noc nie spały kawki
Na mojej wieży, lecz wrzeszczały ciągle;
A w tym szeleście i krzyku słyszałam,
Jakby mówiły: my objadły kości
Twego Wojdyły, gdy na szubienicy
Zawieszony był przez stryja Kiejstuta.—
Ja wrona jemu siedziałam na głowie
I jadłam oczy. My dwie na ramionach...
Druga wrzasnęła głucho: trup był czarny!
Trzecia wrzasnęła cicho: księżna słyszy—
Małżonka jego, księżna śpi pod nami!...
Wisielca tego żona śpi pod nami!
Kiejstuta synowica śpi pod nami!
Wstałam i okno otworzyłam:—Kawki,
Krzyknęłam, księżna nie śpi—księżna słyszy.
Księżna, wisielca żona, nie śpi w łożu!
Czekajcie, siostry czarne, księżna da wam
Głowę Kiejstuta... Kiedy to wyrzekłam,
W powietrzu głowę ujrzałam Kiejstuta,
Błądą Kiejstuta głowę—szklane oczy
I krwią zwalane siwe, długie włosy.
Zaczęłam wtenczas ją wabić jak ptaka:
Chodź tu, dam tobie jeść—otwarła usta...
Chodź, mówię, dam ci pić—patrzała cicho...
Chodź—wyciągnęłam rękę na powietrze—
Uciekła—potem znów się pojawiła

Pomiędzy ręką moją i oczyma,
Jak plama, cała ze krwi i z płomieni...

(Występuje Narymunt).

Narymunt.

Axeno...

Axena.

Bracie!...

Narymunt.

Przygotuj się, księżno,
Niemilą ci rzecz powiem...

Axena.

Mów!

Narymunt.

Nie miłą...

Axena.

Czekam okropnej.

Narymunt.

Nie, okropną nie jest –
Tylko cię muszę, siostrze, przygotować.

Axena.

Jagiello zginął?...

Narymunt.

Nie, zdrow i powraca.

Axena.

Wraca... zwyciężył?

Narymunt.

Nie – wraca bez jeńców,
Ale ci mnogich naprowadza gości.

Axena.

Kogo?

Narymunt.

Niemilych gości...

Axena.

Kogo?...

Narymunt.

Siostro,

Tylko nie popsuj całej pajęczyny,
Którą tak trudno było nam umotać...
Jagiello wraca z Kiejstutem.

Axena.

Ze stryjem?

Narymunt.

W zgodzie najlepszej powraca ze stryjem.

Axena.

Wraca z Kiejstutem?

Narymunt.

Idź, przygotuj ucztę!

Axena.

O! przygotuję ucztę... Narymuncie,
Znajdź mi zabójców!

Narymunt.

Ha! cóż ty zamyślasz?

Axena.

Znajdź mi zabójców... nie!... zabójców mi znajdź
Nie pytaj o nic!... Czy Biruta także
Będzie na zamku?

Narymunt.

Tak sądzę.

A x e n a:

Biruta!...

Zrobię z Biruty mnie!... Cóż, Narymuncie?
Dla ciebie skarby trochę – chcesz być ze mną?
(Wychodzą).

SCENA IV.

Obóz Krzyżaków.

(Witold, Krzyżacy, później Wallenrod).

Witold.

Gdzie jest ten Kontur, pies dyabelskiej mości,
Kuce krzyżackie!? – gdzie? – chcę z nim pomówić..
Cóż dobywacie szabel? cóż, murzyny?
Czy nie widzicie, że niosę na kiju
Kawał spódnicy, co mię czyni świętym?...
Gdzie jest wasz kontur? – chcę mówić z konturem.
(Wchodzi Wallenrod).

Wallenrod.

Cóżto za baba? – wrzeszczy, jak przekupka.

Witold.

Jestem tandetnik, przychodzę kupować
Stare krzyżackie łby – zrobię z nich papier,
Pójdą pod folusz... Ha, po czemu twój łeb?

Wallenrod.

Czy tak książęta w Litwie wychowane?
Wiele chcesz za twą grzeczność, tandetniku?
Znoszona bardzo i nie warta nawet –
Gdyby na tynfy mój gniew bić w mennicy –
Nie warta nawet tynfa z mego gniewu.

Witold.

Czy masz gniew? – Właśnie przychodzę, Krzyżaku,
Po twój gniew: – dobrze! sprzedaj mi gniew – dobrze!

A kiedy na twój gniew chcesz włożyć zbroję
I gniew posadzić na konia? – co? kiedy?...

Wallenrod.

Cóż? czy samego wyzywasz na rękę,
Czy z całym wojskiem, które mam – na wojsko?

Witołd.

Wojsko na wojsko, a ciebie – na siebie.
O! o! batalia będzie, jak należy.
Zamiast trąb – świstać rozkażę w orzechy
I hasło boju wydadzą świstuny.
Żony szcztkami będą zabijały
Wasze kolumny; wróble widząc trupy,
Zmieniają naturę i w sejmie uradzą,
Że kiedy łatwiej o trupy, niż ziarno.
Odtąd, jak wrony, będą żyły ścierwem.

Wallenrod.

A któż ty jesteś, co tak grozisz?

Witołd.

O pies!

Znasz ty mię dobrze! – jestem księżę Witołd.

Wallenrod.

Jakieżo Witołd?

Witołd.

Witołd, syn Kiejstuta.

Wallenrod.

Czekaj – zapiszę sobie twoje imię,
Abym spaamiętał.

Witołd.

Musisz mieć leb twardy, –
Jutro napiszę na nim moje imię.

Wallenrod.

Jednego tylko w Litwie znam rycerza,

Coby mógł złamać mój maleńki palec,
Używszy na to machin i taranów,
Którymi zamki na Litwie walicie.

Witołd.

Jakiżto rycerz, powiedz, taki silny?

Wallenrod.

Walterus Stadion.

Witołd.

O! to bądź spokojny
O twój paluszek, moja piękna panno:—
Walter już dawno w grobie, zdrajca podły!

Wallenrod.

Co? już nie żyje?

Witołd.

Dawno, dawno, dawno!

Wallenrod.

Jeśli nie żyje, to już w całej Litwie
Nie ma człowieka...

Witołd.

Słuchaj mnie, Krzyżaku!

Ten Walter, co tak tobie siedzi w głowie,
Z mego się ojca rodzi—był bękartem.
Krew, którą mnie dał Kiejstut, rubinowa—
Krew, którą jemu dał, nie warta wody!
To kalinowy sok—nie krew Kiejstuta!
Kobieta ją ukradła Kiejstutowi
I z tej kradzionej krwi miała Waltera,
A Walter ukradł tę krew znów ojczyźnie
I dał Krzyżakom... Ród jego i życie
Ciągłą kradzieżą jest—potem oszalał
I gdzieś w szpitalu skończył życie podłe...

Wallenrod.

Łżesz, bo się Walter kiedyś w Litwie zjawi!
Ty wiesz, że Walter żyje!

Witołd.

Niemcze twardy!
Ja ci powiadam, że ten zdrajca w grobie –
A ty mi wmówić chcesz, że zdrajca żyje...
Syn jego żyje: ojcu memu służy,
Za żoną swoją nosi ogon – i śpi
Pomiędzy psami przy Kiejstuta łóżku,
Ale to małe psiątko nie ma zębów –
Jeśli o małym mówisz.

Wallenrod.

Nie! o wielkim.

Witołd.

O wielkim zdrajcy...

Wallenrod.

O tym wojowniku,
Co kiedyś zaćmi wszystkie wasze sławy,
Najdłużej będzie w pieśniach waszych sływał –
Na kilka wieków umrze i znów wstanie
Straszniejszy, niż Bóg jaki piorunowy,
Mścić się i... Dosyć, mój ty giwojtosie!
Jeśli Waltera nie ma teraz w Litwie,
To nie mam się z kim bić – i do Prus idę,
Bo wy nie warci naboju w rusznicy!

Witołd.

O! tak mów – tak mów prosto, że uciekasz!
Ale ci Witołd młody na kark wsiądzie
Jak sroka, kiedy na tłustym baranie
Siedzi i welnę rwie i na wiatr rzuca.
O tak! powiadaj prosto, że uciekasz!
Powiadaj, że ci Witołd w nosie kręci!
Powiadaj, że się boisz stać na ziemi,

Pod którą Witold jako wulkan siedzi
Gotów się rzucić w górę — aż na księżyc!...

Wallenrod.

Jeśli się cofam, to tylko dlatego,
Że wasz Jagiełło skapy — a ty goły...

Witold.

Cofasz się, bo się boisz.

Wallenrod.

Zgnieść Witolda?!

Witold.

Tej nocy jeszcze trzeba mu wpaść na kark...

Wallenrod.

Tej nocy jeszcze trzeba zdjąć namioty...

Witold.

Cóż? — do widzenia, Niemcze!...

Wallenrod.

Dobra droga!

(Witold odchodzi).

Wallenrod (sam).

Pierwsza ofiara z mej rycerskiej sławy!
Pierwszy raz miecz się z pochwy nie pokazał krwawy.

SCENA V.

Sala w Wilnie.

(Axena, Narymunt, Litwini).

A x e n a.

Tu zasadzeni stojcie po krążgankach!
Ty, Narymuncie, wleź w komin — siedź cicho. —
Ja sama z sali wywołam Jagiełłę,

A potem wejdę tu i na Kiejstuta
Rzucę mój fartuch. Wtenczas wy do mieczów!...
I do więzienia z nim nie robiąc krzyku!

(Wychodzi).

(Wchodzi Jagiełło, Kiejstut, Alf, Wajdelota).

Jagiełło.

Tu, mój kochany stryju, na tem krześle –
To Giedymina stółek – tu siadajcie!

Kiejstut.

A gdzie jest dziewczka Axena? czy w Wilnie?

Jagiełło.

W tym samym zamku siostra moja biedna.

Kiejstut.

Żałuję szczerze tej krwi... Między nami:
Czy jeszcze dla niej nie znalazłeś męża?

Jagiełło.

Nie chce o drugim mężu ona myśleć,
Lecz się z boleścią swoją ożeniła;
Śpi z nią... i gada do niej... i z nią żyje.

Kiejstut.

Więcże mię w zamku źle gotowa przyjąć?

Jagiełło.

Tak! – może będzie wiele łez i wrzasku.

Kiejstut.

Przy sobie nie mam dla niej podarunku.
Może Biruta domyśli się stara
I co przywiezie. Jak tu w zamku głucho...

(Wchodzi Litwin).

Litwin.

Krywe Krywejta chce mówić z Jagiełłą.

Jagiello.

Niechaj tu wejdzie!

Litwin.

Nie chce tu wejść stary,
Ale pod zamkiem czeka.

Jagiello.

Dumny starzec.
Stryju kochany, bawcie się, aż wrócę.
(Wychodzi).

Kiejstut.

Chodź, Wajdeloto... ciężko mi coś bardzo
Na sercu!... Alfie, idź i patrz ku Trokom
Czy już nie jedzie Biruta z synową...
O czym wesołem mów mi, Wajdeloto:
Mam ciężkie serce...

(Axena wchodzi).

Ha! otóż Axena.
Witaj mi, córko moja, Olgerdówno!

Axena.

Witaj, Kiejstucie stryju!—gdzie Wojdyło?

Kiejstut.

Sama wiesz lepiej.

Axena.

Jam go nie schowała!
Patrz—pod fartuchem moim nie schowałam.
Ty go zabiłeś, stryju... gdzie Wojdyło?

Kiejstut.

Chodź, daj mi rękę... i nie wspominajmy.

Axena.

Gdzie jest Wojdyło, stryju?... Kto co weźmie,
Ten może wrócić. Wziąłeś mego męża,

Teraz cię proszę, wróć mi mego męża,
Albo mi powiedz, gdzie ja znajcę męża?
Może za tobą jest, możeś go schował?
Więc mi go pokaż! – niechaj mu się rzucę
Na szyję, niech go pocałuję!... Stryju,
Jestże to prawda, żeś go zamordował?
Żeś go niewinnie, srogo zamordował?
Żeś go na górze gdzieś powiesić kazał?
Ktoś mi to mówił, ale ja nie wierzę,
Ażeby w tobie było takie serce!
Wróć mi Wojdyłę, stryju – wróć Wojdyłę!

Kiejstut.

Bóg widzi, że go już nie mogę wskrzesić.

Axena.

Nie możesz wskrzesić? ha! nie możesz wskrzesić?
Więc płaczże, stryju!

Kiejstut.

Już mi łzy nie płyną...

Axena.

O! płaczesz, płaczesz ty, jak stara baba!
Fartuchem ci łzy będę ocierała,
Ażeby ludzie twych łez nie widzieli,
Bo się przelękna – tych łez krokodyla!
O daj mi oczy!... niechaj je obetrę...

(Rzuca mu fartuch na głowę).

Do mnie, Litwini! bierzcie tego starca!
Precz do więzienia z nim – precz do więzienia!
Ja sama teraz rozbroję Jagiełłę...

(Litwini wyprowadzają Kiejstuta, Jagiełło wraca).

Jagiełło.

Siostró, gdzie Kiejstut?

Axena.

Co?

Jagiello.

Gdzie stary Kiejstut?

Axena.

Tyś go nie widział?

Jagiello.

Nie – tum go zostawił.

Axena.

Więc ja ci powiem, gdzie jest stary Kiejstut:
Stary już Kiejstut w więzieniu.

Jagiello.

W więzieniu?!

Któż ten haniebny czyn popełnił?

Axena.

Kto? – ja!

Jagiello.

O! więc go odrób teraz, nieszczęśliwa!
O! więc tę plamę ze mnie zmaż haniebną!

Axena.

O! mimowolny uśmiech zdradził ciębie!
Ty się radujesz w sercu, że bez ciębie
Rzecz się zrobiła... Ja ci oszczędziłam
Kilka bezsennych nocy – ty się cieszysz!...
Ja twą naturę znam...

Jagiello.

Siostrze, lecz Witolda...

Axena.

Tu siedzi kolec w tobie... Otóż całe
Twoje sumienie, bracie – strach Witolda!
Witolda trzeba schwycić, nim się dowie
O losach ojca.

Jagiello.

Jeśli tak, to każę,
Gdy będzie wracał, pochwyć go w bramie.

A x e n a.

Idź! bo ci to da całe wielkie księstwo,
A mnie Kiejstuta krew zgasi pragnienie.

(Odchodzi).

SCENA VI.

Pod Wilnem.

(Wallenrod, później Alf).

Wallenrod.

Zdjęte namioty – wojsko wyruszyło,
A ja się na tej górze jeszcze trzymam,
Jak stare drzewo, do ziemi wrośnięte,
Ale umarłe – i patrzę na Wilno...
Ojczyzno moja! gdym ciebie porzucił,
Potrzebowałaś mnie! Ale na ciebie
Bóg spojrział – i mnie już nie potrzebujesz...
A więc odejdę... i mój żywot zdrady
Skończę, jak stary pies, pod cudzym płotem...
Bądź zdrowa więc, ojczyzno! Raz ostatni
Patrzę na ciebie – i tym znakiem krzyża
Zlewam na ciebie całe szczęście ludzkie,
Które mi kiedyś Bóg przyobiecował
O wschodzie życia. – Ty, ojczyzno Kiejstucie,
I synu, biedny sługo, bądźcie zdrowi,
Aż się po śmierci dowiecie, że byłem
Blisko waszego serca, że me imię
Nie było godne tego potępienia,
Które rzucili kiedyś na mnie ludzie...
Bywajcie zdrowi...

(Alf nadchodzi).

A l f.

Witoldzie! Witoldzie!

Wallenrod.

Jakiś dziecinny głos...

Alf.

Mój drogi Niemcze,
Prowadź mię prędko do waszego wodza,
Gdzie teraz księżę Witold na umowach;
Witolda szukam.

Wallenrod.

Powrócił do Wilna.

Alf.

Więc rozminąłem się z nim, gdy powraca!
Więc go z Kiejstutem wrzucą do więzienia!

Wallenrod.

Kiejstut w więzieniu?

Alf.

Zdradzono Kiejstuta!
Mojego pana okropnie zdradzono.
Kiedy go brano, oknem wyskoczyłem
I tu przybiegłem, by ostrzec Witolda,
Że ojciec wzięty...

Wallenrod.

Nie znasz ty, pachole,
Giermka, co służy na Kiejstuta dworze?
Nazywa się Alf.

Alf.

To ja.

Wallenrod.

Ty?

Alf.

Ja, Panie.

Wallenrod.

Czy masz ty ojca?

Alf.

Nie, nigdy nie miałem.

Wallenrod.

Nieprawda! Ojciec twój – jest Walter Stadyon.

Alf.

A skądże to wiesz?

Wallenrod.

Czemuś go się zaparł?

Alf.

Bom wolał zaprzeć się, niż mówić prawdę.

Wallenrod.

Dlaczegoż prawdy czystej nie mówileś?

Alf.

Bo to dla ojca lepiej – ojciec w grobie,
Ojciec mi na tym świecie nie pomoże.

Wallenrod.

Prawda, że ojciec tobie nie pomoże;
Ale jeżeli chcesz, będę ci ojcem.

Alf.

Nie pójdę z tobą, nie chcę być krzyżakiem!
Wolę – jeżeli zabiją Kiejstuta,
Na stosie spłonąć jako wierny sługa
I ośpiewanym być przez Wajdelotów.

Wallenrod.

Na stosie spłonąć?

(Zbliża się do Alfa).

Alf.

Ha! chcesz mię uchwycić,
Niemcze, Krzyżaku! lecz ja prędko biegam...

(Uchodzi).



J. RYSZKIEWICZ.

WALTER STADYON.

Wallenrod.

Zniknął!... Jesteż to sen? Widzialem syna,
A kaźde jego slowo bylo mieczem...
Ohydna męka – serce mam rozdarte.
Ojciec mój – syn mój – Litwa – wszystko, wszystko
Znowu zapadlo w toń... znów jestem zbawcą.
Precz, czarna zbrojo! znów jestem Litwinem!
(Przychodzi Halban).

Halban.

Nieprawda! – jesteż Mistrzem!

Wallenrod.

Co? Szatanie!
Pozwól mi pierwej, mnichu, być człowiekiem!
Ojciec w więzieniu, syn...

Halban.

O kruche serce!
Gdy ci w młodości myśl podałem wielką,
Tyś drżał, chwytając nowe jądło duszy.
Mówilem wtenczas: – lecz pomyśl, Walterze,
To lat dwadzieścia nędzy! – A ty na to:
Chociażby wieki, krzyknałeś. – Mówilem:
Lecz ojciec umrze, lecz syn twój, sierota,
Będzie przeklinał twe ohydne imię.
Niech knie! krzycałeś – niech ginie! krzycałeś...

Wallenrod.

Ja byłem wtenczas młody, a nieszczęście
Miało kobiecą twarz. Dziś – jako jęźza
Z rozczochranymi włosami, w łachmanach –
Ciągnie mnie zimną ręką. O Halbanie!
Ta zemsta, którą ja z krzyżactwa biorę,
Nie jest już świętą... Słuchaj! tu jesteśmy
Jak dwaj Rzymianie. Chcesz? to się nawzajem
Tu, na tej górze, przebijemy mieczem,
Aby już skończyć...

Halban.

Od dawna już widzę
W twym charakterze jakąś dziwną senność
I zimną rozpacz nudy. Lecz to minie.

Przed godzinami śmierci są pioruny,
Które człowieka budzą i znów czynią
Człowiekiem... Chodź, chodź! jeszcze będziesz młody!
Jeszcze krew zagra w tobie po dawnemu,
Jeszcze raz będziesz Walterem Stadyonem.
Przez jedną tylko noc — ale nim będziesz!

Wallenrod.

Będę, czem byłem? nie! to niepodobna!

Halban.

Na uroczysko tam kiedyś pójdziemy,
Gdzieśmy schowali twą litewską zbroję;
Na uroczysko, gdzie konwalia kwitnie,
Gdzie trzy strumienie srebrne leją wodę,
Tam... czy pamiętasz?

Wallenrod.

O! ty jesteś harfą,
Która mię do łez skłania...

Halban.

Bądź człowiekiem,
Który pomiędzy Cezarem a dawnym
Leonidasem będzie wspomniany,
Gdy Litwa dowie się o twardej Rzynie
I zrówna swoich rycerzy z tamtymi,
Którzy pomarli. — Nie! ty będziesz pierwszy!
Ty pierwszy jesteś zabójcą narodu!
Ty pierwszy jesteś podobny do Boga!
Nie między ludźmi, lecz przeznaczeniami
Będziesz wpisany!

Wallenrod.

Znów mię łowisz, stary.
Jak ćmę — pochodni blaskiem! Rzecz skończona.
Jestem w twej ręce mieczem — więc zabijaj!

Halban.

Do Prus, Walterze, na twoje mistrzowstwo.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Jagiello.

W ręku więc moim teraz mam Kiejstuta!
Ale go wzięto zdradą, nie orężem...
W ręku więc moim mam teraz Witolda –
Lecz Witold był mi zawsze przyjacielem.
Cóż więc zyskałem, że go mam dziś jeńcem?
Straciłem serce jego – mam osobę...
Trzeba go trzymać, doglądać – i bać się...
Kiedy go brano, krzyczał: powiedzcie Jagielle,
Że nie dałbym za głowę jego pół szeląga,
A za jego książęcą czapkę – kuniej skóry,
A za jego sumienie – jednego Bóg zapłaci!...
O! prawda, że nie warto dzisiaj człowiekowi
Kupować choćby za nic mojego sumienia! –
Więc czemuż nie naprawię zła, które zrobiłem?
Ha!... bo widzę, że można wyciągać korzyści
Z rzeczy już raz zrobionej. Straciłem na sławie,
Lecz mi to Kiejstut ziemią zapłaci litewską;
A gdy będę miał więcej ziemi, to zasieję
Więcej sławy – i więcej zbiorę, niżli miałem...

.
.
.

WALTER STADYON.

(FRAGMENT).

Rzecz dzieje się na Litwie.



(Walter, jego Matka, Halban).

Matka.

adęty, niby Bogiem zachłyśniony,
Zawracający oczy tak, że świecą
Białka i powiek obrąbek czerwony
Tasiemką ognia – pod mózgiem... Walterze!
Jam go tą duszą, tą duszą kobiecą
Na wskroś jak nożem przebiła. Nie wierzę
W czystość człowieka tego, ni w pokorę.

Walter.

Cóż, matko? Z sobą w tłómaczku zabiorę
Twe podejrzenia, a jak czas pozwoli,
To je odczytam.

Matka.

O! jak serce boli,
Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako
Przed Bogiem, a on... ot weźmie garść piasku
I sygnie w usta krwawe!

Walter.

Lasy w brzasku...

Muszę odjeżdżać!

Matka.

Pamiętaj wszelako,
Że ja zostałam tu biedna i sama,
Ja, twoja matka, część twojego ciała...
Matka – pamiętaj o tem, bo to cała
Moja nadzieja – ty...

Walter.

Jest w Litwie krama
Gdzie takich synów, jak ja, kupić można.

Matka.

Gdzie?

Walter.

Na cmentarzu.

Matka.

Ha!

Walter.

Pocałuj w czoło
I puść mnie z Bogiem!

Matka.

O mowo bezbożna
Co mię zabijasz! Ach! jakie ty ziolo
Pełne trucizny włożył w usta? Ach ty
Chłopcze okropny! z pod żebraczej płachty
Pokażę ci tę pierś, co tobie dała
Mleka a teraz da krwi... O dziecino!
Patrz na mnie – do nóg padam – lzy mi płyną!
Jam kiedyś nóżki twoje całowała,
Te nóżki... o! te nóżki... o te! o te!
Gdzież ty je teraz powleciesz odemnie?
Powiedz, daleko pójdziesz? aż na złote
Gwiazdy? Co? prawda? Ty gdzieś, o Walterze,
Idziesz po czarną śmierć!... O! mów mi szczerze,
O! mów!... Jeżeli na śmierć: to ja stara,
Ja pójdę z tobą...

Walter (do Halbana).

Halbanie...

Matka.

Ta mara
Niech się nie zbliża! ten człek niech tam stoi!
Niech się nie zbliża... Ach, któż uspokoi
Serce matczyne, jeśli syn nie może?
Ja ciebie puszcę—puszcę—puszcę. Boże!
Ty byłeś zawsze dla mnie dobroczyńcą!
Idź z Bogiem—ja ci błogosławię.
(Odchodzi).

Halban.

Walter

We łzach...

Walter.

O we łzach! we łzach!... Słuchaj jeszcze
Gałązka sucha tam w lesie szeleszcze!
Słyszysz? to szelest mojej matki kroku,
Ostatni tu raz na ziemi słyszany...
Cyt! już nie słyhać!... O!—Czy zakopany
Hełm mój i tarcza?

Halban.

Tam w lesie, przy stoku
Pod konwaliami.

Walter.

O! jak rzeczy świata
Ckliwe są, kiedy po smutkach przychodzą
Trudzić człowieka!

Halban.

Idźmy!

Walter.

Dusza lata,
A człowiek chodzi... Idźmy! Niech tu rodzą
Matki szczęśliwszych synów!

Halban.

Dość żalości!
Twego smutku świat cały kiedyś pozazdrości.

SCENA...

(Słowacki nie wyraził imienia osób, które ten
dIALOG z sobą prowadzą).

— Co mi powiadasz? Walter Stadyon?

— Pani

Ten pierścień kazał złożyć w pożegnaniu,
Na którym, jako widzisz, ten wąż rani
Swe własne serce.

— Jestem na kazaniu
Niemieckiem! Jakto? wyjechał i kazał
Ten pierścień złożyć? Ha! i cóż? nic więcej?

— Jam się z jej serca, rzekł, teraz wymazał,
Jestem niegodzien jej i najgorzej
Proszę, ażeby o mnie zapomniała.

— Ha! i nic więcej?

— Jeżelibyś miała
Jaką odpowiedź, mówił — pošlij słowa
Na miesiąc białe, lub na słońce złote;
Bo on za tarcze te się obie chowa
Przed okiem ludzi.

— Pleciesz!

— Co ja plotę,
To jest jedwabiem jego ust.

— Szatanie!

— Więc ty mi gwiazdą szatańską, czerwoną!

— Wiesz ty? ja byłam jego... żoną!
On mię na swoje tak miał zawołanie,
Jak psa! Jam w lesie za nim tak wietrzyła,
Jak pies. Ja teraz za nim bieć gotowa,

Jak pies! O słowa! słowa, słowa, słowa!
Idź – bo na cały zamek będę wyla,
Na mury będę skakała, żwir jadła!
Jak letargnica pogryzę grobowa
Paznokcie, ręce... Słowa! słowa! słowa!
Ach! gdybym teraz gdzie noża dopadła
I mogła... mogła – ach!... w serce bękartu
Choćby przez miesiąc błąd – tak...

– Rumianku!

– Co?

– Jesteś chora...

– Chora? idź do czarta!

Ja jestem wściekła!

– Boję się, że z ganku

Skoczysz w jezioro.

– Nie bój się, nie skoczę,

– Myślałem, że masz taki zamiar –

– Co? ja?

– Prosiłaś o nóż.

– Daj!

– Utniesz warkocze,

Jak Artemizya.

– Myślisz?

– Pani moja,

Myślę, że sobie utniesz złote włosy
I czarnych oczu światła się pozbawisz...

– Tym nożem język ci utnę!

– Pokrwawisz

Białe rączęta!...

– Jesteś, jak połoso

Skrzydlate, z ogniem w oczach, wyprężone.
Gotówes skoczyć na mnie.

– Wolę wkraść się.

– Ach! ty lokaju! ty psie! chciałbyś paść się
Resztkami stołu...

— Twe niedogryzione
Kosteczki, usta twoje koralowe...

— Stu piorunami spadnę ci na głowę,
Jeżeli zacznę kochać, będąc wściekłą.

— Zgadzam się.

— Będziesz miał na ziemi piekło!

.....
.....

KRAKUS.

DRAMAT.

(FRAGMENT).

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

(Lech, Śláz, Gryf, Rycerze, Arfon, Gwyn).

Lech.

Mości Panowie Radni i Rycerze!
Oto dziesiąty rok, jak na tej ziemi
Niezachwianego kosztuję pokoju.
Jam się zestarzał i zbyłem rzeskości;
Część mego serca poniosła do grobu
Nieboszczka żona — a drugie pół serca
Między trzech moich rozdzieliłem synów.
Lecz teraz muszę rozdzielić na nowo
Moją ojcowską miłość między synów
I z nich jednego muszę wydziedziczyć.
Krak, mój najstarszy, jak to wszyscy wiecie,
Zaprzedał swoją duszę złym nałogom
I dał się uwieść ludziom niecnotliwym.
Nie dziw, że trunkiem i gorszą rozpustą
Popsuła się w nim krew, a ta popsuta
Zepsuła serce; a takie zepsucie
Jako zarazy plama się dzień po dniu
Szerzy i wkrótce mi z mego dziecięcia
Rzecz obrzydliwą zrobi, obcą dla mnie
O! lepiejże więc teraz się go wyrzec,
Dopóki można jeszcze po nim płakać;
Lepiej gorzkiego dziś użyć lekarstwa,

Dopóki gorycz może być skuteczną.
Niechaj więc moja wola, wyjawiona
W obliczu waszem, będzie ostateczną:
Syn mój najstarszy od dnia dzisiejszego
Przestaje być już do tronu następcą,
A prawa jego spadają na głowę
Syna mojego Arfona. Pan kanclerz
Śláz niech napisze wyrok w takiej treści
I niech to wszemu ogłosi ludowi.

G r y f.

Pomnij, co robisz, królu miłościwy!
Kraka nałogi są młodości burzą.

L e c h.

Cóż? i ty Gryfie stary jeszcze myślisz,
Że się pijanica ten poprawić może?!
O! gdyby nie wstyd, wyjawilibym tobie
Rzecz jeszcze o nim haniebniejszą – ale
Ja jestem ojcem... dosyć! ani słowa!
Panowie państwa, przybywa tu wkrótce
Królowna Scytów, która zamierzyła
Na dworze moim szukać oblubienica.
Z tego powodu dwór się mój wystroi
Cały na gacha – i ja, chociaż stary,
Nie będę może ostatnim w zalotach.
Cha! cha! cha! chociaż stary, jeszcze rzeński,
Na wyspie Gopla kazałem wystawić
Pałacyk świeży z cedrowego drzewa.
Tam w murach wonnych posadzę tę różę,
Co się w krainie lodów rozplonęła
I tu białością śniegu i kryształu
Przybywa w ciemnej się lasów zieleni
Błyszcząc, jak posąg czekający ognia. –
Cóż, mój Arfonie? czy aści serduszko
Nie bije młotem? Cóż, kurczę?... odwagi!
Odwagę tylko można się podobać.
Spuszczone oczy miłe starym wdowom:
Panna nie może się zakochać w pannie,
A ty wyglądasz, Arfonie, jak panna.

Niech cię przestroga moja nie zagłusza!
W przestrofach ojca zawsze pół pochlebstwa.
Dość!... chodźmy w jasne ubrać złotogłowy
Rycerskie nasze i szorstkie postawy,
A potem jedźmy na spotkanie Donny.

(Wychodzą).

SCENA II.

Karczma.

(Leliwa siedzi przy stole z Doliwą).

Leliwa.

Mości Doliwo, gdzie nasze Kraczątko?

Doliwa.

Mości Leliwo, na księżycu.

Leliwa.

Pijmy!

Doliwa.

Pijmy, a bijmy...

Leliwa.

Kogo?

Doliwa.

Kto nie pije.

Leliwa.

Panie Doliwo! już mi się tu nudzi,
Że gdy ja leję, to Waćpan dolewasz.
Ja powiem słowo mądre, a Waść zaraz
Do tego słowa dodasz drugie – głupsze,
A trzecie jeszcze głupsze, a dziesiąte,
W którym już nie ma sensu i za szeląg.
Ja sobie coś zanucę, to Waść zaraz

Do mojej pieśni zrobisz taki ogon
Ze swego wycia i kichań i wiatru,
Ze aż mnie dyabli biorą, mój Doliwo!
Czy wiesz, czego ci braknie?

Doliwa.

Czego braknie?

Leliwa.

Jużciż nie brzucha, ani rubinowych
Pryszczów na nosie, lecz braknie rozumu
I lakonizmu tobie braknie – pijmy!

Doliwa.

Pijmy i żyjmy!

Leliwa.

Niech cię porwą dyabli!

(Rzuca mu w łeb szklanką).

Doliwa.

Niech ciebie dyabli porwą do Erebu!

Leliwa.

Niechże Wacana zdepcą koguty!
Waćpan się gniewasz nawet dodatkami.

Doliwa.

Kwita z Waszmością.

Leliwa.

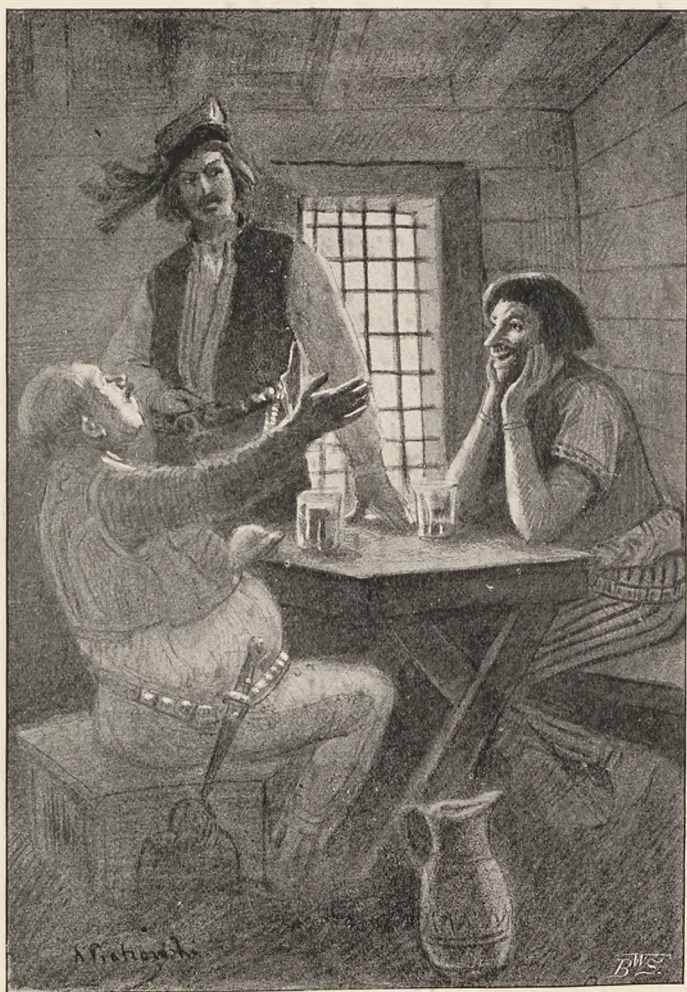
Jakto prosze – kwita?

Doliwa.

Ja wczoraj nogą ci dałem – hum – w barki,
A dziś mi Wacan dałeś szklanką w głowę;
Więc kwita.

Leliwa.

Jak chcesz? niechaj będzie kwita.



A. PIOTROWSKI.

KRAKUS.

Doliwa.

Kwita – bo mamy obadwa do syta.

Leliwa.

Powiedz mi Wacan: jaka jest w Acanu
Organizacya, że zawsze na język
Przychodzą – dyabeł wie skąd – dwa wyrazy
Podobne sobie, jak dwie małpy. – Czy drwisz
Z języka, czy twój język stał się błaznem
I bawi własne tve zęby? – Mospanie,
Czy to od bolu zębów jest lekarstwo,
Czy dziwny jaki fałsz w Acana dziobie?

Doliwa.

Nie w dziobie, ale ku ozdobie.

Leliwa.

I znów –
Bogdajbyś dyabła zjadł!

Doliwa.

I siadł...

Leliwa.

Mospanie,
Przynajmniej, kiedy ja mówię, to Waść milcz!

Doliwa.

Ale nie gniewaj się Waćpan; to zwyczaj...

Leliwa.

Jeśli Waćpana ja nie odzwyczaję,
To niech mię piorun strzaska!

Doliwa.

Jeśli łaska,
Pozwól Doliwo, że odpowiem na to
Bez ceremonii. Wacan się indyczysz,
Dyabeł wie czego – a ja chcę żyć w zgodzie,

W zgodzie i nie o wodzie. A więc zróbmy
Układ: ilekroć powiem dwa wyrazy
Podobne sobie, to dla ubłagania
Waszności powiem zawsze „z przeproszeniem” –
I tak, Leliwo – piwo – z przeproszeniem
Panie, dopóki stanie w dzbanie piwa,
Doliwa, z przeproszeniem, się nie gniewa.

L e l i w a.

Zbójco! – tancmistrz językowy, kacie,
Ptaku drapieżny!...

(Wchodzi Krak).

K r a k.

Co to są za krzyki?

L e l i w a.

Kraczątko, rozsądź nas. – On przyjął zwyczaj,
Słowa zamykać słowami na kłódkę
I odzwyczaić się nie chce. Kraczątko,
Jak będziesz królem, to postanów prawem,
Ażeby tacy ludzie nie gadali...

D o l i w a.

Kraczątko, moje lwiątko –

L e l i w a.

Słyszysz? słyszysz?

Jak z nim pożyję, to wyjdę na głupca.
Ten człowiek plagą jest moją – on do mnie
Przypiął się, jakby nasienie bodiaku!
Bóg przypiął do mnie tego grzeszyciela,
Bóg mi przywiązał ten cień do ogona
Jak pęcherz z grochem kotowi... Ja umrę!
On mi humidum radicale z ciała
Smocze, on pije mnie, on mną się żywi,
On jest zarazą moją! – Gdyby nie on,
To byłbym mądry i dobrze wyglądał.
On moją cerę zniszczył przez zgryzotę,
Bo ja się gryzę, że on taki głupi.

Eheu, jak mówią Grecy, królewicu,
I ty źle wyjdiesz, źle na obcowaniu
Z tą beczką—będziesz musiał go powiesić,
Jak będziesz królem;—więc się nie przywiązuń,
Bo smutno będzie wieszać przyjaciela.
A ja dlatego chciałbym zostać królem,
Aby mi było smutno, że on wisi.

K r a k.

Ja ci powiadam, że on się poprawi.

L e l i w a.

Poprawi?—dyabli wezmą mnie i ciebie,
Nim się ta beczka chuci wyklaruje.
Cóż tam, króliku mój, słyhać na dworze?

K r a k.

Już od miesiąca nie byłem u ojca.

L e l i w a.

Kraku, dlaczego?

K r a k.

Ojciec mój oszalał!—
Ten Ślaz—ten kanclerz z bocianiami łapy,
Prowadzi za nos starca...

L e l i w a.

Co, ten chudosz?

K r a k.

Ten chudosz, co był kiedyś księżym sługą,
A dziś, okradłszy pana swego zmyślnie
Z astrologicznych kilku wiadomości
I z kilku szmatek kuchennej łaciny,
Prymuje w zamku. Razem jest kanclerzem
I moich błaznów braci guwernerem.

L e l i w a.

Przeklęta zmora!—Ot wiesz co, Doliwo,

Co masz tu widać i stać bez potrzeby,
To idź i trzaśnij go w pysk...

Doliwa.

Co? kanclerza?

Leliwa.

I cóż?

Doliwa.

A to mnie powiesz!?

Leliwa.

To i cóż?

Doliwa.

Panie Leliwo, Waćpan kpisz.

Leliwa.

Kraczątko,

Ty mi coś dzisiaj smutny – co to znaczy?

K r a k.

Znudzony jestem tą ciągłą potwarzą,
Tą ciągłą walką z ludźmi zazdrosnymi.
W całym rycerzy tłumie nie znalazłem
Jednego człeka, któryby miał rozum
I serce dobre – i dziwią się błazny,
Że ja przepędzam czas z beczkami dwiema,
Że ja przenoszę głupców towarzystwo
Nad towarzystwo gałganów zazdrosnych;
Dziwią się ludzie, że zagustowałem
W dwóch tłustych ludziach, co nie mają w głowie
Mózgu kurczęcia...

Leliwa.

Co myślisz, Doliwo?

Doliwa.

Gdybym Waćpanem był, tobym się gniewał.

Leliwa.

Jabym się gniewał, gdyby o mnie tylko
Takie haniebnie zdanie wykrakało
Nasze Kraczątko;—lecz że o dwóch mowa,
To więcej cieszy mnie, że Waćpan dureń—
Niż smuci, że mnie uznano za głupca.
Kto z kim przestaje, to takim się staje:—
Jam żył z Waćpanem, jak się pokazuje,
Za długo—czuję to sam już, żem zgłupiał.

K r a k.

Nudni jesteście dziś—jak dwa puhacze.—
Mam propozycję jedną. Mospanowie?

Leliwa.

Co? co takiego, Kraczk, moje dziecię?

K r a k.

Przyjeżdża tutaj młoda Syberyna,
Scytów królewna—piękna, urodziwa.
Skoro przyjedzie, wnet będą zabiegi,
Aby ją zaraz tu w Lechii zaślubić
Któremu z moich braci.—Ja wyklęty,
Mnie oni zaraz oczernią, okłamią.
Idzie mi o to, aby zyskać serce
Tej młodej dziewy—i zdobyć jej rękę...
A kto chce serce pozyskać kobiety,
Ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie
Oczy, a reszta pójdzie bardzo łatwo.

Leliwa.

Poślij nas w swaty, my uwiedziem oczy.
Patrz, nos Doliwy błyszczą, jak jutrzeńka—
Ja dobrze śpiewam, więc uwiodę uszy.
W nas dwóch jest dosyć lepu i przynęty
Na wszystkie zmysłów pięć—nas poślij w swaty.

K r a k.

A ba! innego tu trzeba sposobu.—

Chodźmy, poradzi nam piastunka Diwa,
Weselej będzie radzić przy butelce *).

(Wychodzą).

S C E N A III.

W namiocie.

Szaman, Syberyna.

Szaman.

Córko kochana, jesteśmy już blisko
Siedziby Lecha. Poddaj mi się teraz,

*) Pierwotnie miała ta scena następujące zakończenie
przez autora przekreślone:

K r a k.

Bądźcie wy mi choć raz użytecznymi.—
Ty się przebierzesz, Mospanie Leliwo,
Za jakie zwierzę straszne i drapieżne;
Waćpan za jaką rybę albo smoka;
Ja za świętego Jerzego—i będę
Was obu grzmocił w obliczu kochanki,
Przysięgam, tylko kijem będę grzmocił.

D o l i w a.

Ja protestuję!

L e l i w a.

A ja mówię: zgoda.

Gdyby jednemu mnie okładał boki,
Płakałbym jak bóbr—ale że Waćpana
Boki okładać będzie, to mi słodko...
Chodź Waćpan—zaraz uczynię Waćpana
Rzeczą, co będzie bita...

K r a k.

A więc zgoda?

L e l i w a.

Zgoda, Kraczątko moje.

K r a k.

A więc chodźmy!

Piastunka moja, Diwa, nas ustroi
W nowe figury—i szczęście zamówi.

L e l i w a.

Doliwa będzie rybą—będzie bity...
Zaraz ułożę dla niego piosenkę.

(Wychodzą).

Ja ci wybiorę przyszłego małżonka
I szczęście życia zapewnię wyborem.

Syberyna.

Ojcze! ja między lody wychowana,
Nic nie widziałam, nic nie znam na ziemi,
Tyś mi pokazał wczoraj tulipana:
Myślałam, że to jest duch ze złotemi
Oczyma, w głębi swego serca żywy;
Wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy
I ukąszona biłam ten kwiat ręką
I ciągle kąsał – aż ojcze nadbiegłeś...

Szaman.

Kwiat najpiękniejszy będzie tobie męką,
Jeśli się oczom dasz wieść.

Syberyna.

Ty mię strzegłeś,
Ojcze, od wiatru, co z północy wyje.
Żyłam wśród białej, nieżywej krainy.
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje.
Tu jest brzęk życia w powietrzu: – motyle,
Jak śniegu różnokolorowe płatki,
Lecą na ziemię – źródła szemrzą mile;
Gdy spojrzę okiem przez pień sosen rzadki,
Widzę cudowne zwierzęta w koronach,
Jak nasze reny – ale całe złote...
Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam – bo już się kocham.
Już zakochałam się, ojcze, w kolorach,
W ciepłym powietrzu, co powiewa wonnie
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Szaman.

Dziewczyno moja, kochasz się oczyma:
Zmuszony będę ci odebrać oczy,
Aby szalone – serca nie uwiiodły...

Sybereryna.

Oczy odebrać mi, ojczy? dlaczego?...

Szaman.

Mówiłem tobie, by ocalić serce.

Sybereryna.

Pozwól mi patrzeć, ojczy – ja przyrzekam,
Że nie obaczą ludzie mego wzroku,
Ty sam nie będziesz widział, że ja patrzę.

Szaman.

Za młoda jesteś – zdradzisz się.

Sybereryna.

Nie, ojczy.

Szaman (do siebie).

Muszę doświadczyć, jaka jest moc kłamstwa
W najniewinniejszej z żeńskich półgłowi.

(Głośno).

Dobrze więc – pomnij, moja Syberyno,
Że odtąd będziesz między ludźmi ślepą,
Obaczysz wtenczas, kto się ulituje
Nad twą ślepotą i zgodzi się zawsze
Być twojem słońcem, a co jeszcze gorsza,
Być niewidzianym przez tak duże oczy.

Sybereryna.

Zobaczysz, ojczy, jak ja ich oszukam.

Szaman.

Idź teraz spocząć po długiej podróży.

Sybereryna.

Ojczy, gdzie twoje czoło?

Szaman.

Jużes ślepa?

Syberyna.

Ustami tylko memi teraz widzę...
Dobranoc, ojcze... gdzie drzwi?

Szaman.

O! fałszerko!

(Odprowadza ją i wraca).

Jestże piękniejsza rzecz na całej ziemi
Jak wychowana na ziemi dziewica
Czysta, wstydliva, choć ogniem miłości
Już przepelniona jak kwiat nieotwarty
A pełny woni w zatulonych liściach?
O! jakże pięknie ta fałszywość pierwsza,
Maleńką groźbą ojca wywołana,
Błysnęła w oczkach jej: – „Ojcze, gdzie czoło?”
„Gdzie drzwi? ja, ojcze, nie widzę” – i prosto
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwiema
Rozwidnionymi ogniem i uśmiechem...
Dla niej oddałem się czarów nauce:
Straciłem ducha wolność – włos mi zbierał
Przestrachem różnych okropności, które
Wywoływałem z głębokości ziemskiej,
Nim do wyższego podniesiony szczebla,
Nauczyłem się okropnem zakłębciem
Wyższe i piękne wywoływać duchy. –
W pięknych jest większa moc nad przyrodzeniem:
Straszne i brzydkie im ulegać muszą
I są narzędziem pierwszych... Syberyno!
Twój ojciec królem jest pięknych aniołów
I girlandami jasnych władz otacza
Swoje kochane dziecko, kiedy smutne. –
Ty nie wiesz sama, dlaczego twe łezki,
Małym kaprysem w oczach urodzone,
Wnet zdmucha wonne radości powietrze
I osusza je, nim na ziemię spadną.
Ty nie wiesz, czemu świat ci się wydaje
Pełny kolorów – i oddychający
Miłością, szczęściem, w najmniejszym listeczku.
Ty wszystko widzisz przez mgłę, utworzone
Z ulatujących i motyli Nixów,

Których jest ciałem woń i kolorowość,
A kształt nie inny, jak to z czego człowiek
Marzeniem może stworzyć zamysłoną
Postać—i widzieć ją duszy oczyma...
Śpij, Syberyjno—ja cię przeprowadzę
Przez teatr świata: i tylko cię tyle
Dotknie boleści, ile może człowiek
Uczuć łez albo przestraszenia we śnie.—
Ach! tylko tyle, ile doznać trzeba,
Aby obudzić się z radosnym krzykiem
I obudzenia swego nie żałować...
Chodźmy—ten smutny ci sen przygotuję
Ze sługą moim, jasnym Eolionem.—

SCENA IV.

(Śláz, Arfon, Gwyn, Barbarus).

Śláz.

Barbarus, stój tu z lichtarzem i ucz się,
Et participiat myśl twa barbarzyńska
Z nauki, którą wkładam jak łopatą
W przejasne głowy mądrych królewiców.
Ergo: zapytam z czoła katechizmu—

Arfon.

Z czoła? dlaczego z czoła?

Śláz.

Twarda głowa!
Szczęściem, że będziesz, panie Arfon, królem,
Powiedz mi, Mości Książę, kto świat stworzył?

Arfon.

Bóg.

Śláz.

Mości Książę Gwynie, a Waść powiedz?

Gwyn.

Pierwszego pytaj mnie, to ci odpowiem.

Śl az.

Barbarus, zawstydz księcia!— Kto świat stworzył?

Barbarus.

Bóg, dobrodzieju.

Śl az.

Bóg—Deus—Jehowa.—
Panie następcu tronu, *sol* co znaczy?

Arfon.

Słońce.

Śl az.

Co to jest słońce, panie Gwynie?

Gwyn.

Okna, któredy dzień schodzi.

Śl az.

Barbarus,
Ucz się, gałganie ciemny—jest to okno?

Barbarus.

Mój dobrodzieju...

Śl az.

Cóż to? co, niedźwiedziu?
Apollinarius Sidonius—Gwalbertus—
Sanctus Avitus—o tym luminarzu
Mówią, że to jest... luminarz... więc ergo...

.
.

E O L I O N .

SKALNA OKOLICA ZAMGLONA – JEZIORO.

Pora przed wschodem miesiąca.

Dwie Walkirye (z błyskawicami na głowie).

Pierwsza.

Na szczycie gór,
Gdzie świata brzeg
I orłów chór,
Piorunów ścieg;
Gdzie Morskie Oko
Nad lodów tarczą
Jęczy głęboko,
Gdy chmury zawarczą;
I całe się krwawi,
Gdy tęcz błysnie szarfa,
A jęczy jak harfa
Pod wstęgę zórawi:
Tu w bieli, w śnieżycach,
Przy morskich strasydłach,
Ja duch, w błyskawicach,
W piorunach, na skrzydłach,
Na was, wichry moje,
Stanęłam i stoje!

Dru ga.

Ja także duch losów,
Twa siostra i węzów,

Piorun lejąca z włosów,
Krew sącząca z orężów
Najstraszniejsza na niebie, —
Tu czekałam — na ciebie...

Pierwsza.

A z kąd lecisz? z daleka?

Druga.

Z północnego bieguna
Na przebłysku pioruna.

Pierwsza.

Siestro! tego człowieka...

Druga.

Wiem, wydarto nam z ręku,
Lecz ten człowiek nasz będzie,
Nasz! nasz! zawsze i wszędzie,
Jak harfa pełna jęku,
Jako gwiazda strącona,
Nasz będzie! nasz! aż skona!

Pierwsza.

Czy widziałś Chrystusa?
Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote...
Dla dusz białych — pokusa...
Jak chłop w kraj przeorany,
Rzuca gwiazdy w kurlhany.

Druga.

Niech wzejdą kłosa świetne,
Niechaj wzejdą czerwone;
Mrozem je ducha owionę,
Sierpem je ducha zetnę...
Cóż tam więcej na ziemi?

Pierwsza.

Wrzask i nęcza i burza...



R. SZWOJNICKI,

EOLION.

Druka.

Patrz! księżyc się wynurza
Małowany świętemi,
Jako tarcza tęczowa...
Niknij...

Pierwsza.

Siostrzynie, bądź zdrowa!
(Wchodzi Eolion)

Eolion.

Księżyc snów... stoi na świecie ogromny...
Czy to mój duch na miesiącu
Maluje rzeczy wyśnione? —
Czy mój duch wymalował
To miesiąca oblicze,
Że takie tajemnicze...
I takie kolorowe?
Czy z siebie on wysnował
Swoje srebro różowe?
Czy jaki duch z jeziora
Pokazuje mi głowę!
Gdzież są ci, którzy mi przyjąć rozkazali?
Księżyc się w kolorach pali,
Ogromny... jak kraj upiórów,
I wybija mu na lice
Pot niby różnych kolorów,
Jak przez szyb kościelnych różyce
Rumieniec zorzy...
Tam, w mgłę, niby upiorny duch i Anioł Boży,
Stoi na skałach...
O! gdyby w moich zapałach
Wynalazł głos tej naturze,
Która mi się w srebrnej chmurze,
Taka piękna wiecznie roi!...
Tu rozkazały duchy przyjąć i czekać...
Raz mi się ciemne niebo wyiskrzyło,
Gwiazdy zaczęły w różnych stronach szczekać,
Serce mi w łonie zatrwożone biło,
Jakby na sądzie... i rozpaczą zdjęty,
Jakoby wirem głosów ogarnięty,

Stałem... nareszcie tak mię owe głosy
Drepczyły, żem stał, wrywając włosy,
Jak potępieniec! Teraz okolica
Cicha... i srebro różane księżycy
Zda się—tęczami wewnątrz wskroś przesiękło,
Coś w tej naturze niby serce zmiękło
I zesmutniało... i nie jest tak ciemną,
Jakby litością przejęta nademną...
Cyt... słyszę głosy... lecz bardzo z daleka...

Śpiew.

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg,
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg;
Ale nie świat szalonych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu—sen.
I złamiesz świat, i pójdziesz w brew
Wojskami mar, przeciwko ciał,
I będziesz myśl przemieniał w krew,
Nam dawał moc i od nas brał;
I będziesz król... lecz będziesz sam,
Albo więc idź, albo się złam...
Lecz jeśli duch przełamiesz twój,
Jeśli ty nasz odgonisz w mgłę;
To wtenczas drzyj, a silnie stój!
Bo my, jak psy, jesteśmy złe...
Z pękniętych serc, z serdecznych cisz,
Drwiny, jak grom, co bije w krzyż!

Eolion.

Pyszne to głosy!... Głosy, jestem z wami!...

Głos z dołu.

Muszelki są z perłami
W naszym srebrnym jeziorze.
Zbieram je, wydobywam
I jedwabiem przyszywam
Na jedwabnym ubiorze,
W kościółku Matki Bożkiej;
A inne, czystszej wody,

Wkładam we złote włoski
Chrystusowi. A za to
Rybek mi korowody,
Pod rybaczną chatą,
Przychodzą przed niedzielą
I dno całe zabiela...

Eolion.

Jaki głos czysty!... jak do nieba płynie!...

Głos z góry.

Zbliż się ku tej dziewczynie,
Rzuć na nią ręce ducha,
Mocniejszego posłucha,
Za mocniejszym popłynie,
I poleci — bez końca,
Cięgnij za sobą w słońca!...

Eolion.

Jeden z tych głosów, czuję, świat pokona!...

Głos z dołu.

Dziwnie ja przemieniona
Wstałam dzisiaj z pościeli!
Przyszli we śnie anieli
I oczął mi zamkniętych
Lilijami dotknęli,
I zobaczyłam świętych...

Eolion.

Kto jesteś ty, co gadasz o aniołach?

Dziewica *).

Rybaka jestem córką; żyję z niemi,
W tęczowych mi się pokazują kołach,
W nocy z tęczami przychodzą srebrnemi
I mówią do mnie...

*) W dalszym ciągu dowiemy się, że rzeczywiście Dziewica ta jest zjawiskiem uchwytne.

Eolion.

Ubiór twój ubogi,
Koszula prosta, szara, bosa nogi;
A jednak perły, we włosach rozlane,
Są, jako gwiazdy, pełne, świetne, duże..
I lekkie twoje rumieńcowe róże,
Jakoby wstydem na-pół pochowane
W białości lica, tajemnemi wschody
Dziwią... jako róż, z perłowej jagody
Słońcem dobyty...

Dziewica.

Ja niezawstydzona..
Alem od wiatru górnego czerwona,
Albo... od moich snów świecąca w nocy...

Eolion.

Wiec ty sny miewasz?... bądźże ku pomocy
Mnie, bom jest także – dziwny i duchowy;
A w marach, w głosach, które dotąd słyszę,
Piękniejszej niby brakuje połowy –
Tej, którą daje harmoniją i ciszę...

Dziewica.

Gdzież mię prowadzisz! silna twoja ręka!
Serce mi bije i duch mój się lęka...

Eolion.

Jak sen prowadzę... gdzie?... sam nie wiem wcale.
Jeśli duch powie – wstąpimy na fale;
Jeśli pochwyci – polecim w niebiosy;
Jeśli roztopi – spadniemy jak rosa;
W echo się jego głosów rozlejemy.

Dziewica.

Lękam się... pozwól mi odejść... przypadnę,
Jeżeli z tobą pójdę, boś mocniejszy...

Eolion.

Wszakże ty widzisz, że ja jestem mniejszy,

Że ci na szyję ręce dziecka kładnę,
I uwiesiwszy się tak w całej sile,
Ledwo nad sobą jak kwiatu nachyle;
I tak ukryty w twym złotym warkoczu,
Mam gwiazdy twoich uśmiechniętych oczu
Dziwnie błękitne...

Dziewica.

O! rozwiąż twe ręce.

Eolion.

Perłami cię teraz zwiążę,
Różami cię snów znęcę,
Światy moje pokażę;
Snom każę w mgły się zjawić,
Będę jak dziecko bawić,
Zachwycę i przerażę,
Pochwycę i poniosę...

Dziewica.

Dziecko ty czarnowłose,
Strasznych duchów dziecina,
A ja dobra dziewczyna,
Prosta, jak kamień chłodna,
W głębi serca pogodna.

Eolion.

O! więc ty z mego ducha
Oderwana śród burzy,
Stracona gdzieś w podróży
Z żórawiego łańcucha,
Gdym leciał do miesiąca, —
Mewa za mną lecąca,
Stracona w mgle...

Dziewica.

Cud ze mną!
Gdy słucham, jestem nowa;
Świat jakiś widzę, ciemno,

Czekam jednego słowa...
Powiedz... a weźmiesz na wieki...

Eolion (szepce jej do ucha).

Zamknij teraz powieki
I do dna duszy własnej patrz, aż jaw się zjawi.
Widzisz gmachy, błękity, girlandę zórawi,
W dziwnym kluczu lecącą po białych niebiosach?
Czy słyszysz szelest śmierci gałązek we włosach?
Czy widzisz grób, co wejściem ogromnem przeraża?
I posągi, i przy tych posągach harfiarza,
Po złotych strunach srebrną lejącego brodę?

Dziewica.

Konie lecą i ludzi z pochodniami wiodą...
Jak mi straszno!

Eolion.

Czy widzisz różaną kolumnę...
Pomiędzy nami?...

Dziewica.

Widzę...

Eolion.

Teraz białą trumnę
I podziemne gdzieś, ciche, tęczowe pokoje *).

.....

Dziewica.

Boże! więc my rozdzieleni.

Eolion.

We mnie jest moc płomieni,
Co rozerwane, związę...
Nie wiesz ty, co ja stworzę,
Dziecko ja jestem Boże...

*) Po wierszu tym przychodzi wiele jeszcze zwrotek pokreślonych, i nie wiążących się z całością.

Idę, gdzie przeznaczenia
Wiatr świszczę i odrywa
Ze mnie wielkie płomienia—
A duch z nich odpływa,
Po niebie leci, skłębia,
I kształt sobie zdobywa,
I w marmur się oziębia,
I zostaje...

Dziewica.

Ja widzę...
Także moje pacierze,
Jako kwiateczki świeże,
Na srebrzystej łądźce
Rozkwitające w ciemni...

Eolion.

My równi i nadziemni,
Odtąd nierozzerwani...
Schodźmy razem w dolinę,
Schodźmy w powietrze sine,
Do tej wielkiej otchłani...
W bukowych lasów-morza
Schodźmy, silni i młodzi;
A za nami ta zorza
Różana niechaj schodzi
I skronie nam opasze,
Zorza—powietrze nasze...

FRAGMENTY I WARJANTY

„BENIOWSKIEGO”.

„Profesorowi Małeckiemu – powiada prof. Józef Tretiak w swoim słowie wstępnym przy wydaniu „Nieznanych fragmentów i warjantów „Beniowskiego“ – zawdzięczamy nietylko najznakomitszą z tych, jakie posiadamy, monografię o Słowackim, ale i wydobycie na światło dzienne niezmiernie bogatej spuścizny po tym poecie. Do najcenniejszych rzeczy w tej spuściznie należy niewątpliwie dalszy ciąg „Beniowskiego;“ jest on też jednym z tych pośmiertnie wydanych utworów poety, które najwięcej trudu kosztowały wydawcę. Można o tem powziąć dobre wyobrażenie z jego własnych słów, zamieszczonych w monografii: „Po śmierci Słowackiego – czytamy tam – znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitą i drobną ręką, zawierających dalszy ciąg poematu (Beniowskiego). Był to dopiero pierwszy rzut, często przemazywany, z różnymi dopiskami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiero po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście już tylko szczątkami znaczniejszej liczby arkuszy, stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszej poniewierce poniszczonych do tego stopnia, że to, co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takich-to arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych, złożyłem na domysł pieśń VI, XI, XIII i XIV, nadstawiając próżnie, tekstem niezapełnione, krótkim streszczeniem prawdopodobnej osnowy, danem na wstępie każdej z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków

ręczyć atoli nie mogę, gdyż wskazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie.“

„Ten wstęp pokazuje nam nietylko, z jakimi trudnościami walczył wydawca, ale i jak rozumiał swoje zadanie. Chodziło nie o to jedynie, ażeby z chaotycznego brulionu wydobyć to, co on w sobie zawiera, ale, żeby doprowadzić to wszystko do pewnego porządku, ułożyć w pewną całość, rozjaśnić ten chaos dla czytelnika, który, bez porządkującej myśli wydawcy, zgubił-by się w tym bujnym, wspaniałym, ale bezdrożnym lesie poetyckim. O wydaniu takim, które-by nie uroniło ani jednej strofy, ani jednego przemazanego wiersza, jeszcze wtedy myśleć nie można było. Stąd poszło, że niektóre luźne strofy, albo i niestroficzne ustępy, które zanadto wybiegały poza główny tok powieści, których związku z całością niepodobna było wyjaśnić, zostały w wydaniu Pism pośmiertnych Słowackiego pominięte.“

P. Tretjak, otrzymawszy od znakomitego wydawcy, bruliony, o których mowa do przejrzenia, przekonał się, „że przy obecnym stanie studyów nad Słowackim, można z nich wydobyć pewne, dość ważne wskazówki, objaśniające, jak się rozwijał i przeobrażał plan poematu, pisanego w ciągu lat kilku. Przekonał się również, że zawierają one w sobie jeszcze sporo nieznanych a cennych okoliczności poezji Słowackiego, większych i mniejszych urywków, często niewykończonych, czasem gorączkowych i mętnych, ale przeważnie bardzo pięknych, zresztą godnych ogłoszenia już choćby dla tego, że wyszły z pod pióra takiego poety, jak Słowacki.“

Wydając te urywki, prof. Tretjak uszykował je w pewne grupy, odpowiadające okresom, w których były pisane, a to kierując się po części wewnętrznymi, z treści wysnutymi wskazówkami, po części zewnętrznymi. Grup takich wyróżnił cztery: do pierwszej należą fragmenta, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pisane były przed wiosną 1841 roku, to jest, za nim Słowacki wydał pierwszych pięć pieśni „Beniowskiego;“ do drugiej—te, które były pisane pomiędzy wiosną 1841 roku a lipcem 1842 roku, to jest chwilą, w której poeta przejął się towianizmem; do trzeciej te, które pochodzą prawdopodobnie z pierwszych lat towianizmu Słowackiego do roku 1844; do ostatniej—te, które były pisane między 1844 a 1846 rokiem.

Prof. Tretjak objaśnia w końcu, że wydane przez niego nieznanne fragmenty i warianty „Beniowskiego“ nie wyczerpują całego plonu, jaki-by można z autografów Słowackiego wyciągnąć. Pomiął też drobniejsze, mniejszego znaczenia odmianki, zostawiając

ich uwzględnienie przyszłemu krytycznemu wydaniu pism Słowackiego.

Z tych fragmentów i warjantów podajemy tu pełniejsze tylko strofy, podzieliwszy je na cztery grupy, w porządku chronologicznym przez prof. Tretjaka wskazanym. Pragnących zaś poznać całość tych luźnych urywków z pracowitem i cennem objaśnieniem wydawcy, odsyłamy do artykułu jego w zeszytcie sierpniowym „Biblioteki Warszawskiej“ za r. 1902.

I.

Wszystko ponure, jakby duch stepowy
Rozlał się... ów duch, co, jak wszyscy wiecie,
Smutniejszy, niżli księży śpiew grobowy,
Niż księżyc, kiedy w wiosce kury trzecie
Pieją... a on się na brzoź kładzie głowy
I między liśćmi się, jak srebrne kwiecie,
Przelyska... mdlejąc i czerwieniąc zletka,
Jak spazmująca od nudów kokietka.

Na stepach więc jest, wierzcie mi, w południe,
Coś smutniejszego jeszcze, niż o kurach
Trzecich... gdy księżyc, bóg pyzaty schudnie,
Albo połowę tarczy schowa w chmurach.
Na stepach zda się... że jakiś odludnie
Żyjący gęślarz... w przeczystych lazurach
Niebieskich... w bladej powietrznej otchłani
Harfę niebieską trzyma i gra na niej.

Otóż gęślarza tego głos... co zda się
Z grobowców wszystkich woła: w niebie wzdycha,
W kłosach szepleni... jak w nowym atlasie
Dziewczyzna... której pierś gorset odpycha
Z szelestem, co jak fala... w równym czasie
Szumi i w różnych przestankach ucicha.
Otóż ten ciągły szmer... z jarów się grzbietu
Dobywał... jak szmer serca i gorsetu.

To porównanie tylko z opowiadań
Biorę... z Homera może, lub z Petrarki,
Bo sam nie tworzę nic... i z moich badań

Serca ludzkiego jeszcze mi do miarki
Nierozwiązanych braknie kilku zadań...
Naprzykład: czemu żadne mięę guślarki
Tak nie wywioda z ęwiata i czasu,
Jak szelest igły – szycia – i atlasu.

Gdy jestem cichy sam... a niedaleko
Ten ciągły szelest rączek koło lica
I serca, które jest pod róż opieką,
I gdy przymknięta na pół okienica
Złotego światła mięę przedziela rzeką
Od niej... a oka światło zda się świeca,
Dla czego wtenczas serce me nie szuka
Rymów...: o Muzo, powiedz, ale puka?

.
.
.
.

O! teraz... ptaki broniona białemi
Leć w stepy moja dziewczyno skrzydlata,
Ja z rycerzami zostanę na ziemi
I zaprobuję rycerskiego świata...
W takt mi mieczami bijcie czerwonemi,
Kraju obrońce... niech późne się lata
Przejrzą w Hektora tarczy... w szóstej pieśni
Zaczyna się mój poemat – nie wcześniej...

Te strofy... bramą są – albo przysionkiem,
Satyrą czasem... najczęściej marzeniem...
Są palmy nagim pniem, kwiatu korzonkiem,
Aleją... w której światło igra z cieniem,
A na końcu ma oświecony słońkiem
Gmach – stary kościół z empirejskim pniem.

II.

Kto potępiony, niechaj się nie chwytą
Tęcz zawieszonych dla czystych aniołów,
Lecz niech usiedzie w ciemności i zgrzyta,

I niech mu serce tak cięży, jak ołów.
Zapytaj serca... czemu nie rozkwita,
Widząc tę jasność... którą wzrok twój świeci?
Czemu nie westchnie, czemu nie podleci,
Ale za tęczy tej najdalszym brzegiem
Stoi w ciemności?... Boś zdrajcą i zbiegiem.

Boś zwołał duchy... boleścią i łzami
I był... przez cały nasz chór wysłuchany,
A gdyśmy przyszły... nie idziesz z duchami,
Aleś już innych Aniołów poddany...
Dla tego próżno twój wzrok błyska skrami
I w oczach chodzą błyskawice różne,
Bo serce twoje potępione, próżne,
Straszne, jak księżyc pod myślową chmurą,
Ale bez związku z ludźmi i z naturą.

Wyrwij je z łona i wyrzuć je z siebie,
Dopóki nosisz tę rzecz martwą w sobie,
Smutek jest w tobie... i trwoga na niebie,
Bo my nie wiemy, co w tym martwym grobie
Śni się?... Co będzie zrobione przez ciebie.

Za Beniowskim więc trzy chude hetery
Ciągnęły czarny rycerski karaban,
W nim pan Borejsza, człowiek jasnej cery,
W zbroi... sławny gracz... pierwszy krzyczał *va banque*
Sławny był także wśród pijackiej sfery
Jak słońce... albo w trzodzie pierwszy czaban...
Posłem obrany od litewskiej Troi,
W nadziei, że zgra kana, albo spoi.

Przy nim był także Tatarzyn z pod Waki,
Pan Abdulewicz, przydan na tłómacza,
Człek żółty, jak liść tureckiej tabaki,
Albo sam środek rozcięty kołacza
Z szafranem... człowiek, co miał jeszcze znaki,
Że koniec rodu się jego zaznacza
W szczerzej tatarskiej krwi... bo z Bożej łaski
Zachował krzywe oczy i nos płaski.

.
.
.
.
Starzec odgonił konia upiornika
W mgłę i klnąc chodził, deptąc białe grzbiety
Mogił... Ja cały drżał, na kształt czyżyka
W liściach... i w ziemię rad-by wszedł jak krety...
A starzec chodził pośród mogilnika
I pytał... Córko! lira moja, hde ty?
A wtedy serce grać zaczęło u mnie
Strachem... bo lira ta zagrała w trumnie.

Na jakąś dziwną nutę niesłyszaną
Odezwała się w grobie, jak anioły.
Starzec... zasluchał się... padł na kolana...
I z płotu stare wyłamawszy koły
Grób rozkopywał – i tę rozplakaną,
Brzęczącą jemu w rękach, na kształt pszczoły,
Lirę ja widział... z mogił zmartwychwstałą...
I dotąd nie wiem, Lachu, co w niej grało.

Duch jakiś starej matki Ukrainy,
Co jeszcze nie chciał spać pod mogiłami,
Hetmańska dusza... i hetmańskie czyny,
Groby, kraczące we mgłę sokołami,
Dawność stepowa... pomrok mgłami siny...
Rozebrzmiał w strunach i szedł klawiszami,
Jakby dziecinna rączka nieuważna,
A czasem starca dłoń ciężka i ważna.

.
.
.
.

III.

A wtenczas Bóg rzekł memu Aniołowi
Bezielesnemu – przybliź się do ziemi,

Podobny tęczy i słowa dźwiękowi,
Który jękami się girlandowemi
Toczy po grzmocie, gdy skała odpowie,
A druga weźmie spad i rozgłośnemi
Echy... po dziesięć razy odpowiada,
Jak głos co skacze, grzmi, huczy i spada.

To rzekł: a ja Duch w tych umiłowanych
Polach... w pasiece leśnej... kędy ona
Często w mgłach zorzą płomienną różanych
Nad stawem... z dźwiękiem każdym oswojona
Woła bywało łabędzi kochanych,
I na skrzydła im i srebrne ramiona
Żer sypie... z wielką patrzącą roskoszą,
Jak się od deszczu złocistego płoszą.

Do dziś dnia śniący o niej – wtenczas blizki
Stałem... słowa szepczący tajemne,
A wnet oczy tej wschodniej odaliski
Błysnęły... chociaż były bardzo ciemne
Smętkiem... poczęły się w niej jakieś błyski
Myśli, podrzuty rozpaczne – daremne,
Wyłamywania się z pod losu ciśnień.
To mocą... w duszy podobną do błysnień...

Stał jej w oczach stary dziad – o miłą
Żyjący w małym miasteczku – bezludnie,
Na świecie jeszcze, a już jak w mogile;
I wymalował się jej w oczach cudnie
Ów starzec, który miał coś w kości sile,
W tej skórze, która mu na kościach chudnie,
Tak poważnego – że ta ziemia chmurna
Krwawo – dawała mu postać Saturna.

Hiszpanią zwiedził za młodu i z Sasem
Drugim, który był na Polaków tronie
Byki zabijał... złotym polskim pasem,
Jak tęczą, naprzód im rogate skronie
Nakrywszy... a gdy ogromnym hałasem
Grzmiały klaszczące wkoło dziewic dłonie,
I twarz nie jedna stawała się bladą,
Szablą im ścinał polską łby, nie szpada.

Sen o Hiszpanii mu został na spodzie
Wspomnień, i z wspomnień czarem się dobywał,
Jak sen o złotym hesperyd ogrodzie,
Gdzie niegdyś szlachcic jabłonie obrywał.
Teraz już nie był między ludźmi w modzie,
I rzadko bardzo między ludźmi bywał,
Lecz żył samotnie... o jednym folwarku,
W miasteczku małym nad Ladawą – w Barku.

Często bywało ja, duch smętny, chodzę
Po jego szarym domu, gdy śpi stary,
I sny mu złote za rękę przywodzę,
I słucham... co on, widzący te mary
Dawne znajome swoje, króle, wodze,
Biskupy... Turki czarne i Tatory,
Zagada... zwykle milczy w obecności
Zmarłych... a śmierci drży do kości.

Czolo mu całe potnieje – pierś dysze
I wypręża się.. jak mogiła wzdycha.
Wtenczas bywało ja po bokach słyszę
Duchy stojące z gwiazdami – oczyma,
Słowa, których tu w pieśni nie napiszę,
Bo gdybym pisał, to mię strach zatrzyma
Za rękę i tchem zagasi pochodnie:
Były to wszystkie jego rodu zbrodnie,

Cicho liczone w nocy przez te duchy,
Podobne kroplom deszczu, które z rynny
Spadają, ciągłym tonem smętnej pluchy,
Gdy w domu leży trup przy światłach siny,
A dom jest w sobie i smętny, i głuchy,
A ów tylko deszcz, jak strumień doliny
Jozafatowej, za oknami płacze,
A czasem warknie pies, albo puchacze.

Bywało starzec, gdy się taki zbliża
Sen, to go przeczuł przed nocą i klęczy,
Do czerwonego modlący się krzyża
Boleśnie...

.
.
.
.

Źródła w szmaragdach głośnie,
Brzozy cicho szepczące,
I gołębie miłosne,
I Anielinek okna, jak złote miesiące
Błyszczące się w zieleni.

Wbiegła do Anielinek i znalazła, że w sieni
Dziad jakiś siedział stary... i gawędził z jej niańką
Diwą... która na szyi jakby miała z płomieni
Słońce... złote... ogniste...

Panienka to Ladawska jeżdząc raz na Przeczystę
Do Poczajowa, medal ten przywiozła święcony
I zawiesiła Diwie na sznureczku korali
Medal ten Matki Boskiej... co jak miesiąc czerwony,

Gdy smętnie się zapali,
Wschodząc nad step...
Często, kiedy w pasiece
Staruszka niańka stoi,
Zda się, że czarownica w czarnych duchów opiece
W gwiazdzianej zbroi.

.
.
.
.

IV.

.
.

I zaczną ostrzyć kosy... a dzwon głuchy
Pójdzie na pole od tych dźwięków stałych.
Aniela kiedy biegła, wszystkie duchy

Piękności, nakształt harmonii choralnych,
Grały w błękicie. – Tu topól łańcuchy
Wiatrem powiane, pełne niewidzialnych
Aniołków... srebrnym brzękiem i szelestem
Mówiły każda, zda się, duszy: jestem...

Tam harfa złota pszczoł – ulatująca
Ponad kwiatami... smolnemi słodyczą,
Z całym ciężarem letniego gorąca
Myśl utłaczała. Tam świerszczyki krzyczą
I motyl, Psyche natury błyszcząca,
Na skabiozach siada... Trzody ryczą
Zdaleka... cała natura oddycha
I gra, jak harfa – choć, zdaje się, cicha.

Aniela – tego poematu pani,
Królowa... znała wszystkie dźwięki, głosy.
Świat ten widzialny był stworzony dla niej,
Dla tego smętne jej malując losy,
Wyciągnąć muszę aż z duchów otchłani,
Ażebym zaplótł do dziewiczej kosi,
Nie róże, ani kamelii bukiety,
Lecz całe złote gwiazdy i planety.

Zwłaszcza czerwone te gwiazdy, fixaty
Niebios... które wzrok mają w ziemię wryty,
Jak wzrok upiora, zimny, lodowaty,
Przenikający nawskroś przez błękity.
Przez nią i dla niej więc otworzę światy,
O których ledwie dziś polskie kobiety
Wspomną... choć pewnie przez wiek do nas cały
Z tych ojczyzn, jako anioły, leciały.

Lecz któż pamiętał, czem był?... Anhelica
W Anielę ziemską nagle przemieniona,
Gdy szatan spadał tak, jak błyskawica,
I kłębem dymnym czarnego ogona
Trzecią część srebrnych gwiazd i ćwierć księżycy
Zrzucił, – w tym deszczu ognistym zrzuciona,
Z duszą; jak Psyche wszędy latającą,
Stała się – muszę rzec – jasnovidzącą.

.....

Wielka choroba duszy — ale wdzięczna
I tajemnicza... przyszłych rzeczy wróżka,
Ta czyni, że myśl, jak tarcza miesięczna
W różnych kolorach chodzi, duchom drużka,
Jak Irys, albo Afrodyta, zręczna
Latać powietrzem... Chociażby z kopciuszka
Zrobiona panią, królową miesiąca,
Z oczarowanej różą — czarująca.

.....

W Anieli ten czar wstawał, lecz stopniami,
Powoli... Były w Anielinkach brzozy
I smętarz biednych chłopków pod brzozami
Bez żadnych pochlebstw i apoteozy
W napisach, szelestu drzew lekkimi snami
Zaludnił miejsce to... Kawek obozy
Na dwóch wysokich klonach w zawierusze
Unosiły się czarne — jak złe dusze.

Niżej kwiateczki polne a w brylanty
Ubrane, z trawą białą, jak osoka,
Na brzozach różne ptaszki muzykanty,
Zdaleka kaskad szum, jak głos proroka
Groźny i smutny; opodal bażanty,
Albo też pawia tęcza złotooka,
Z pod brzozowych się paliła warkoczy,
Jak duchów z nieba powróconych oczy.

W około bowiem były bażantarnie
Anieli
A dalej bardzo pitoresque ceglarnie,
Wapienne piece... które z blizkiej góry,
Jak Polifemów olbrzymie latarnie
Tryskały piekiel dech przez wszystkie dziury
A w dzień włóczyły dym po złocie łąnow,
Podobny do chmur, albo do szatanów.

.....

.....

Tamto – na dymy patrząc, jak majaczą
Po czystych niebios szklanych oddaleniach,
Jak groby leżą, młode brzoźki płaczą,
Trawy się srebrzą przy maku płomieniach,
Aniela, z dziwną kochanki rozpaczą,
Doszła... do czego świat po objawieniach
Dojdzie – że świat ten jest duchów robotą,
Prac naszych wiecznych księgą – z kłamrą złotą,

Zamkniętą przez Chrystusa; a stąd wnioski,
Żeśmy go wzięli błotem, a oddamy
Słońcem, na wielki sąd gotując boski
Gwiazdę bez piętna żadnego i plamy,
O co są dotąd wszystkie duchów troski,
Miasta z setnami budowane bramy

.
.

Wszystko ku celom ostatecznym goni
Poety wielki krzyk o widmo nowe
Piękności... I ten, który ducha roni
Na wiatr, schyliwszy przed kościołem głowę,
Wszyscy – aż anioł się mocy wyłoni –
Cierpią... i czolo podniósłszy surowe,
Ciało nieszczęsne trzaskają o głązy,
Raz – i trzy razy – choćby i sto razy.

Z tem objawieniem wewnętrznem Anhelica –
Muszę ją nazwać tak – szła ciągle w górę,
I ten świat dla niej już nie tajemnica,
Nie teatr, w ciemną owinięty chmurę,
Nie wicher płaczu i żądz nawałnica,
Ale cudowna przez duchy struktura
Wybudowana... świat, ciągle się gotów
W ducha przemieniać wśród tysiąca grzmotów.

O jakże cudnie pięknej... z serca żalu
Uczynić siłę, ściągając z nieba
Podobne duchy... z jasnych ust koralu
Tchnąć siłą, z niebios brać, ile potrzeba,
Ognia miłości...

Co dnia czekała cudu, a tymczasem
Piękności dziwny czar rozwidniał oczy,
I to, co było Wenusowym pasem,
Pociąg na ludzi działalny, uroczy
Szedł z niej... Pod lekkim brzóz cmentarnych lasem
Na grobach, często czuła, jak się toczy
Ten glob i tętni, a tymczasem ona
Nad światem stała, jak duch, zachwycona.

Dziwne uczucie to, kiedy jak Irys
Słoneczna dusza na tęczach, w otchłani
Stoi i cała drży, ubrana w kirys
Archaniołowych tęcz, a w nią szatani
Wężem piorunów biją. – Jak Oziris
Lub Izys, moja latająca pani,
Nie wiedząc, kto w niej nowe myśli budzi,
Miała już w sobie wiarę przyszłych ludzi.

O! męczennico piękna! w tym ogrodzie,
Gdzieś żyła, byłem dzieckiem... przy miesiąca
Blasku, na stawów tych błękitnej wodzie,
W gajach, gdzie dusza twoja śni szepcząca,
Często, gdym stanął zamyślony w chłodzie,
Myślałem, że mię ktoś za ramię trąca,
Woła, ucieka, kryje się za drzewa,
Za kaskadami chowa się i śpiewa:

Com wycierpiała w ogniu, który czyści
Ludzkie miłości, a w powietrzu gore.
Tego nie cierpią duchowie ogniści,
Ani zamknięte dusze w drzewną korę.
Reszta jej skargi w szelestach się liści
Wpół wyjawiała, a ja piękną zmorę
Nieraz widziałem przed oczyma duszy
I drżałem, że nią Bóg, jak słońcem, ruszy.

Otóż tej duszy piękność i przecucie
Było w tej wojnie Olimpem, gromadą
Bogów...

Od niej to powieść mam wielce płaczącą,
Która nam z oczu posępnych odbierze

Gromadę moich ludzi latającą
I moje widy, i moje rycerze,
A duch, pozbyty płci, z duszą gorącą,
Weźmie wyższy ton i kolory świeże,
I tak w powagę ojców się odzieje,
Jak lirnik, który śpiewa dawne dzieje.

A czy to cudzą powieść, czyli własną
Śpiewam, niechaj nikt o to się nie pyta.
Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną,
Nowa, jak słońce różane, rozkwita,
Od której duchom starym będzie jasną
Praca i boleść dawno już przebyta,
A dziś ze smętkiem ludu i miesiąca
Na długi, przyszły czas zmartwychwstającą.
Ale nie sama—był tam jeden nowy
Duch, już rosnący na poetę ludu,
Ubogi—był to syn czynszowej wdowy,
Syn, jak mówiono, nieszczęścia i cudu...

.
.
.
.

Tam, gdy je spotkasz—w noc i błyskawicę
I w burzę—staną za wierną kotwicę.

Chrystus nie może światły niebieskimi
Przebić na wylot... te grobowe męty
Ciągłe latają, jak mgły, blisko ziemi
I sobą tworzą kształt nikły, nie święty...
Biada ci, jeśli nie aniołowemi
Duchami będziesz jak harfa natchnięty,
Żywota twego cele będą marne,
Gwiazdy przy zgonie smętne—niebo czarne.

A wtenczas ona z gwiazd sobie na głowie
Zrobiwszy kwiaty, a liście z promieni
Miesięcznych, rzekła: oto są duchowie
Z tobą na dalszą walkę przeznaczeni.
Te w mgłach skry... których takie widzisz mrowie

Jako na próchnie z płótna... tych się cieni
Bóg... to są duchy niepełne, kobiece,
Bez świętej treści, zowią się Ognice.

Dawno od ducha sprawy odwrócone
W przeciwną drogę... przez ciała i trumny
Lecą, jak ćmy z płomienia czerwone,
I tak się znowu zbijają w kolumny.
Te często ludziom, choć tylko przyśnione,
Duch biorą... i sen śnity, bezrozumny –
Białością srebrnej piersi i uśmiechem
Ust koralowych – czynią smętnym grzechem

Te, które widzisz wyżej, mniej są winne,
Wietrznice – dawniej zwane Oready,
Bardziej różane i srebrniej niewinne,
Świat gołębiemi nalatują stady,
Te, patrz, zielone, jakimi je gminne
Zowią piosenki – wodnej są gromady.

.
.
.
.

Lękaj się jego, ja znam, co on znaczy,
Jest to najstarszy między Słowianami,
Który miał niegdyś złoty kij żebraczy,
A ten go wiatrem niósł i pędził mgłami,
Jak piorun... aż Bóg, który sny tłómaczy,
Papież naówczas nad światem i nami,
Kiedy się z Athen rozchodziła wiara,
Zesłał na wiatrach naszego Awara.

Skąd wiem, nie pytaj... a są większe rzeczy
Które my znamy ludzie teraz prości,
A które potem nauka skaleczy,
I z nową wiarą poda za nowości,
Ten sam duch, wielki jak Bóg a człowieczy,
Zrobił paladyum z Pelopida kości,
I ten relikwiarz nakrywszy kościołem,
Miał całych bronił trupem – jak aniołem.

A i toż nowi podadzą za nowe,
Bo mi mówiono... w nocy – jacy będą
Ci, którzy wezmą krzyże Chrystusowe
I za tysiąc lat... cały świat zdobędą.
Tu, gdzie my nogi – tam postawią głowę,
I ducha kształty te same oprzędą,
A teraz mają swą latania chwilę,
Tem piękni, że są świezi, jak motyle.

Niechże więc nowość u ciebie popłaca,
A nas odegnaj, rzuć... jak zbite dzbanki,
Niech więcej nie ma ciężka ludu praca
Tych świąt z ogniami, z kwiatowymi wianki,
Niech się las nigdy ogniem nie wyzłaca
I kołędami nie brzęczy multanki,
Znieś wszystko... wszystko, duchu obłąkany,
Zostaną jednak wiecznie te kurhany.

.
.
.
.

Zakończył śpiewak – a jego sielanka
Królewska... dziwnie pomiędzy gwiazdami
Dzwoniła... niby aż z Pelejad wianka
Mająca lutnię. Tęczowemi snami
Zda się... widziała panna Starościanka
Pomalowane kłęby mgieł nad mgłami,
Gotowa duchom przypisywać dźwięki
Zwyczajne, polne, przed zejściem jutrzeńki.

Czas był wojenny... więc już rzenie koni
I głos lozaków słychać było zdala;
Już cerkwie wioski na srebrzystej skroni
Miały róż ranny... już burzanów fala
Pod wiatrem sucho szeleści i dzwoni
I grzmi... i coraz głośniej się przewala,
Kładąca bałwan suchy na bałwanie,
Grzmot na grzmot. Taki głos na Oceanie,

Gdy wschodzi słońce, a nie mniejszy prawie
Głos ma stepowa, bujna Ukraina,
Więc już i kawki, więc już i żorawie
Leciały... więc już na skrzydłach (?) zaczyna
Anioł dnia skrzydła swe złote i pawie
Roztaczający... a pod nim dolina,
Niby przez wichrów kołysana pieśń,
Jeszcze – z wioskami cała – w mgłach i we śnie.

.
.
.
.

Skoro dreszcz wielki ustał – a źrenice
Otwarte stały się na ducha świąty,
Na wszystkie gwiazdy i na błyskawice,
I na słoneczne Boże majestaty,
Pierwszy duch, który trącił mię skrzydlaty
I twarz pokazał... był duch Zoryana,
I pierwsza w niebie harmonia słyszana
Była szelestem jego cichej szaty.



DROBNE POEZYE.

(UZUPEŁNIENIE).



1861

SONET.

Już północ, cień ponury pół świata okrywa,
A jeszcze serce zmysłom spoczynku nie daje;
Zewsząd mnie otaczają czarnych myśli zgraie,
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrывa,

A choć na chwilę we śnie umysł mój spoczywa,
To serce ulatując w wyobraźni kraje,
Goni za marą, której szczęście nie dostaje!
A dusza przez sen nawet drugiej duszy wzywa.

Jest kwiat... co się otwiera pośród nocy cienia,
I spogląda na księżyc, i lube tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzeńki promienia.

Jest serce... co się kryjąc w zakrwawionem łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa wewnętrzne cierpienia.

Wilno, 1826 r.



DO LUDWIKA SZPITZNAGLA.

Ludwiku!... jak duże gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznaną siłą oddala od siebie;
Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni
Choć myślą, sercem bliżej — losem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzienka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerą przyjaźni:
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

Wilno, początek lutego 1827 r.

MATKA DO SYNA.

Synu! wstępujesz teraz w trudną życia drogę,
Gdzie już nad tobą czuwać i strzedz cię nie mogę,
Rzuciwszy dom, rodzinę, w obce idziesz kraje,
Gdzie ci nieznane serca, nieznane zwyczaje,
Teraz ci zorzy szczęścia jaśnieją szkarłaty,
I nadzieja po drodze bujne sieje kwiaty,
Ale gdy wiek dojrzały uczucia przemieni,
Gdy ujrzysz się sam jeden na świata przestrzeni,
Gdy ujrzysz się sam jeden w tym obcym ci tłumie,
W którym nikt twoich myśli, serca nie zrozumie,
Wtenczas choć myślą wracaj w ojczyste krainy,
I przenieś się na łono kochanej rodziny.
Przypomnij dom, gdzie lata spędziłeś dziecinne,
Przypomnij braci, siostry, zabawy niewinne.
Wspomnij na twego ojca, co się cieszy w Niebie
I co z górnych przybytków spogląda na ciebie,
I matka, która zniosła smutek rozłączenia
Czyliż także nie zyska miłości wspomnienia?
Bądź zdrow synu! ach trudna, trudna życia droga,
Błogosławię cię jeszcze — wezwij w pomoc Boga,
Idź — żegnam cię mój synu — lecz pamiętaj na to,
Że twa cnota, za trudy będzie mi zapłatą.

Krzemieniec, 1829 r.



W ALBUMIE
MARYI WODZIŃSKIEJ.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, Bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

A po latach wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiazdziste kłaniały się żyta.
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół – są wszyscy! są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych;
A wczoraj tak dalecy – a dzisiaj tak blizcy.
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.

Młoda Marya do tańca każe stroić lutnie,
I usiadła – spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: „Ach, kogoś braknie!” – Tu podkówka utnie
W takt mazurka. – „On umarł”, – sąsiad odpowiada.
– „Cichoż na jego grobie?” – „Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze“.

Genewa, 7 marca 1835 r.



Z N I L U.

DO MARYI WODZIŃSKIEJ.

Kiedy smutny nad Tela siedziałem jeziorem
Ty przyleciałaś do mnie... z dalekiej krainy
Jak przywabiony gołąb – białością smutnego
Ptaka na pustym domie... i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem
Niewiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali,
Gwiazdeczki szczęścia bardzo dawno utraconej...
Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie... czy jeszcze
Smutną pod płaczącymi wierzbami zastaje
Biały księżyc... O moja miła siostrzo duszy!
Jak ci zimno być musi... we wrześnieowych nocach
Oświeconej czerwonym światłem komina,

W którym wilgotne płaczą gałęzie... w Szwajcarów
Ziemi łuk dawny Tela jaśniejszy niż słońce –
Przez sześć miesięcy roku... Jam się bardzo zręcznie
Zimie sypiącej za mną śniegami wywinął,
Słońce błyszczący mi złote – mógłbym tobie posłać
Zamiast zwiędłej rozmowy – pod myślącym słońcem
Róże dziś rozwinięte i świeże... myślące...
Lecz na co tobie róże – ty, co kwiaty wdowie
Rwiesz na łąkach i niemi ubierasz słomiany
Kapelusz...

1836 r.

DO
ZENONA BRZOWSKIEGO.

Wielmożny Panie,
Powinszowanie
Nowego Roku,
Co pęta w kroku
Na tej pustyni,
Niech Cię uczyni
Bardzo wesółym;
Że okiem gołym
Widać jak rusza
Ten czas i dusza
Na życie wieczne
Bardzo bezpieczne,
Gdzie ani panna,
Ni kwarantanna
Nie przyda troski,
Ani też włoski,
Panie Brzowski,
Znudzi makaron.

Tymczasem Charon
Niechaj nie prędko
Złowi Cię wędką,
I na łódź wsadzi,
I tam prowadzi,
Gdzie idą inni,
Bo iść powinni. —

Żyj mi lat krocie,
I przyjm w namiocie
Moją kolendę;
A ja przybędę
Sam, osobiście,
Harbuza liście
W maśle smażone,
Słodkie i słone,
Jeść na śniadanie.
Ściskam Cię, Panie!

W El-Arish, na Nowy-Rok 1837.



DO
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Z
ęgnaj, o! żęgnaj archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojm sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Ogrzał, oświecił—by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba—spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz jeśli walka jest:—dałeś mi serce!

Florencya, 4 grudnia 1838 r.



DO PANI
JOANNY BOBROWEJ.

! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci błady
Śród leszczyn w Gisbach – a śród laurów w Terni.

Dzikiem zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadła-byś myśląca,
Jak Anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty;
Czekając z nad skał śpiewu – i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
Może-bym wieczną tam zatrzymał siłą –
Śpiewem skamienił i lodem zamroził,
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Lecz nie powiodę do takiego zdroja,
Bo teraz straszna jest ducha kaskada;
To cały duch mój i cała krew moja
Która na Polskę chce upaść – i spada.

Raz ty porwana tym strumieniem gminnym
Byłabyś nigdy nie wróconą światu;
Dla tego poszłaś gdzie indziej – z kim innym;
Ręki się bojąc dać dawnemu bratu.

Bo dzisiaj Polka ciekawość pokona
A jej nie karmi to, co tłum paryski.
Gdy *) w sercu Polska duchem urodzona
Jak Nimfa wstaje z perłowej kołyski.

Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczu,
Sumienie Pani powie samo głuche...
Że niegdyś łyzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą – takie suche!

Czyś tem przeklęta? czy błogosławiona?
Że serce zimne – oczy łez nie leją?
Powie Ci kiedyś mógł drugą stronę,
Gdzie serca pękają – albo się rozgrzeją.

Co do mnie – wiem ja, jak to praca pusta!
Serce kobięce na czas prze-anieślić –
Dla tego odtąd – wiecznie zamknę usta,
I wolę nie być z Panią – niż zgon dzielić.

Bo to okropnie! rany pozamykać!
Zagoić wszystkie dawne serca blizny!
Iść – i Aniołów już nie napotykać!
Już nie mieć ani serca! – ni Ojczyzny!

Gdybym był duchem Wersalskiej natury,
A taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na Cię, jak kaskada z góry,
Porwał – i rzucił w przepaść – i sam skoczył.

Paryż, d. 14 maja 1842 r.

*) Przekreślono: W jej.

FRAGMENT.

Bo to jest wieszczka najjaśniejsza chwała,
Że w posąg mieni nawet pożegnanie.
Ta kartka wieki tu będzie płakała
I łez jej stanie...

Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę,
Ja kończę moje na ziemi wygnanie,
Ale samotny — ale łzami płynę —
I to pisanie...

Paryż, 1846 r.



DO

ADAMA MICKIEWICZA.

Mój Adamito – widzisz jak to trudno
Uprawiać cnoty pustynię odludną,
Jaki pot wielki z człowieka się leje,
Gdy o ideał stoi lub ideje.

Dawniej ci ręce jezuitów plóły
Wianeczki i te śpiącemu wkładali;

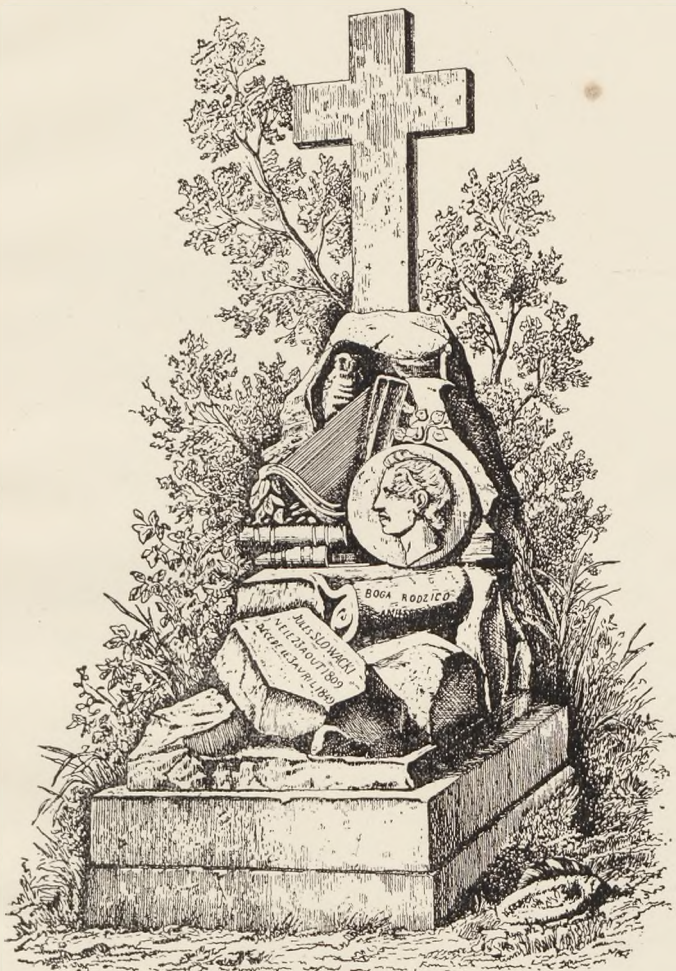
Leciałeś jako komęciane miotły,
Sił nie zużywszy, byłeś coraz dalej.

Dawniej ploteczka szła naksztalt zegarka
I ciągle twemi wiewała – sztandary,
Lepsza niż sonet ta polska śmieciarka,
Pełniejsza miodu, niż ruskie puchary.

Medale rosły, w olbrzymie posągi,
Dziewki odeskie zmieniały grafinie,
Nie takto widzisz, Adamiku, ninie
Nie takto ninie – jak to było ongi,
Dziś jezuityzm, jak wąż ciebie łamie
Ja ci mówiłem... widzisz, mój Adamie!

Paryż, 1844–47 r.





GROBOWIEC J. SŁOWACKIEGO na CMENTARZU MONT MARTRE
w PARYŻU.

SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Żywoł Słowackiego, przez Adama Gr. Siedleckiego	1
Książę Niezłomny	5
Kartony i winiety W. Pawliżaka.	
Jan Kazimierz. (Szczątki dramatu)	123
Karton H. Piątkowskiego.	
Złota Czaszka	143
Karton i winiety J. Meciny Krzesza.	
Wallenrod. Dramat. (Fragment).	187
Karton i winiety J. Ryszkiewicza.	
Walter Stadyon. (Fragment)	229
Karton i winiety J. Ryszkiewicza.	
Krakus. Dramat. (Fragment)	235
Karton A. Piotrowskiego.	
Eolion.	253
Karton R. Szwoynickiego.	
Fragmenty i warianty Beniowskiego	265
Drobne poezye. (Uzupełnienie).	
Sonet	285
Winieta A. Gawińskiego.	
Do Ludwika Szpitznagla	286
Winieta A. Gawińskiego.	
Matka do syna.	287
W Albumie Maryi Wodzińskiej.	288
Winieta A. Gawińskiego.	
Z Nilu. Do Maryi Wodzińskiej.	289
Winieta H. Piątkowskiego.	
Do Zenona Brzozowskiego	291

	<i>str.</i>
Do Zygmunta Krasińskiego	293
Winieta H. Piątkowskiego.	
Do pani Joanny Bobrowej	294
Winieta A. Gawińskiego.	
Fragment.	296
Do Adama Mickiewicza	297
Winieta H. Piątkowskiego.	
Pomnik J. Słowackiego w Miłosławiu	
Grobowiec J. Słowackiego na Montmartre w Paryżu.	

RYSUNEK na okładce ze sztychu A. Oleszczyńskiego. — KLISZE z zakładu B. Wierzbickiego i S-ka. — PAPIER z fabryki C. A. Moesa w Pilicy. — DRUK „Warszawskiej Drukarni Estetycznej”, pod zarządkiem T. Jankowskiego. — Składał Władysław Jache, odbijał na maszynie Józef Łaszczyk. — OPRAWY z introligatorni artystycznej A. S. Rudowskiego.

Biblioteka Główna UKW



000014541200

«KSIĘGARNIA»
ANTYKWARIAT

60, **DOM
KSIĄZKI
DOM**

519700

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

A decorative rectangular stamp with a scalloped bottom edge. It features stylized text and a central logo. The top part has '«KSIĘGARNIA»' and 'ANTYKWARIAT' separated by decorative lines. The middle part contains '60,' followed by a square logo with 'DOM KSIĄZKI DOM' inside. Below the logo is the number '519700' in red ink. The bottom part has a row of 'X' characters.

884

Słowacki, Juliusz
Dzieła : (wydanie
illustrowane)